

BYŁ PIĘKNY, ALE SKRYWAŁ
MROCNĄ NATURE

Karolina Wasilewska

Kochanie,
nie okłamuj
mnie

Zakochana w kłamcy
tom 2



KAROLINA WASILEWSKA

**KOCHANIE,
NIE OKŁAMUJ MNIE**

ZAKOCHANA W KŁAMCY #2

OŚWIĘCIM 2021

Copyright ©
Karolina Wasilewska
Wydawnictwo NieZwykłe
Oświęcim 2021
Wszelkie Prawa Zastrzeżone
All rights reserved

Redakcja:
Katarzyna Moch
Korekta:
Agnieszka Sajdyk
Joanna Kasprzyk
Redakcja techniczna:
Mateusz Bartel
Projekt okładki:
Paulina Klimek

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Numer ISBN: 978-83-8178-612-6

SPIS TREŚCI

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Epilog](#)

Rozdział 1

Wtulona w Motyla przyglądam się jak moje bmw, a raczej to, co z niego zostało, zostaje wciągnięte na lawetę. Obejmuję Rhysa tak mocno, jakby zaraz znowu miał zniknąć. Krople deszczu wciąż spadają z nieba, przez co oboje jesteśmy przemoczeni do suchej nitki. Kątem oka spoglądam na trzy walizki stojące obok nas. Mam nadzieję, że nie dostanie się do nich woda i nie zniszczy ich zawartości.

– Wszystko dobrze? – upewnia się Rhys, kiedy pomoc drogowa odjeżdża.

Czy wszystko dobrze? Nie wiem...

I chyba lepiej będzie, jeśli nie odpowiem na to pytanie, dopóki nie będę miała czasu, żeby zastanowić się nad odpowiedzią.

– Musimy się przebrać. – Pokazuję na jego przemoczone ubranie.

Nie chcę, żeby nabawił się zapalenia płuc albo czegoś groźniejszego. Ja sama też nie zamierzam spędzić najbliższych dni w łóżku, walcząc z chorobą.

Motyl wyjmuje z wewnętrznej kieszeni kurtki telefon, po czym wybiera numer, a kilka sekund później się odzywa:

– Potrzebuję samochodu. Jak najszybciej. SMS-em wyślę ci adres. – Rozłącza się, pisze coś szybko, a następnie chowa urządzenie. – Zaraz zabiorę cię w jakieś suche i ciepłe miejsce.

Odsuwam się tak, żeby móc dobrze widzieć jego twarz.

– Rhys? – bąkam.

Patrzy na mnie, poświęcając mi całą uwagę. Jest przy tym tak piękny, że ten widok zapiera mi dech w piersi. Jego uroda za każdym razem zachwyca mnie tak samo, teraz może nawet bardziej.

– Hmm?

– Może to ja mogłabym zabrać cię w ciepłe i suche miejsce? – proponuję niepewnie, nie będąc pewna jego reakcji. Zaskoczony unosi nieco ciemne brwi. – Moja przyjaciółka mieszka niedaleko. Nie moglibyśmy pojechać do niej?

Nie mam pojęcia, jak Nancy zareaguje na nasz widok ani czy w ogóle będzie zadowolona z faktu, że przyprawiam do jej mieszkania obcego faceta, ale ten pomysł wydaje mi się najsensowniejszy ze wszystkich.

– Nie ufasz mi – bardziej stwierdza niż pyta, a w jego spojrzeniu zauważam cień wstydu.

Ufam ci. Po wszystkim, co mi zrobiłeś, ufam ci jak cholera!

– Nie o to chodzi – mówię szybko. – Po prostu... – urywam na widok ciemnego, dużego volvo zatrzymującego się obok nas.

Wzdrygam się, gdyż nieznanymi samochodami stojącymi zbyt blisko wciąż budzą we mnie lęk. Winę za to ponosi upozorowane porwanie, które już dawno wyrzuciłam z głowy, lecz jego skutki odczuwam do dziś. Kiedy Motyl zauważa moje zachowanie, od razu przyciąga mnie bliżej siebie. Rozluźniam się nieco, opierając skroń o jego ramię. Silnik gaśnie, następnie z pojazdu

wysiada starszy mężczyzna o oliwkowym kolorze skóry. Uśmiecha się szeroko na widok rozwalonego tyłu bentleya.

– Musiałeś komuś mocno zająć za skórę, młody – mówi, gwizdząc.

– Nawet nie wyobraża pan sobie jak mocno – odzywam się, zanim zdążę ugryźć się w język.

Szpakowaty mężczyzna patrzy na mnie, jakby dopiero mnie zauważył, po czym przenosi pytający wzrok na Rhysa.

– Mogę cię prosić, chłopcze?

Kącki moich ust drgają nieznacznie.

Chłopcze? To ktoś tak jeszcze mówi?

– Dwie minuty – szepcze Rhys, muskając ustami mój policzek i odchodzi kilka metrów ode mnie.

Oplatam się mocno ramionami, chcąc jak najszybciej znaleźć się w mieszkaniu Nancy. Jest zimno i coraz bardziej boli mnie głowa. Na szczęście rozmowa mężczyzn nie trwa nawet dwóch minut.

– Zajmijcie się nim – zwraca się Mariposa do towarzysza, wskazując ruchem głowy bentleya, którego niechcący rozbiłam. – Przez jakiś czas mogę być nieosiągalny.

Rumienię się, gdy patrzy na mnie wymownie, a jego spojrzenie dosłownie rozgrzewa mnie od środka. We troje okrążamy volvo, a następnie Motyl otwiera drzwi od strony pasażera. Starszy mężczyzna ze zrezygnowaniem kręci głową, wręczając Rhysowi kluczyki.

– Mam nadzieję, że wiesz, co robisz – mówi pouczającym tonem, patrząc mi prosto w oczy.

Otwieram usta, żeby zapytać, co ma na myśli, lecz Rhys mi na to nie pozwala, dosłownie wpychając mnie na fotel.

– Zapnij pas – rzuca, zatraskując drzwi.

Zamienia jeszcze kilka zdań z mężczyzną, wrzucając na tylne siedzenie moje bagaże, po czym dołącza do mnie, zajmując miejsce za kierownicą. Jedno spojrzenie wystarcza, żebym wiedziała, że jest zły.

– Rhy...

– Zapnij ten cholerny pas – warczy, odpalając silnik i włączając się do ruchu.

– Dobrze, już dobrze – mamrocę pod nosem, szybko robiąc to, czego żąda, choć tak naprawdę mam ochotę pokazać mu środkowy palec. – Willow Street – mówię naburmuszona. – Nancy mieszka na Willow Street – powtarzam z naciskiem, gdyby za pierwszym razem nie zrozumiał, dokąd ma jechać.

Po tym, jak zatrzymuje samochód na jedynym wolnym miejscu, rozluźnia zaciśniętą szczękę, co oznacza, że jego złość nieco zmalała.

– Nie powinienes dać się wyprowadzać z równowagi pracownikom – pouczam tonem znawcy, odpinając pas. – To źle wpływa na twój autorytet.

Rzuca mi wściekłe spojrzenie. Chyba jednak wciąż jest zły.

– To nie był mój pracownik.

– A więc kto? – pytam, lecz nie uzyskuję odpowiedzi, gdyż mój rozmówca jest już na zewnątrz.

Szybko do niego dołączam, chwytam za rękę i ciągnę w stronę budynku. Czuję podekscytowanie, że za moment pokażę mu, gdzie spędziłam kilka lat swojego życia, nie licząc ostatnich siedmiu miesięcy. Cicho otwieram drzwi mieszkania, po czym przekraczam jego próg i ściągam buty – jedyną część garderoby, przez którą jakimś cudem woda nie przedostała się na wylot.

– Czy ty, do kurwy nędzy, nauczysz się odbierać ten telefon?! – krzyczy Nancy, otwierając drzwi łazienki. – Może potrzebujesz specjalnego kursu, bo twój mały mózg nie ogarnia, do czego to urządzenie służy?! Myślałam, że... – Urywa na mój widok. – Boże, miałas wypadek! – wykrzykuje jeszcze głośniej, doskakując do mnie. Kładzie dłonie na moich ramionach i uważnie śledzi moją twarz. W końcu jej wzrok zatrzymuje się na rozcięciu tuż nad łukiem brwiowym. – Cholera! – zaklina, krzywiąc się.

To samo pomyślałam, gdy zobaczyłam swoje odbicie w lusterku wstecznym. Teraz może to wyglądać o wiele gorzej.

– Aż tak źle? – pytam, czując, że robi mi się słabo przez wysoką temperaturę panującą w mieszkaniu.

– Nie obejdzie się bez szycia.

Odsuwa się o krok, wbijając wzrok gdzieś ponad moje ramię.

Przez jej twarz przemyka cień odrazy, ale dzieje się to tak szybko, że Rhys na pewno tego nie zauważył. Jedną z rzeczy, które najbardziej w niej cenię, jest lojalność, którą okazuje przy każdej nadarzającej się okazji, ale, cholera, dlaczego musi okazywać ją właśnie teraz?

– Rhys Mariposa – przedstawia się Motyl, wyciągając dłoń w stronę mojej przyjaciółki.

Po samym wyrazie jej twarzy stwierdzam, że nieprędko się do niego przekona.

– Mariposa – powtarza, nawet nie ujmując jego dłoni. – Idę poszukać nici – zwraca się do mnie, po czym odwraca się na pięcie i znika za drzwiami swojego pokoju.

Staję twarzą do Motyla, wspinam się na palce i całuję delikatnie jego ciepłe wargi.

– Wie o wszystkim? – pyta rozbawiony pomiędzy pocałunkami.

Gdyby wiedziała o wszystkim, już byłbyś martwy, myślę.

– Polubi cię – mówię z udawanym przekonaniem, rozkoszując się jego smakiem.

Najpierw moja kurtka łąduje na podłodze w przedpokoju, a zaraz po niej jego. Jeszcze mocniej przywieram do niego, by naszych ciał nie dzielił nawet najmniejszy milimetr.

– Powinnaś zdjąć to mokre ubranie – syczy, wsuwając dłonie pod materiał mojej czarnej, przyklejonej do ciała bluzy.

Śmieję się, kiedy jego palce łaskoczą mnie w okolicach żeber.

– Wolę zdjąć twoje – odpowiadam z błyskiem w oku.

Od razu biorę się za rozsuwanie suwaka jego jasnej bluzy i z zadowoleniem odkrywam, że nic pod nią nie ma. Niemal z namaszczeniem gładząc miękką, oliwkową skórę, sunę dłońmi w dół, a Rhys ani na moment nie spuszcza pociemniałego wzroku z mojej twarzy.

– Oj, błagam! – słyszę za plecami w tym samym momencie, w którym moje dłonie zatrzymują się na pasku jego czarnych dżinsów.

Odwracam się, posyłając przyjaciółce mordercze spojrzenie. Jestem pewna, że gdyby mój wzrok mógł zabijać, padłaby teraz trupem. Przecież powinna domyślić się, że w tej właśnie chwili jej obecność nie jest mi do niczego potrzebna.

– Johnson – cedzę przez zęby – mogłabyś...

– Nie mogłabym – odparowuje natychmiast, nie pozwalając mi dokończyć. – Ty – rzuca w Rhysa tym, co przed sekundą trzymała w dłoniach – przebierz się, bo tak z ciebie kapie, że zaraz zalejesz sąsiadów. A ty – ponownie zwraca się do mnie – chodź ze mną. Muszę doprowadzić cię do stanu używalności, zanim pod wpływem emocji przez tę dziurę w czole zaczniesz tryskać krew. Chyba nigdy nie domyłabym podłogi.

Chwyta mnie za rękę, a następnie ciągnie do swojego pokoju, gdzie zatrzaskuje z impetem drzwi, zostawiając skonsternowanego Rhysa po ich drugiej stronie. Kładąc ręce na moich ramionach, zmusza mnie, żebym usiadła na obrotowym fotelu w kolorze pudrowego różu.

– Nancy, jestem mokra – jęczę bezsilnie, bojąc się, że przemoczę tapicerkę.

Szeroko otwartymi oczami przyglądam się, jak rozkłada na łóżku podkład higieniczny, następnie sięga po pudełko leżące na szafce nocnej i wysypuje jego zawartość na podkład. Ona żartuje, tak? Wcale nie zamierza mnie zszywać, prawda?

– Patrząc na tego skurwiela, wcale się nie dziwię – warczy, układając różnej wielkości nożyczki i pęsety obok siebie.

Wstaję, puszczać jej komplement co do urody Rhysa mimo uszu, a następnie rozpinam guzik białych spodni i zdejmuję je szybko, nie mogąc dłużej znieść dotyku mokrego materiału. Pozbywam się również bluzy i ponownie opadam na fotel w samej bieliźnie, podciągając kolana pod brodę.

– Co robisz? – pytam niepewnie, kiedy odwraca się do mnie z igłą, kształtem przypominającą półksiężyc, w dłoni. Drugą wylewa sporą ilość bezbarwnego płynu na gazę leżącą na łóżku, po czym chwyta ją i bez ostrzeżenia przykłada mi do rany. Syczę z bólu, lecz nie zabieram głowy. – Powiedz tylko, że to nie zestaw małego chirurga, który rodzice sprezentowali ci na piątą urodziny.

Patrzy na mnie jak na idiotkę.

– Wyluzuj, mała. Jestem w tym naprawdę świetna. Nawet nie poczujesz, kiedy zacznę.

Miała rację, mówiąc, że jest w tym dobra. Ból jest tak znośny, że przez chwilę udaje mi się odtworzyć w pamięci moment wypadku. Tuż po uderzeniu czułam tak dziwny spokój, że przez kilka sekund myślałam, że umarłam. Kiedy już wygramoliłam się z samochodu i stanęłam twarzą w twarz z Rhysem, wciąż wydawało mi się, że śnię. I gdyby nie gorąca krew spływająca mi tuż obok oka i zaskoczony, ale pełen pasji spojrzenie, którym przeszywał mnie Rhys, nigdy nie uwierzyłabym, że to wszystko wydarzyło się naprawdę.

Po tym, jak Nancy skończyła składać mnie do kupy, oddycham z ulgą, odchylając się na oparciu fotela.

– Dobrze, że cię mam – mówię pół żartem, pół serio z wciąż zamkniętymi oczami.

Słyszę, jak przyjaciółka porusza się po niedużym pokoju. Drzwi szafy wydają charakterystyczne skrzypnięcie, a chwilę później na moich kolanach ląduje coś miękkiego. Otwieram oczy, posyłając Nancy pytające spojrzenie.

– Masz zamiar paradować przed nim w samych majtkach? – pyta, a w jej głosie nie ma już tyle złości, co przedtem. – Chyba nie zamierzasz aż tak ułatwić mu zadania?

Zadanie byłoby już dawno wykonane, gdybyś nam nie przerwała, myślę złośliwie.

Nagle przepelnia mnie tęsknota za bliskością Motyla. I jest to tak intensywne uczucie, że niemal boli. Wstaję i wciągam na tyłek jasnoszare legginsy, które leżą na mnie idealnie, podkreślając to, co powinny. Zakładam także krótki, luźny top kończący się tuż pod biustem.

– Nigdy ci tego nie mówiłam, ale zawsze zazdrościłam ci cyków – wyznaje Nancy, bez sił opadając na łóżko.

– A ja tobie tyłka. – Rozglądam się uważnie po pomieszczeniu, którego tak długo nie widziałam. – Zmieniłaś kolor ścian?

Kiedy wyjeżdżałam, zdołał je chłodny, pastelowy błękit, teraz pokrywa je wściekła czerwień. Przyjaciółka prostuje się, patrząc mi prosto w oczy.

– W co ty się znowu wpakowałaś? – pyta z rozpaczą w głosie. – Wyszłaś tylko na chwilę po szampana, a wracasz kilka godzin później ranna, w towarzystwie człowieka, który cię zranił, do tego bez pieprzonego szampana.

Opadam na łóżko obok niej.

– Kocham go – wyznaje, a bicie mojego serca staje się szybsze. – Jutro opowiem ci więcej, bo naprawdę jestem wykończona. Długa podróż, później ten wypadek i znowu Rhys... Nie mogę uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę.

Trochę mijam się z prawdą, ale nie mogę jej powiedzieć, że chcę jak najszybciej znaleźć się znowu przy nim.

– Boże, wypadek – jęczy, chowając twarz w dłoniach. – Idź już do niego. Muszę się zastanowić, czy jutro na pewno chcę cię wysłuchać.

Z uśmiechem cmokam ją w policzek, po czym wstaję i wychodzę z jej pokoju.

Czuję, jak ogarnia mnie panika, kiedy nie znajduję Mariposy ani w przedpokoju, ani w salonie połączonym z kuchnią, ani nawet w łazience. Już mam ochotę usiąść na środku mieszkania i rozplakać się jak dziecko, lecz uświadamiam sobie, że przecież nie sprawdziłam jeszcze jednego pomieszczenia. Z mocno bijącym sercem otwieram drzwi mojego dawnego pokoju i oddycham z ulgą, gdy zastaję go siedzącego na łóżku z telefonem w ręku. Ma na sobie jasne dresy, które wręczyła mu Nancy. Nie założył koszulki, ale ani trochę mi to nie przeszkadza.

– Już się bałam, że zniknąłeś – szepczę, podchodząc do niego.

Na mój widok uśmiecha się szeroko, a w jego policzkach pojawiają się te urocze dołeczki, za którymi wciąż tak bardzo szaleję. Podchodzę do niego i siadam na nim okrakiem.

– Nigdzie się nie wybieram – zapewnia, odkładając telefon. Natychmiast przyciąga mnie bliżej siebie.

Gładzę dłońmi jego szerokie ramiona, rozkoszując się dotykiem aksamitnej skóry.

– Nie mogę uwierzyć, że tu jesteś – szepczę łamiącym się głosem. W emocjach pozwalam wypłynąć jednej łzie szczęścia, której Rhys chyba nawet nie zauważa. Delikatnie, ale stanowczo wbijam paznokcie w jego skórę. – Nienawidzę cię, wiesz? Za wszystko, co mi zrobiłeś.

– Ja również cię nienawidzę – mówi, zbliżając usta do moich. – Kocham i nienawidzę. – Pierwszy pocałunek. Serce przyspiesza bicie. – Jesteś chodzącym uosobieniem heroiny. – Drugi pocałunek. Chcę krzyczeć. – Nie chcę cię znać, Melody, wiem, że mnie niszczysz, a mimo to, kiedy jesteś w pobliżu, pozwalam ci sobą zawładnąć.

Trzeci pocałunek. Przepadam. Już po mnie.

Chore, pieprzone, niszczące uzależnienie. Obsesja, z której nigdy nie zamierzam się leczyć. Patrzę prosto w miodowe oczy i uśmiecham się krzywo. Mrok, który nas łączy rozumiemy tylko my.

– Będziemy ranić się do końca świata? – pytam, przygryzając jego dolną wargę.

Chwyta mnie w tali i jednym płynnym ruchem obraca nas tak, że teraz to ja jestem pod nim.

– Zdecydowanie dłużej, kochanie.

Zaciska palce na szwie legginsów w kroku, po czym dosłownie rozrywa ich cienki materiał. Oddycham ciężko, gdy zsuwa dresy i wchodzi we mnie, boleśnie mnie wypełniając. Jęczę cicho, odchylając głowę do tyłu.

– Kocham cię, Rhys – mówię, bezgłośnie poruszając ustami. – Nad życie.

Przestaje się we mnie poruszać i patrzy mi prosto w oczy.

– Kocham cię. – Całuje mnie delikatnie, znów poruszając biodrami. Ponownie jęczę, lecz ten dźwięk tłumia jego usta. – Nad życie.

Kiedy oddech Rhysa staje się spokojny i głęboki, odczekuję dobre piętnaście minut. Dopiero mając pewność, że mocno śpi, wymykam się z jego objęć najdelikatniej, jak potrafię. Na palcach przechodzę do drzwi, jednak zanim wyjdę, przystaję, żeby przyjrzeć się jego potężnej, silnej sylwetce rozłożonej na moim starym łóżku. Jest mężczyzną, którego należy się bać – świadczy o tym choćby broń leżąca spokojnie na szafce nocnej, jakby była niewinną książką – a mimo to w tej chwili jego przystojna twarz wygląda tak łagodnie i niewinnie jak u kilkuletniego chłopca.

Wiem, że czeka nas poważna rozmowa, ale najpierw musieliśmy dać upust wszystkim zgromadzonym przez ostatnie miesiące emocjom w jedyny znany i słuszny nam sposób. Z cichym westchnieniem naciskam na klamkę, po czym wychodzę z pokoju. Muszę napić się wody, więc to do kuchni kieruję się najpierw. Kiedy odkręcam butelkę wody gazowanej i napełniam szklankę, do kuchni wchodzi Nancy.

– Nie śpisz – bardziej stwierdzam niż pytam, patrząc na nią niepewnie.

Posyła mi krzywe spojrzenie.

– Miałam okazję przetestować nowe zatyczki do uszu, ale w waszym przypadku potrzeba czegoś znacznie skuteczniejszego. – Podchodzi do mnie, wyjmując mi szklankę z rąk, a następnie wypija całą jej zawartość i z brzękiem odstawia naczynie na blat. – Gdzie twój mafioso?

– Śpi – odpowiadam, marszcząc brwi. – Nan...

– Kim on tak naprawdę jest? – pyta, zniżając głos do szeptu. – Ze szczytu muru chińskiego widać, że to pieprzony gangster.

– Uspokój się i przestań wygadywać głupstwa – mówię zirytowana. – Rhys nie jest żadnym gangsterem, tylko...

Czasem zdarzy mu się kogoś zastrzelić.

Blednę.

Dlaczego wcześniej na to nie wpadłam?

– No i co, mądralo? – Nancy krzyżuje ręce na piersi. – Nie rozumiem, jak mogłaś mi o niczym nie powiedzieć. Myślałam, że jesteśmy przyjaciółkami.

Prowokuje mnie. Myśli, że tak mnie zirytuje, że potwierdzę wszystkie jej domysły. Jednak ja nie mogę tego zrobić z kilku powodów. Po pierwsze i najważniejsze: sama nie znam prawdy. Po drugie: nie jestem pewna, czy gdyby było tak, jak zakłada Nancy, chciałabym, żeby ktokolwiek wiedział, kim jest mężczyzna, którego kocham do szaleństwa. Po trzecie: za wszelką cenę chciałabym chronić Rhysa, bez względu na to, ile by mnie to kosztowało.

– Czy mogłabyś mnie przez chwilę posłuchać? – teraz to ja zniżam głos do szeptu, w obawie, że Motyl już się obudził i może słyszeć naszą rozmowę.

Nancy jakby czyta mi w myślach, bo bez słowa chwyta mnie za rękę i ciągnie do swojego pokoju, po czym wyjątkowo ostrożnie zamyka drzwi. Obie opieramy się o nie plecami, a następnie zsuwamy na podłogę.

Podciągam kolana pod brodę, próbując ubrać w słowa rozbiegane myśli.

– Mel – ponagla, wiedząc, że nie mamy wiele czasu.

Biorę głęboki oddech.

– Za świństwo, które zrobiłam Jimowi, będę smażyć się w piekle przez wieczność – wyrzucam z siebie. – Powiedział, że nigdy nie wybaczy mi tego, że pozwoliłam mu uwierzyć, że go kocham. Boże, Nancy, gdybyś widziała, jak wtedy na mnie patrzył... Jakbym wyrwała mu serce gołymi rękoma.

– Nie powinnaś bać się piekła, skoro sam diabeł posuwał cię niespełna godzinę temu – dogryza mi. – Może to okrutne, co powiem, ale Jim sam jest sobie winien. To bystry i inteligentny facet. Na pewno widział, że z twojej strony to uczucie nie jest tak intensywne. Kochał cię, na pewno nadal cię kocha. Tak bardzo chciał cię mieć przy sobie, że przymykał oko na pewne niedociągnięcia w waszym związku. Ty natomiast szukałaś pocieszenia, łudząc się, że w końcu coś do niego poczujesz. Zgodziłaś się nawet z nim zamieszkać, choć wiedziałaś, że wciąż kochasz kogoś innego. Niestety, nie masz serca w rozmiarze XL i nie pomieściłabyś ich obu. Jim zapomni. Nic mu nie będzie.

Kręcę głową, chowając twarz w dłoniach.

– Ty nic nie rozumiesz – jęczę zrezygnowana. – Rhys jest jednym z najlepszych przyjaciół Jima.

Przyjaciółka wydaje z siebie okrzyk niedowierzania, po czym wstaje, a ja prostuję się, patrząc, jak nerwowo krąży po pokoju w tę i z powrotem.

– Jak to możliwe?

Chyba ktoś na górze tak sprytnie poukładał nasze drogi, że przypadkiem krzyżują się ze sobą za każdym razem, kiedy jesteśmy gotowi zapomnieć o sobie na dobre.

– Zadałam sobie to samo pytanie, gdy się o tym dowiedziałam na jednym z ich wspólnych spotkań.

– I co było dalej? – dopytuje, gdy pozwalam myślom wrócić do dnia, w którym Jim urządził w swoim mieszkaniu imprezę powitalną dla swojego przyjaciela.

Nigdy nie zapomnę szoku, jaki wtedy czułam. Szoku i strachu, że ktoś z obecnych zauważy żar, który wciąż iskrzył między mną a Mariposą.

– Rhys zlecił swoim ludziom mnie porwać – wyznaję po chwili zastanowienia.

Nie chciałam mówić o tym nikomu, ale ona musi wiedzieć. Musi poznać całą prawdę.

– Żartujesz sobie ze mnie? – pyta ze złością. Jednak wystarczy jedno jej spojrzenie w moje oczy, by wiedzieć, że mówię prawdę. – O cholera, nie wiem, po co opłacam Netfliksa, skoro to, co mówisz, jest o wiele ciekawsze niż niejeden serial.

To prawda, myślę.

Gdybym zaczęła transmitować w sieci swoje życie, mogłabym zarobić na tym kupę kasy.

– Wciągnęli mnie do samochodu i nafaszerowali jakimś gównem, przez które o mało nie umarłam. Przynajmniej wtedy tak czułam. Jak przez mgłę pamiętam, że tłumaczyli Rhysowi, że mój organizm źle zareagował, ale on wiedział, że złamali jego zalecenia i podali mi więcej narkotyku, niż powinni. Jeden z nich został... zlikwidowany.

Nancy przystaje.

– Co znaczy zlikwidowany?

Wzdycham zrezygnowana.

– To znaczy, że Rhys go zabił albo kazał komuś to zrobić. – Nie wspominam jednak o tym, że byłam tego świadkiem. Już i tak wystarczająco przeraża mnie obojętność, którą słyszę we własnym głosie, gdy o tym opowiadam. – Proszę, nie pytaj o to – dodaję, widząc jej przerażoną, ale zaciekawioną minę. Na szczęście milczy, więc szybko kontynuuję: – Po kilku dniach wróciłam do domu, gdzie udawałam, że nic się nie stało. Po tym wszystkim tak bardzo pragnęłam szczęścia, że pozwoliłam zająć sprawom o wiele za daleko i przez to tak bardzo skrzywdziłam Jima.

Nancy opada na kolana u moich stóp, chwytając mnie za nadgarstki.

– To jest tak popieprzone, że teraz żałuję, że chciałam wiedzieć.

Przesuwam ręce, a następnie splatam palce dłoni z jej.

– Kiedy powiedziałam Jimowi, że odchodzę, wzięłam tylko kilka walizek i od razu przyjechałam do ciebie.

Patrzy na mnie, nieznacznie mrużąc zielone oczy, zupełnie inne od oczu Jima.

– Okej, jeszcze jedno. Dlaczego wróciłaś przemoczona, ranna i w towarzystwie Mariposy zamiast Moëta?

Uśmiecham się w końcu.

Najlepsze zawsze zostawiam na koniec.

– Kiedy wysłałaś mnie do sklepu, na chwilę straciłam panowanie nad własnymi emocjami, przez co zupełnym przypadkiem rozbiłam jego bentleya. Później wszystko potoczyło się samo.

Nancy puszcza moje ręce, żeby zakryć swoją twarz.

– W co ty się wpakowałaś? – mamrocze zrezygnowanym głosem.

Nie mam cholernego pojęcia.

– Poradzę sobie – zapewniam, wstając. – Może jeszcze uda mi się zasnąć. Ty też odpocznij.

Jeśli ci się to uda po tym, czego się dowiedziałaś, dodaję w myślach, gdy ta również wstaje.

– Nie skrzywdzi cię więcej – mówi, a jej głos jest tak donośny, że pewnie słyhać go piętro wyżej. – Już ja tego dopilnuję.

Z uśmiechem naciskam klamkę drzwi i nic nie mówiąc, wracam do swojego dawnego pokoju. Motyl wciąż śpi. Nawet nie zmienił pozycji podczas mojej rozmowy z przyjaciółką. Zdejmuję porwane legginsy i bieliznę, rzucając je niedbale na podłogę, po czym wsuwam się pod silne, męskie ramię. Na sekundę zamykam oczy i po raz pierwszy od dawna zasypiam głębokim spokojnym snem.

Budzę się po dziesiątej, a to oznacza, że spałam ponad osiem godzin. To zadziwiająco dobry wynik jak na mnie, zwłaszcza że odkąd pozwoliłam powiekom opaść, nie otwierałam ich aż do teraz. Jestem wypoczęta, a co za tym idzie w wyśmienitym humorze, mimo że Rhysa nie ma obok. Przekręcam się na stronę łóżka, na której spał i zaciągam się zapachem, jaki zostawił na pościeli. Nigdy nie pomyślałabym, że z pozoru tak nieistotne szczegóły mogą dać człowiekowi tyle radości.

Jeszcze przez chwilę leżę z twarzą w poduszce, po czym wstaję, ubieram koronkowe stringi oraz męski T-shirt, który Nancy pożyczyła Rhysowi, i wychodzę z pokoju. W całym mieszkaniu unosi się słodki zapach naleśników, przez co mój brzuch od razu odzywa się głośnym burczeniem.

Do moich uszu dobiegają odgłosy żywo prowadzonej rozmowy, jednak z tej odległości nie jestem w stanie odróżnić żadnych słów, lecz gdy tylko wchodzę do kuchni, Rhys i Nancy natychmiast milkną.

– Cześć. – Uśmiecham się słodko, podziwiając przystojną twarz, której oczy wpatrzone są w moje bez reszty.

– Cześć – powtarza kpiąco Motyl, podchodząc do mnie. Zanim zdążę zaprotestować, bo przecież nie zdążyłam nawet umyć zębów, przyciąga mnie do siebie i całuje delikatnie, ale stanowczo. – Tak lepiej. – Prostuje się, chwytając palcem wskazującym i kciukiem moją brodę. – Wypałaś się?

Potwierdzam skinieniem głowy, ponieważ jego widok ponownie zapiera mi dech w piersi.

– Nie masz koszulki? – pytam nieśmiało, gładząc dłońmi gładką skórę na jego klatce piersiowej.

Zachowuję się jak piętnastolatka, ale zupełnie mi to nie przeszkadza.

– Moja jeszcze nie wyschła, a w zastępstwie dostałem tylko taką z logo zespołu Rammstein. Uśmiecham się szeroko na wyobrażenie Mariposy ubranego w T-shirt, który mam na sobie.

– Nie moja wina, że masz jakieś chore uprzedzenia – odzywa się Nancy.

Zupełnie zapomniałam, że również tu jest.

– Nie mam uprzedzeń – zaprzecza Rhys, nie odrywając ode mnie wzroku. – Po prostu twój były chłopak musiał mieć niecały metr siedemdziesiąt, bo koszulka sięga mi wyżej pępka.

Parskam śmiechem.

– Jonathan – przypominam sobie głośno imię chłopaka, którego czubek głowy kończył się na wysokości połowy ucha Nancy i wyswobadzam się z objęć Motyla.

– Wcale nie był taki niski – obrusza się moja przyjaciółka, przewracając naleśnik na patelni. Kiedy staje twarzą do mnie, nasze spojrzenia się spotykają. – Skończmy temat moich byłych facetów, bo zupełnie stracę apetyt. Już i tak niedobrze mi od patrzenia, jak się mizdrzycie.

Zaskakuje mnie, z jaką swobodą zachowuje się w obecności Rhysa. Mimowolnie zastanawiam się, dlaczego ja nigdy nie pokazałam mu stuprocentowej siebie. Chyba po prostu bałam się, co mógłby o mnie pomyśleć. W moich oczach jest wyśnionym ideałem, a jego inteligencja nieco mnie onieśmiela. Dlatego wciąż hamuję się, nie ujawniając swojego prawdziwego oblicza w pełni.

– Wyjeżdżamy zaraz po śniadaniu, więc obiad zjesz już bez dolegliwości żołądkowych – dogryza jej Rhys.

Posyłam mu pytające spojrzenie.

– Wyjeżdżamy?

Potwierdza skinieniem głowy, siadając przy niewielkim, okrągłym stoliku, który przy nim wydaje się jeszcze mniejszy, niż jest w rzeczywistości.

– Obiecałaś mi wieczór z trio, pamiętasz? – mówi z wyrzutem Nancy.

Zamykam oczy, próbując zebrać myśli. Tak dużo dla mnie zrobiła, że nie mam serca powiedzieć jej, że nic z tego. Z drugiej strony pozostanie moją jedyną przyjaciółką już na zawsze. Będziemy miały jeszcze wiele okazji do rozkoszowania się wybornym smakiem szczypiących w podniebienie bąbelków.

Mój brzuch ponownie odzywa się głośnym burczeniem, czym przywołuje mnie na ziemię. Dołączam do Motyla, siadając na krześle obok, lecz ten od razu wciąga mnie na swoje kolana i chowa nos w zagłębieniu pomiędzy moją szyją a barkiem.

– Przepraszam, Nancy. Nie miałam...

– Daj spokój – przerywa mi, stawiając przed nami talerz ze stertą pachnących naleśników. – Jeszcze niejeden wieczór przed nami. O ile ktoś cię nie porwie, nie znarkotyzuje albo nie zabije.

– Johnson, przeginasz – syczę, posyłając jej tysiące morderczych spojrzeń.

Patrzę też na Rhysa, który wydaje się niewzruszony słowami mojej przyjaciółki i dziękuję w duchu, że jego pistolet wciąż leży na szafce w innym pomieszczeniu, bo chyba sama bym ją w tej chwili zastrzeliła.

– Wybacz – mówi, uśmiechając się tak słodko, że tym razem to mnie mdli. – Tak tylko głupio palnęłam.

Ponownie zamykam oczy, licząc w myślach do dziesięciu, a dłoń Motyla uspokajająco ściska moje udo. *Nie odzywaj się*, podpowiada głos z tyłu głowy. Gniew Nancy jest jak burza, a burzę najlepiej przeczekać.

W milczeniu zjadamy swoje porcje, ja nawet o jedną więcej niż powinnam, po czym wstaję od stołu i sprzątam talerze, wkładając je do zmywarki. Podczas posiłku Nancy ani na chwilę nie odrywała czujnego wzroku od Rhysa, ale nie odezwała się ani słowem.

– Świetne te naleśniki, Johnson – odzywam się, żeby przełamać lody. – Zawsze byłeś mistrzem kuchni, ale dzisiaj przeszedłś samą siebie. Naprawdę.

Przyjaciółka podnosi się, wbijając we mnie poważne spojrzenie.

– To przepis twojego gangstera – wyrzuca szybko ze złością.

Przewracam oczami, a rozbawiony Rhys krztusi się sokiem pomarańczowym.

Bez słowa podchodzę do niego, chwytam za rękę i ciągnę do swojego pokoju. Po tym, jak drzwi się za nami zamykają, wypuszczam z płuc wstrzymywane powietrze.

– Przepraszam cię za nią – mówię ze skruchą. – Nie mam pojęcia, co w nią wstąpiło. Jeszcze nigdy nie zachowywała się tak zołzowato.

Uśmiecha się, dzięki czemu kolejny raz mogę rozplęwać się na widok dołeczków w jego policzkach. Przyciąga mnie do siebie i jedną ręką obejmuje w talii, a drugą zakłada mi włosy za ucho.

– Nie przepraszaj. Jest całkiem zabawnie.

Rozciągam usta w szerokim uśmiechu.

Chyba nigdy nie widziałam go tak wyluzowanego i beztroskiego.

– Zbierajmy się, zanim Nancy każe nam spadać. Dziwię się, że jeszcze tego nie zrobiła po tym, co jej o tobie powiedziałam.

– Próbowala – przyznaje Rhys, a moje oczy robią się okrągłe jak spodki. – Spokojnie, nie udało się jej. Jak widać, wciąż tu jestem.

Mruga okiem, ale coś w jego postawie się zmienia. Staje się bardziej wycofany i poważny. Cholera, że też wcześniej nie pomyślałam o tym, żeby zabronić przyjaciółce wspominać o tym, że wie więcej, niż powinna. Niestety, wygląda na to, że całkiem puściły jej hamulce.

– Przepraszam – powtarzam, mając ochotę wrócić do kuchni, żeby skopać jej zgrabny tyłek.

Rhys odsuwa się ode mnie, po czym sięga po pistolet leżący na szafce nocnej. Przestaję oddychać, a z mojej twarzy odpływa cała krew. Przygląda mi się przez chwilę, unosząc brew, a gdy odgaduje moje myśli, wybucha głośnym śmiechem i jest to najpiękniejsza melodia, jaką kiedykolwiek słyszałam.

– Spokojnie – rzuca broń na materac łóżka – nie zamierzam jej zastrzelić. Choć muszę przyznać, że przeszło mi to przez myśl raz czy dwa.

Uderzam go pięścią w klatkę piersiową.

– Nie rób tak więcej – proszę, przelękając głośno ślinę. – Chyba za dużo zjadłam – dodaję. – Swoją drogą nigdy nie pomyślałabym, że umiesz gotować.

– Wychowywałem się bez matki, więc musiałem się tego nauczyć, żeby codziennie nie jeść pizzy, którą serwował mi wujek – odpowiada normalnym głosem, zakładając swój suchy już T-shirt i bluzę, na której gdzieś widnieją jeszcze mokre plamy.

Serce boli mnie na myśl o małym chłopcu o czarnych jak atrament włosach pozostawionym samemu sobie. To pierwsza rzecz, którą mi o sobie powiedział sam z siebie, jednak wcale się z tego nie cieszę.

– Musiało być ci ciężko – wypalam głupio.

Podnosi na mnie miodowe spojrzenie, wzruszając ramionami.

– Nie bardziej niż innym. – Zmienia dresy na dżinsy, a ja mam kilkanaście sekund, by podziwiać go w pełnej okazałości od pasa w dół. – Nie mamy wiele czasu, Melody.

Melody... Zawsze, gdy używa mojego imienia, rozmowa staje się poważna, więc wolę nie dyskutować i biorę się za sprawdzanie, czy moje rzeczy również wyschły po wczorajszej ulewie.

Gdy oboje jesteśmy gotowi, mam ochotę wyjść niepostrzeżenie bez pożegnania z Nancy, ale wiem, że nie mogę tak postąpić. Rhys wychodzi z mieszkania, żeby zapakować bagaże, do których jakimś cudem nie dostała się woda, a ja pukam cicho do uchylonych drzwi pokoju mojej przyjaciółki. Odpowiada mi cisza, więc popycham je lekko. Zamieram w chwili, w której się otwierają, a moje serce przestaje bić na ułamek sekundy.

– Johnson – szepczę łamiącym się głosem.

Leży na łóżku zwinięta w kłębek i płacze, nie wydając z siebie żadnych dźwięków. Gdyby nie łyż znaczące czarne ścieżki tuszu na jej policzkach, nie miałabym pojęcia, w jakim jest stanie. Do tej pory widziałam tylko kilka razy, jak płakała. Raz, jak zmarł jej dziadek, drugi raz, jak oblała najważniejszy egzamin na swojej uczelni, i trzeci – właśnie teraz. Odzyskując panowanie nad własnym ciałem, doskakuję do niej i chwytam za zaciśnięte w pięści dłonie.

– Co się stało? – dopytuję, szukając wzrokiem jej spojrzenia.

Zabiera ręce z mojego uścisku, po czym siada, podciągając kolana pod brodę.

– Po prostu cholernie się o ciebie boję – wyznaje, patrząc gdzieś ponad mnie. – Wiem, że jesteś zakochana. Wiem, że nigdy nie zrozumieję tego, co do niego czujesz, bo cokolwiek to jest, jest dziwne i pokręcone, ale zajebiście silne. Znalazłaś mężczyznę swoich marzeń: inteligentny, władczy, chwilami zabawny, doskonały w łóżku, o sylwetce greckiego boga i nieziemsko przystojnej, niemal anielskiej twarzy. Nie patrz tak na mnie – syczy. – Jest idealny pod wieloma względami, ale, Mel, on śpi z pieprzonym pistoletem!

Wiem, co ma na myśli. Mnie samą przeraża to wszystko bardziej, niż dają po sobie poznać.

– Rhys mnie nie skrzywdzi – mówię pewnym, spokojnym głosem.

Przynajmniej nie fizycznie, dodaję w myślach.

– On za tobą szaleje, Mel, może nawet cię kocha, ale nie ufam mu. Jest niebezpieczny i dobrze o tym wiesz. Nie mogę zatrzymać cię tu siłą, ale błagam, uważaj na siebie. Cokolwiek by się działo, nie trać czujności i dzwoń... – urywa, połykając sphywające do gardła łyzy. – Dzwonić codziennie. – Teraz to jej łamie się głos.

Obejmuję niepewnie jej szczupłe ciało, lecz ona nie odwzajemnia uścisku.

Wstaję, a poczucie winy już nie daje mi spokoju, mimo że jeszcze jej nie opuściłam. Wzdrygam się, kiedy ktoś za moimi plecami chrząka znacząco.

– Musimy jechać, skarbie.

Pochylam się i całuję przyjaciółkę w czoło.

– Nie martw się – szepczę tak cicho, żeby tylko ona słyszała moje słowa. – Jeśli coś mi zrobi, ty pierwsza będziesz mogła odstrzelić mu jaja.

Kiedy powoli wycofuję się z pokoju, na jej twarzy błąka się uśmiech. Nie mówię nic więcej. Nie żegnam się, ponieważ nie znikam na zawsze. Bez słowa mijam Motyla, a następnie wychodzę z mieszkania, do którego wrócę jeszcze nie raz, bo to właśnie tu jest mój prawdziwy dom. A dom to nie mury. Dom to kochający cię ludzie. Ludzie, którzy trwają przy twoim boku bez względu na wszystko. Nancy bez wahania oddałaby za mnie życie i ja zrobiłabym dla niej to samo.

Może nawet i więcej.

Rozdział 2

Mimo kilku prób podjęcia przeze mnie rozmowy, której widmo wciąż nad nami wisi, psując całą atmosferę, Rhys skutecznie mnie zbywa. Po godzinie poddaję się i milknę na kolejne trzy godziny. Kiedy wjeżdżamy na teren prywatnego osiedla, Lana Del Rey przepięknie śpiewa o tym, że szczęście jest motylem. *Moje na pewno*, myślę, dlatego jeszcze dokładniej wsłuchuję się w jej słowa.

– *If he's as bad as they say, then I guess I'm cursed* – powtarzam, nucąc cicho.

Rhys parkuje volvo na jednym z miejsc podziemnego parkingu okazałego wieżowca, a ja nie mogę oprzeć się wrażeniu, że Lana śpiewa właśnie o nas. Zawsze mocno odczuwałam sztukę, lecz odkąd w moim życiu pojawił się Mariposa, mój motyl, wszystko uderza we mnie znacznie intensywniej. Silnik gaśnie, a wraz z nim milknie smutny, melancholijny głos Lany, któremu udało się wdrzeć w dalekie zakamarki mojej duszy. Otwieram drzwi, po czym wysiadam, a Rhys razem ze mną.

W zamyśleniu przyglądam się, jak Motyl wyjmuje z samochodu wszystkie moje walizki. Nancy boi się, że Rhys zrobi mi krzywdę. Czy jest do tego zdolny? Oczywiście, że tak! Mimo pełnej świadomości o zagrożeniu płynącym z jego strony, nie boję się. Ufam mu i...

– Dlaczego tak na mnie patrzysz? – pyta, wręczając mi uchwyt jednej z walizek.

– Kocham cię – kończę myśl na głos, uśmiechając się nieśmiało.

I na jego twarzy pojawia się uśmiech, choć jest przelotny i nie obejmuje oczu, które wwiercają się w tarczę, którą się osłaniam. Muska ustami moją skroń, po czym chwyta dwie pozostałe walizki i wskazuje gestem, żebym szła pierwsza. Ruszam przed siebie po betonowej nawierzchni. Przystaję przy szklanych, przesuwanych drzwiach, czekając, aż się otworzą, a gdy to się dzieje, przechodzę prosto do wind. Dziwnie być w budynku, z którego nie tak dawno temu chciałam jak najszybciej się wydostać.

– Mieszkasz tutaj? – pytam głupio w momencie, w którym Rhys do mnie dołącza, wybierając numer piętra. Potwierdza skinieniem głowy. – Znam to miejsce. Amelie marzyła, żeby kupić tu apartament, ale chyba nie było jej wtedy na to stać. Gdyby jej się udało, byłibyśmy sąsiadami. – Chichoczę. – Wyobrażasz to sobie? Wpadalibyśmy na siebie przypadkiem w windzie, na parking, siłowni... Rhys?

Przenosi na mnie nieobecne spojrzenie.

– Jasne – mówi odległym głosem.

Marszczę brwi, zastanawiając się, gdzie podział się mój ciepły, czuły chłopak, którym był jeszcze kilka godzin temu.

– Wszystko w porządku? – pytam, gdy drzwi windy rozsuwają się na osiemdziesiątym ósmym piętrze.

– W jak najlepszym – zapewnia, czekając, aż wyjdę.

Szybko pokonujemy otwartą, jasną przestrzeń, po czym Rhys otwiera jedno z dwóch drzwi znajdujących się na tej kondygnacji. Jeśli to apartament Amelie zrobił na mnie duże wrażenie, to teraz muszę mieć naprawdę śmieszny minę. Zsuwam buty ze stóp i niedbale zostawiając walizkę, wchodzę dalej. Kiedy byłam tu ostatni raz, nie zwracałam dużej uwagi na to, co mnie otacza, a fakt, że mój organizm był nieco otumaniony działaniem leków, ani trochę nie pomógł mi skupić się na wystroju. Kręcę głową, odganiając nieprzyjemne wspomnienia. To nie najlepszy czas, żeby się w nich zatapiać.

Oczami wielkimi jak spodki przyglądam się ogromnemu salonowi. Dosłownie wszystkie ściany zewnętrzne budynku są z czegoś, co na pierwszy rzut oka wygląda jak szkło. Na wprost mnie stoi okazała kanapa w kształcie litery L obita beżowym materiałem, który w promieniach słońca wpada w złotawe odcienie. Po mojej prawej stoi przepiękny fortepian, a litery na jego lśniącej, czarnej obudowie układają się w napis Kawai. Jest naprawdę duży i nawet z tej odległości robi na mnie wrażenie. Dlaczego nigdy nie zapytałam Rhysa, czy gra? W siedzibie jego firmy stało pianino, to oczywiście, że musi to robić.

– Czego się napijesz? – pyta, omijając mnie.

Przechodzi do kuchni, która znajduje się po mojej lewej stronie.

– Wody – odpowiadam nieco za głośno, w obawie, że mnie nie usłyszysz, mimo że nie dzieli nas żadna ściana.

Ruszam przed siebie, podziwiając spływające kurtyny tysięcy malutkich lampek. Zapadam się w kanapę, przyglądając się słońcu, które chyli się ku zachodowi. Rhys do tej pory interesował mnie jako mężczyzna. Zakochałam się w jego urodzie, umięśnionej sylwetce, dotyku, gestach, bliskości. Dlaczego nigdy nie zainteresowałam się nim jako człowiekiem? A przynajmniej nie na tyle, by wiedzieć, jak dużą przyjemność sprawia mu muzyka, jakie są jego inne pasje, co lubi jeść i jak najchętniej spędza wolny czas. Dużo rozmawialiśmy, ale głównie były to rozmowy o mnie i mojej rodzinie. Mój humor nagle ulatuje.

– Dziękuję – bąkam po tym, jak wręcza mi szklankę zimnej wody.

Upijam niewielki łyk, a następnie odstawiam naczynie na marmurowy blat stolika kawowego o złotych rzeźbionych nogach.

– O czym myślisz?

Przenoszę spojrzenie błękitnych oczu na Rhysa, który siada bokiem na kanapie, z twarzą zwróconą w moją stronę.

– Co się dzieje? – pytam wprost, mając po dziurki w nosie tych wszystkich nieudomówień. – Zachowujesz się zupełnie inaczej niż wczoraj i dzisiejszego ranka. Jeśli myślałeś, że nie zauważę, to muszę ci powiedzieć, że kiepski z ciebie aktor.

Odchyła się nieco do tyłu, patrząc na mnie z góry.

– Co z Jimem, Melody?

Biorę głęboki oddech.

A więc o to mu chodzi...

– A co ma być z Jimem? – irytuję się. – To świetny facet i męczą mnie ogromne wyrzuty sumienia, że tak go potraktowałam, ale nie mogłam go dłużej oszukiwać. Nie mogłam oszukiwać

siebie. Kiedy dotarło do mnie, że był tylko lekiem na twoją nieobecność, zakończyłam to. Chciałam zniknąć, zapomnieć o wszystkim u Nancy, ale ty znowu wpadłeś do mojego życia jak huragan, siejąc w nim totalne spustoszenie.

Rozbawiony unosi brwi.

– Huragan?

– Rhys, co teraz będzie? – Czuję, jak w moim gardle zaczyna rosnać spora gęła. Przełykam szybko ślinę i mówię dalej, zanim Motyl cokolwiek odpowie: – Tak naprawdę nic o tobie nie wiem, a sam nie jesteś skory do zwierzeń. Boże, nie wiem nawet, czym tak naprawdę się zajmujesz. Wiem, że masz kilka klubów oraz hotel. Domyślam się, że grasz – wskazuję gestem fortepian – ale poza tym nie wiem o tobie zupełnie nic. Udowodniłeś mi, do czego jesteś zdolny i przeraża mnie to, że się tego nie boję. Cholera, przeraża mnie to, kim się przy tobie staję.

Rhys patrzy na mnie przez chwilę uważnie, nie spuszczać wzroku z mojej twarzy, po czym pochyla się tak, że nasze usta dzieli zaledwie kilka centymetrów.

– Wiesz więcej, niż myślisz, skarbie – szepcze, a jego ciepły oddech łaskocze moją skórę nad górną wargą. – Musisz tylko bardziej ufać sobie i swojej intuicji.

Odsuwam się, ponieważ od jego bliskości kręci mi się w głowie.

– Nancy miała rację – mówię bardziej do siebie. – Jesteś gangsterem.

Marszczy brwi, słysząc moje słowa, a gdy dociera do niego ich sens, wybucha głośnym śmiechem. Czerwienieję, wbijając zawstydzony wzrok w dłonie leżące na udach.

Przekłeta Nancy i jej teorie!, zaklinam w myślach.

– Twoja przyjaciółka posiada dużą wyobraźnię – odzywa się. Jego kciuk wraz z palcem wskazującym lądują na mojej brodzie, zmuszając, bym spojrzała mu w oczy. – Nie jestem zwykłym gangsterem, skarbie. Jestem kimś o wiele gorszym.

Chce mnie nastraszyć czy jest zupełnie szczerzy?

Jedno spojrzenie w jego poważne oczy wystarczy mi, żeby poznać odpowiedź.

– Czy Jim i reszta wiedzą, kim jesteś?

Pamiętam, że Jim zwracał się do niego nazwiskiem, które poznałam jako pierwsze. Już wtedy zastanawiało mnie, czy wie, jak naprawdę nazywa się jego przyjaciel, czy nie chce zdradzić się przede mną, ponieważ jestem kimś z zewnątrz i należy przy mnie trzymać język za zębami.

– Paul wie o wszystkim – przyznaje. – Lou i Jim mogliby nie znieść całej prawdy.

Czyli muszą coś wiedzieć... Pytanie tylko co i ile więcej ode mnie.

– Jest dla ciebie ważny – myślę na głos. – Paul – dodaję, kiedy widzę jego pytające spojrzenie.

Puszcza moją brodę, odsuwając się nieznacznie.

– Odkąd pojawiłaś się w moim życiu, nikt nie jest ważniejszy od ciebie.

Motyl ma umiejętność odpowiadania na pytania właściwie nie odpowiadając na nie, co niesamowicie mnie denerwuje, ale jednocześnie bardzo mu tego zazdroścę. W chwili, w której ktoś przypiera mnie do ściany, daję mu to, czego oczekuje. Rhys natomiast zrobi wszystko, żeby być o krok dalej, nawet wtedy, gdy wydaje się, że przegrywa.

– To miłe, ale...

– Paul jest dla mnie jak brat – mówi szybko, widząc, że nie odpuszczam. – Jest moim powiernikiem, współnikiem, przyjacielem. Gdybym tylko go poprosił, oddałby za ciebie życie.

Prycham.

– Poznałam go, Rhys. Nie znosi mnie. Prędzej zabiłby ciebie, niż umarł za mnie.

– Próbował cię chronić.

– Przed tobą?

– Przed konsekwencjami, jakie niesie znajomość ze mną.

Przysuwam się do niego i mocno wtulam w jego klatkę piersiową.

– Jeśli kolejny raz postanowisz odejść, nie zniosę bólu, który po sobie zostawisz – wyznaję drżącym głosem. – Przyrzeknij, że od teraz będziesz przy mnie bez względu na wszystko. Kocham cię nad życie, ale muszę wiedzieć, czy traktujesz mnie poważnie, bo czuję, że tym razem moje, nasze – poprawiam się – życie diametralnie się zmieni. Kiedy pierwszy raz zobaczyłam cię w tym twoim klubie, jakiś element układanki wskoczył na swoje miejsce. Jakby nagle odnalazła się zaginiona połowa mojej duszy. Wiem, że to ty nią jesteś, częścią mnie samej, bez której nigdy nie będę w pełni szczęśliwa. – Odsuwam się, patrząc prosto w miodowe, chmurne jak burza oczy. – Oddaję ci serce i całą siebie. Na zawsze i bezpowrotnie. Jeśli znikniesz z mojego życia, równie dobrze możesz mnie zastrzelić tym swoim Glockiem, z którym się nie rozstajesz. Rozumiesz, Mariposa?

Oddycha szybko i ciężko, jakby moje słowa sprawiały mu ból.

– Ja też cierpiałem – wyznaje, przeszywając mnie spojrzeniem. Chcę uciec wzrokiem, ale powstrzymuje mnie hipnotyzujący mrok, który po raz kolejny pojawia się w jego oczach. – Każdy dzień bez ciebie sprawiał mi niemal fizyczny ból. Miałem ochotę cię zabić, kiedy zobaczyłem, że tą „gorącą laską Jima”, jak mówił Louis, jesteś ty. I gdyby nie Paul, pewnie bym to zrobił.

Blednę.

– Nie mówisz poważnie, prawda?

Posyła mi takie spojrzenie, że nie mam odwagi więcej się odezwać. Podnoszę się z kanapy, a następnie staję przy szklanej ścianie, niemal dotykając jej nosem. Tutaj, na osiemdziesiątym ósmym piętrze, wszystko wydaje się o wiele prostsze. Przynajmniej do momentu, w którym ręce Rhysa oplatają mnie na wysokości bioder.

– Nie chcę żyć bez ciebie – szepcze mi wprost do ucha, a jego głęboki głos gra na każdym kawałeczku mojej duszy.

W tej chwili czuję, że stoję na krawędzi świata i tylko jego ramiona mogą powstrzymać mnie przed upadkiem w otchłań. Równie dobrze mogą mnie w nią wepchnąć. Niestety, oba rozwiązania wydają się równie prawdopodobne.

Po kąpieli w równie klimatycznej łazience, co reszta mieszkania, ubieram wcześniej przygotowany jedwabny top na ramiączkach w srebrnoszarym kolorze oraz krótkie spodenki do

kompletu, a stopy wsuwam w białe pantofle z futerkiem. Wpatrując się w duże, okrągłe lustro w ramie z jasnego, rzeźbionego ręcznie drewna, rozczesuję wilgotne jeszcze włosy. Skóra na mojej twarzy jest jasna i promienna, a błękitne spojrzenie żywe i wesołe. Wyglądałabym naprawdę świetnie, gdyby nie te paskudne szwy na łuku brwiowym.

Z niezadowoleniem wydynam wargi, po czym wrzucam szczotkę do otwartej walizki. Zakładam włosy za uszy i ponownie wbijam wzrok w swoje odbicie. Nie wiem, ile czasu spędziłam w tej pięknej łazience, ale playlista w moim telefonie zdążyła już zapętlić się trzy razy, a to oznacza, że jestem tu ponad godzinę. W tym czasie zrobiłam peeling całego ciała, nałożyłam maseczkę na twarz i maskę na włosy – wszystko tylko po to, żeby jak najwięcej czasu spędzić samotnie.

Musiałam w spokoju przemyśleć to, co wydarzyło się wczoraj. Ostatecznie im więcej czasu temu poświęcam, rozkładając wszystko na czynniki pierwsze i analizując każde słowo, które zapamiętałam, tym bardziej się w tym wszystkim gubię. Jediną rzeczą, której jestem pewna, to miłość do Rhysa i ta dziwna pewność, że tym razem nasza relacja będzie wyglądała inaczej, lepiej.

Najbardziej boję się, że nie będę umiała zapomnieć o cierpieniu, które świadomie mi zadał, a wszystkie niedopowiedzenia, które wielokrotnie zamieniałam w wymuszony uśmiech, zjedzą mnie żywcem. Niestety, nie zawsze potrafię rozmawiać o swoich uczuciach, przez co głównie sama na tym cierpię. Biorę w dłoń telefon z szafki wiszącej pod umywalką, a następnie wyłączam odtwarzacz muzyki, nie pozwalając Annie Lennox wyśpiewać ostatnich wersów *I put a spell on you*.

Zanim wychodzę z łazienki, robię sobie jeszcze zdjęcie, które wysyłam Nancy z krótkim dopiskiem, że wszystko u mnie w porządku. Gdy wychodzę na korytarz, przez chwilę stoję bez ruchu, zastanawiając się, w którą stronę powinnam pójść. Mój mózg nigdy nie potrafił zapamiętać drogi powrotnej w zamkniętych pomieszczeniach. Tak samo jest teraz, mimo że miałam okazję być tu wcześniej. Rozglądam się na boki, nie zauważając nic, co mogłoby mnie nakierować, ponieważ wszystko wygląda dla mnie jak lustrzane odbicie.

Nagle do moich uszu docierają odgłosy rozmowy dwóch mężczyzn. Ruszam więc w ich kierunku, przekonana, że właśnie tędy szłam z Rhysem, gdy pomagał mi zanieść walizkę do łazienki. Jednak, kiedy docieram do zamkniętych drzwi, uświadamiam sobie, że to był nietrafiony wybór. Chcę zawrócić, lecz wtedy głosy mężczyzn dobiegające z mojej prawej strony stają się wyraźniejsze.

– Carmelo nic nie mógł zrobić, Rhys – odzywa się głos, który skądś znam. – Produkcja na chwilę stanęła, co będzie nas sporo kosztować, ale nikt tego nie odczuje.

– Tu nie chodzi o pieniądze, wujku – odpowiada lodowatym głosem Motyl. – Chodzi o mój autorytet, który został mocno nadszarpnięty. Ludzie czekają na dostawy. Nie możemy sobie pozwolić na żadne przerwy w produkcji.

– Robimy, co możemy – tym razem odzywa się trzeci głos i jestem pewna, że ten należy do Paula. – Twoje dobre imię aż tak bardzo nie ucierpi. Lepiej powiedz, co mamy zrobić z ludźmi, którzy są za to odpowiedzialni. Pozbyć się ich?

Pozbyć się, jak to okropnie brzmi. Mam ochotę wejść tam i krzyknąć, żeby tego nie robili, choć tak naprawdę nie mam pojęcia, o co chodzi. Jednak nie mogę tego zrobić, ponieważ wydałoby się, że podsłuchuję.

– Nie. – Oddycham z ulgą, słysząc odpowiedź Mariposy. – Niech dostaną nauczkę, ale taką, by zapamiętali ją do końca życia. Niech Carmelo osobiście tego dopilnuje.

Moje serce przyspiesza w chwili, w której słyszę kroki zbliżające się w moim kierunku. *Cholera!*, zaklinam w duchu. Wiedząc, że nie zdążę uciec, pukam do drzwi i dopiero teraz zauważam, że wcale nie są zamknięte. Mijają trzy sekundy, w ciągu których nikt się nie odzywa, więc chwytam za klamkę, biorę głęboki oddech i wchodzę do pomieszczenia spowitego ciepłym, delikatnym światłem. Każda ze ścian wyłożona jest od podłogi po sufit regałami pełnymi książek, a na środku stoi okrągły stół ze szklanym blatem.

– Szukałam cię – zwracam się niepewnie do ukochanego.

Zmienił ubranie. Ma na sobie czarny golf doskonale podkreślający jego umięśnioną sylwetkę i czarne Levisy. Wyjmuje dłoń z kieszeni i przywołuje mnie gestem, widząc, że zakłopotana przestępuję z nogi na nogę. Chowam się pod jego ramieniem, obejmując jedną ręką jego pas.

– Melody – mówi Paul tytułem powitania – dobrze cię widzieć.

Czyżby?

Nieznacznie unoszę jedną, tę zdrową brew, ale nic nie mówię.

– Jednak nie wiesz, co robisz – odzywa się starszy, szpakowaty mężczyzna, świdrując mnie spojrzeniem. – Nie mogę cię winić, skoro mój siostrzeniec nie powiedział ci całej prawdy.

Nie jestem pewna, ale to chyba ten sam człowiek, który przywiózł nam samochód zastępczy, kiedy moje bmw zniszczyło śliczny tył błękitnego bentleya.

– Siostrzeniec? – wymyka się z moich ust.

Rhys odsuwa się ode mnie, a w miejscu, w którym dopiero co się stykaliśmy, czuję nieprzyjemny chłód.

– Poznaj mojego wujka – mówi oficjalnym tonem. – Cecilio Mariposa, brat mojej matki, nadzoruje najważniejsze przerzuty towaru i największe produkcje broni w rodzinnym interesie. Teraz już wiesz wszystko.

Szeroko otwieram oczy, obejmując się ramionami. Przez wyznaczenie Motyla nagle zrobiło mi się zimno. Jednak kolejny raz odnoszę wrażenie, że robi sobie ze mnie żarty. Patrzę po kolei na poważne twarze pozostałych mężczyzn.

– Powiedźcie, że on się zgrywa. – W moim głosie niemal słychać błaganie. Odpowiada mi cisza, więc przenoszę wzrok na Rhysa. – Wy naprawdę jesteście jakimś pieprzonym gangiem!

– Nie jakimś tam, dziecko – odpowiada za mojego faceta jego wujek. – Nasze zasięgi sięgają dalej niż twoja wyobraźnia, a Rhys...

– Wystarczy – syczy Motyl.

– Co Rhys? – nie odpuszczam. – Chyba nie jesteś szef...

– Szefem? – Cecilio śmieje się dobrotliwie. – Można to tak nazwać. – Chwyta kurtkę przewieszoną przez oparcie jednego z krzeseł, a następnie ubiera ją i rusza do drzwi. – Teraz wiesz wszystko.

Po tym, jak wychodzi, zostawiając mnie samą z Rhysem i Paulem, uświadamiam sobie, że jeśli istnieje jakaś osoba, przed którą ten pierwszy czuje respekt, to właśnie Cecilio Mariposa. Naprawdę jest coś w tym starszym mężczyźnie, że człowiek kuli się w jego obecności mimo jego niewysokiego wzrostu.

– Stał wiedziałeś, że mój dziadek współpracuje z przywódcami największych gangów narkotykowych? – pytam, przypominając sobie, co mi kiedyś powiedział. – Bo sam jesteś jednym z nich i korzystasz z jego usług?

Rytmicznie zaciska i naprzemiennie rozluźnia szczękę.

– Mam swoich prawników niemal w każdym kraju, a Hudson nie ma pojęcia, kim jestem. Jego kancelaria jest jedynie środkiem do celu i nie ma nic wspólnego z naszą... działalnością. Paul – mówi znacząco, nie odrywając wzroku od mojej twarzy, na co jego przyjaciel natychmiast wychodzi.

Mój oddech przyspiesza, kiedy Rhys staje niebezpiecznie blisko mnie, chwyta w talii i przyciąga do siebie. Całuje mnie delikatnie, a ja mimowolnie odwzajemniam pocałunek. Dłońmi sunie powoli w dół i zaciska je na moich pośladkach. Mruczy z zadowoleniem prosto w moje usta, nie przestając całować. Napiera na mnie, więc cofam się kilka kroków, aż moje łądzwie napotykają opór. Podnosi mnie bez wysiłku, po czym sadza na szklanym blacie stołu.

Odchylam głowę do tyłu w chwili, w której jego usta opadają na moją szyję. Odszukuję dłońmi brzeg jego golfu i ciągnę w górę, odsłaniając twarde mięśnie brzucha. Odsuwa się, unosząc ręce tak, żeby łatwiej było mi go zdjąć, a gdy mi się to udaje, przywiera do mnie ponownie. Unoszę biodra i jedną ręką zsuwam jedwabne spodenki, pozwalając im upaść na podłogę, a drugą sprawnie rozpinam jego czarne dżinsy. Pieści moje piersi przez cienki materiał bluzeczki, doprowadzając moją krew do wrzenia. Nagle odsuwa się ode mnie, a całe moje ciało, spragnione jego dotyku, aż krzyczy, żeby wrócił i dokończył, co zaczął.

– Coś się zmieniło? – pyta, patrząc na mnie z góry.

Kosmyki atramentowych włosów opadają mu na czoło, przez co wygląda cholernie seksownie. Wiem, o co pyta. Chce się upewnić, czy nie odejdę po tym, czego przed chwilą się dowiedziałam.

– Wszystko, Rhys – odpowiadam, dysząc ciężko. Wyciągam rękę w jego stronę, a kiedy nasze dłonie się łączą, przyciągam go z powrotem do siebie i całuję, wpychając język głęboko do jego ust. – Pragnę cię – szepczę, patrząc prosto w miodowe oczy.

Zsuwa dżinsy, po czym jednym ruchem wchodzi we mnie brutalnie, ale się nie porusza. Jęczę, odchylając głowę do tyłu.

– Twój jęk mnie zabija – warczy, zaciskając palce na moich włosach. – Czy coś się zmieniło? – ponawia pytanie, szarpiąc mną delikatnie.

Unoszę powieki i chłonę żar, który płynie z jego oczu. Wiem, że już od niego nie splonę. Mogę go jedynie podsycić i sprawić, że będzie jeszcze intensywniejszy. Odważnie wyginam plecy w łuk, pokazując, że jego brutalność sprawia mi przyjemność.

– Nic – szepczę zgodnie z prawdą. – Wciąż kocham cię równie mocno.

Uśmiecha się triumfalnie, po czym zaczyna poruszać biodrami, wypełniając mnie do ostatniego centymetra. *Mój niebezpieczny Motyl*. Wbijam paznokcie w jego szyję, chłonąc całą przyjemność, którą mi daje. Przyjemność naznaczoną bólem, który sprawiamy sobie wzajemnie. Mruczy cicho i przyspiesza, a ja czuję, że wzbierająca we mnie fala zaraz eksploduje, ale nie ugasi otaczających nas płomieni. Kiedy nogi zaczynają mi drżeć, Rhys całuje mnie brutalnie, co sprawia, że pozbywam się wszelkich barier. Dochodzę, krzycząc prosto w jego usta i delectuję się żarem, który stworzył nas na nowo.

Rozdział 3

Budzę się otulona zapachem śpiącego obok Rhysa, kiedy ostre promienie słońca próbują wdrzeć się do sypialni przez ściany wieżowca. Wczoraj specjalnie poprosiłam Motyla, żeby nie zasłaniał rolet, ponieważ widok rozgwieżdżonego nieba, jaki malował się nocą, dosłownie zapierał dech w piersiach. Teraz pluję sobie w brodę, że go nie posłuchałam, bo całe pomieszczenie wypełnia oślepiające światło.

Podciągam się na łokciu, a następnie układam na boku, twarzą do śpiącego na plecach ukochanego. Delikatnie, samymi opuszkami palców sunę od wyraźnie zarysowanego obojczyka przez mostek do pępka i z powrotem, aż zatrzymuję się w miejscu, w którym powinno być serce i kładę na nim całą dłoń. Czuję jego spokojne miarowe bicie i nie mogę zrozumieć, jak ten piękny i czuły mężczyzna może być głową jednego z najniebezpieczniejszych gangów w kraju.

Prawdę mówiąc, wciąż jestem tym wszystkim zszokowana. Nawet nie wiem, jak powinnam się teraz zachować. Wczoraj omamił mnie seksem, swoją drogą najlepszym, jaki do tej pory przeżyłam, ale nie kłamałam, mówiąc, że moje uczucia do niego nie zmieniły się w żaden sposób. Nie wiem, czy cokolwiek jest w stanie je zmienić lub sprawić, by straciły na sile. Przeraza mnie to zdecydowanie bardziej, niż to, kim naprawdę jest Rhys.

Zanim zaniósł mnie do sypialni, długo leżeliśmy na stole, doprowadzając nasze oddechy do normalnego rytmu. Tuliłam się do niego, jakby był ostatnią rzeczą, która trzyma mnie przy życiu, a on opowiadał, jak to się stało, że w tak młodym wieku został bossem tego przestępczego świata. Jego mama zmarła, gdy miał zaledwie cztery lata, a śmierć ojca pamięta jak przez mgłę. Zaopiekował się nim Cecilio, brat jego matki, który już wcześniej obiecał, że dopilnuje, żeby mały Rhys od początku wiedział, jak poważną rolę przyjdzie mu odegrać, gdy dorośnie. Kiedy skończył dziesięć lat, potrafił świetnie władać bronią, a po dwunastych urodzinach biernie uczestniczył w wymierzaniu sprawiedliwości. Po prostu stał i się przyglądał, a morze krwi i śmierć towarzyszyły mu o wiele częściej niż najbliżsi.

Nie wnikałam w to, na czym polega jego „rodzinna działalność”, jak to wczoraj określił swoją profesję w rozmowie z wujkiem, uznając, że im mniej wiem, tym lepiej dla mojego zdrowia psychicznego. Najpierw muszę uporać się z samym faktem, że mężczyzna, którego kocham, jest najprawdziwszym gangsterem. Dowiedziałam się za to, że teraz, kiedy objął dowodzenie, jego czynny udział we wszystkich transakcjach jest znikomy – ma od tego ludzi, którzy gotowi są oddać za niego życie.

Zabieram rękę, ponieważ Motyl porusza się niespokojnie, lecz na szczęście się nie budzi. Siadam, zmuszając się ostatnimi siłami woli, żeby go nie pocałować i najciszej, jak potrafię, wychodzę z sypialni. Szybko odnajduję łazienkę, w której wczoraj poświęciłam tyle czasu na myślenie. Klękam przy otwartej walizce, która leży otwarta dokładnie tak, jak ją zostawiłam. Odszukuję w niej szczoteczkę do zębów i różowy, satynowy szlafrok Victoria's Secret, po czym zabieram się za poranną toaletę.

Kiedy kilkanaście minut później wychodzę z łazienki, udaję się prosto do ogromnego salonu, w którym pogrążeni w luźnej rozmowie na beżowej kanapie siedzą Rhys i Paul.

– Nie śpisz – zauważam niezwykle błyskotliwie, podchodząc do Motyla, po czym muskam jego usta na powitanie. – Cześć – zwracam się również do jego przyjaciela.

Rumienię się na myśl, że był tu gdzieś wczoraj i słyszał wszystkie odgłosy dobiegające z drugiego końca apartamentu.

– Cześć – odpowiada, uśmiechając się. – Dobrze wyglądasz.

Niewinny komplement z jego strony sprawia, że jeszcze bardziej czerwienieję. *Na pewno słyszał, jak szczytuję*, myślę, pragnąc zapaść się pod ziemię.

– Dziękuję – bąkam w odpowiedzi, przestępując z nogi na nogę.

Odwracam się szybko i ruszam do kuchni, próbując zachować resztki godności, jaka mi pozostała. Wyjmuję z lodówki sok pomarańczowy. Nie zaprzatając sobie myśli szklanką, odkręcam karton i piję prosto z niego. Krzywię się w chwili, w której zimno napoju boleśnie przenika moje zęby.

– Co? – warczę do przyglądających mi się w milczeniu mężczyzn.

Odstawiam sok na blat kuchennej wyspy, po czym wracam do salonu.

– Ubierz się – mówi Rhys, a oczy błyszczą mu wesoło. Marszczę brwi, nie rozumiejąc. – Po tym wszystkim jestem ci winien trochę normalności – wyjaśnia, widząc mój wyraz twarzy. – Po śniadaniu chcę cię gdzieś zabrać.

– Och – mówię tylko, dotykając palcami szwów na wciąż bolącym łuku brwiowym.

– Mogę? – pyta Paul, wstając z kanapy i zanim w ogóle zdążę odpowiedzieć, jest już przy mnie.

Czujnym okiem ocenia pracę mojej przyjaciółki, przyglądając się uważnie szyciu.

– Trzy szwy – mówi krótko. – Zdejmujemy za kilka dni.

Naprawdę tylko trzy? Trwało to tyle i bolało równie mocno, co dziesięć...

Paul odsuwa się, dzięki czemu mogę odejść.

– Dobrze mieć lekarza za przyjaciela – rzucam na odchodnym. – Rhys to prawdziwy szczęściarz.

White uśmiecha się uprzejmie.

– Rhys to szczęściarz – powtarza, a ja znikam, żeby się przygotować.

Od ponad godziny spacerujemy po ogrodzie botanicznym, w którym nigdy wcześniej nie byłam. Cieszę się, że włożyłam wygodne, sportowe buty od Valentino, które kiedyś podarowała mi Amelie. To było tak niedawno, a mi wydaje się, jakby od tego czasu upłynęła wieczność. Ogród położony jest niespełna godzinę drogi od miasta, w którym mieszkamy na dwóch tysiącach metrów wysokości, a mimo to panuje tu wyższa temperatura niż w mieście. Z każdej strony otaczają nas najróżniejsze gatunki wyjątkowo rzadkich okazów roślin z całego świata. Jest tutaj

absolutnie pięknie. Biegam od tabliczki do tabliczki, odczytując kolejne skomplikowane nazwy. Śmieję się głośno za każdym razem, gdy nie udaje mi się którejś poprawnie wymówić.

– Zaczekaj – prosi Rhys, chwytając mnie za rękę.

Przystaję, po czym odwracam się z uśmiechem i obejmuję dłońmi jego szyję.

– Mówiłam ci, jak się cieszę, że mnie tu zabrałeś? – pytam, wspinając się na palce i muskając jego pełne usta.

– Jakież pięć razy – odpowiada ze śmiechem. – Melody, może to nie jest najodpowiedniejsze miejsce i czas, ale chciałbym ci coś dać.

Sięga do wewnętrznej kieszeni dżinsowej, podartej kurtki, a ja wstrzymuję oddech.

Czy on właśnie próbuje mi się oświadczyć? Odsuwam się nieznacznie, wrzeszcząc w duchu z przerażenia.

– Rhys – szepczę bezgłośnie.

Jednak on nie porzuca swojego planu. Oczyma wyobraźni widzę, jak wyrzucam w górę rękę, uciekając w popłochu, lecz w rzeczywistości oddycham z ulgą, kiedy w jego dłoni wcale nie spoczywa pierścienek zaręczynowy, a platynowy wisiołek – ten sam, który mu odesłałam.

– Powiedziałaś, że nie chcesz go, bo będzie ci przypominał najgorsze chwile spędzone ze mną.

– Rhys – mówię ponownie, czując, że muszę mu wyjaśnić, co dokładnie miałam na myśli, pisząc te słowa.

Ucisza mnie gestem dłoni.

– Nie próbuj przeproszać za to, co wtedy czułaś. To ja cię zraniłem, a ty wciąż tu jesteś. Twoje ostre słowa pozwoliły mi wiele zrozumieć i... Słuchaj, miałem go zwrócić – wskazuje na błyszczące cudo, które trzyma w dłoni – ale czułem, że to wcale nie koniec. To jedyny taki egzemplarz zrobiony na specjalne zamówienie. Nigdzie nie znajdziesz drugiego takiego.

Mnie także coś nie pozwalało wyrzucić cię z serca, myślę.

– Jest wyjątkowy – mówię z uznaniem, przyglądając się błękitnemu kamieniowi migającemu pośrodku platynowej rozety. – Niesamowity.

– Jak ty – stwierdza z uśmiechem, patrząc mi prosto w oczy. Nie protestuję, kiedy sprawnie zapina łańcuszek na mojej szyi. – Tu będzie mu zdecydowanie lepiej niż w mojej kieszeni.

– Miałeś go cały czas przy sobie? – Nie dowierzam.

Wzrusza ramionami, wsuwając dłonie pod moją kurtkę i bluzę. Przechodzą mnie przyjemne dreszcze, gdy dotyka mojej nagiej skóry na wysokości talii.

– Lubię cię czuć – wyznaje, napierając na mnie. Cofam się, aż moje plecy napotykną opór. – Kiedy miałem go przy sobie, byłem spokojniejszy.

Opieram się o gruby pień egzotycznej rośliny, która wygląda jak zdeformowane drzewo, choć właściwie nie mam pewności, czy można jej dotykać i pozwalałam ustom Motyla opaść na moje wargi. Pocałunek jest długi, delikatny i subtelny, a mimo to pożądanie wybucha we mnie na nowo. Już nie interesują mnie rośliny ani piękno otaczającej nas przyrody. Chcę jak najszybciej wrócić do domu.

– Moglibyśmy zatrzymać się w którymś z tutejszych hoteli? – pytam z zamkniętymi oczami po tym, jak opiera czoło o moje.

Nie widzę jego twarzy, ale czuję, że się uśmiecha.

– To wcale nie taki głupi pomysł. – Ponownie mnie całuje, wsuwając dłoń za pasek moich jasnych dżinsów.

– To świetny pomysł – przekonuję, chcąc jak najszybciej znaleźć się z nim w ustronnym miejscu.

– Ale najpierw musisz zobaczyć coś jeszcze.

Otwieram oczy, bo się ode mnie odsuwa. To wszystko jest takie... zwyczajne. Nie ma słów, jakimi mogłabym opisać moją wdzięczność za tę normalność. Boję się tylko, że życie z Rhysem dostarczy mi zaledwie jej okruchy, więc chętnie godzę się, żeby wziął mnie za rękę i poprowadził wąską ścieżką w górę.

Po tym, jak docieramy na szczyt wzniesienia, zatrzymujemy się przed zamkniętymi grafitowymi drzwiami. Rozglądam się uważnie, zastanawiając się, kto wpadł na pomysł postawienia w tym miejscu budynku, jeśli w ogóle mogę tak nazwać konstrukcję przed nami. Jest to ogromny kwadrat, którego ściany wyglądające jak ze szkła pokryte są pnącymi roślinami. Mariposa sięga do tylnej kieszeni Lewisów, po czym wyjmuje z niej klucz, którym szybko otwiera drzwi.

– To coś też jest twoje? – pytam skonsternowana.

Uśmiecha się i przechodzi przez próg, wyciągając w moją stronę rękę. Gdy dołączam do niego, od razu wchodzę w głąb pomieszczenia, otwierając buzię z wrażenia. Do moich uszu dobiega dźwięk przekręcanego klucza w zamku, ale nie dbam o to. W tej chwili nie interesuje mnie nic poza tym, co odbija się w intensywnym błękitcie moich oczu.

– Tu jest... – Nie mogę znaleźć słów, które opisałyby piękno tego miejsca. – Boże, Rhys, dlaczego nigdy wcześniej o tym nie słyszałam?

Staje za mną, obejmując mnie mocno i całuje w czubek głowy.

– Nikt o nim nie słyszał – odpowiada cichym głosem, jakby się bał, że może zepsuć atmosferę panującą wokół. – Należy do mojego dobrego znajomego. Nie jest przeznaczone dla ludzkich oczu.

Stoimy pośród dywanów najróżniejszych kwiatów w tak intensywnych kolorach, że bolą mnie oczy, a wokół nas fruują najprawdziwsze motyle. Już nie pamiętam, kiedy ostatni raz mogłam podziwiać te piękne stworzenia z bliska, a teraz jestem wśród nich w towarzystwie miłości mojego życia i czuję, że do pełni szczęścia nie potrzebuję niczego więcej.

– Jest ich tak dużo – zauważam, gładząc wnętrzem dłoni ręce Rhysa położone na moim brzuchu. – Jakim cudem udało mu się je ukryć przed światem?

– Ich hodowli poświęcił niemal całe życie – mówi, muskając ustami moją szyję. Odchylam głowę, by umożliwić mu lepszy dostęp. – Nic dziwnego, że zrobił wszystko, żeby nikt się o nim nie dowiedział. Wyobrażasz sobie, co by było, gdyby zaczęły przewijać się tu tłumy ludzi?

Dzieło życia tego mężczyzny, kimkolwiek jest, zostałyby zniszczone, odpowiadam w duchu. Odwracam się, stając twarzą do Mariposy i z jakiegoś powodu nie mogę oderwać wzroku od jego pełnych ust.

– Strasznie tu ciepło – mówię, rozpinając kurtkę i bluzę, a następnie zdejmuję je jednocześnie, pozwalając opaść im gdzieś za mną.

Jego spojrzenie ciemnieje o kilka tonów na dźwięk moich słów. Przesuwa wzrokiem od moich oczu, przez usta i szyję, żeby zatrzymać się na biuście zasłoniętym koronkowym biustonoszem.

– Poprosiłbym Josepha, żeby wyłączył ogrzewanie – mówi tak zmysłowym głosem, że na sam jego dźwięk moje podbrzusze zaciska się przyjemnie – ale mogłoby to mieć zły wpływ na te paskudztwa latające nam nad głowami.

Uśmiecham się szeroko.

– Boisz się ich! – wołam, nie dowierając.

Człowiek, którego powinien bać się cały świat, nie może znieść obecności tych małych, niegroźnych skrzydlatych stworzeń. To sprawia, że staje się bardziej ludzki, przez co nieoczekiwanie zalewa mnie potężna fala pozytywnych, niesamowicie czułych uczuć.

– Nie boję się – obrusza się, ściągając gęste, ciemne brwi. – Po prostu brzydzą mnie ich włochate odwłoki.

Boi się, a mimo to jest tutaj ze mną tylko dlatego, że wie, jaką przyjemność sprawia mi widok tych „śmiercionośnych potworów”.

– Na pewno – droczę się dalej, a szeroki uśmiech ani na chwilę nie schodzi z mojej twarzy. – Cecilio wiedział o twojej fobii, zanim mianował cię szefem tej waszej... – urywam, ponieważ gniewny błysk przecina jego miodowe tęczęwki.

– Uważaj – syczy, zbliżając usta do moich, po czym całuje mnie boleśnie powoli. – Doprowadzasz mnie do szału, Melody.

Przywieram do niego całym ciałem, wpijając się w jego usta, jednocześnie zsuwając z jego barków dzinsową kurtkę. Już nie chcę wracać do domu ani szukać żadnego hotelu. Świadomość, że jesteśmy sami w otoczeniu niewielkiego ogrodu, który wygląda jak zaczarowany, sprawia, że znikają wszystkie moje bariery. Odrywamy się na chwilę od siebie, żeby pozbyć się t-shirtu Motyla, po czym zaczyna obsypywać pocałunkami moją szyję. Chwilę później napiera na mnie tak mocno, że mimowolnie odchyłam się do tyłu, pozwalając mu położyć się na czymś, co początkowo wyglądało jak zwyczajna trawa, lecz kiedy moje nagie plecy stykają się z ciepłą i nieco kłującą nawierzchnią, uświadamiam sobie, że imituje ją sztuczne tworzywo. Nie mam czasu rozwodzić się nad tym, na czym leżę, ponieważ o wiele bardziej interesuje mnie to, kto znajduje się między moimi nogami, rozpinając swoje dzinsy i zsuwając je razem z bokserkami.

– Ile mamy czasu? – pytam, pozbywając się swoich spodni.

– Zdamy – zapewnia z tym błyskiem w oku, na którego widok za każdym razem miękną mi kolana.

Krzywię się, kiedy wchodzi we mnie bez ostrzeżenia, ale nie protestuję, pozwalając mu wypełnić mnie do ostatniego centymetra. Jego biodra poruszają się wolnym, jednostajnym tempem, a mimo to każde pchnięcie sprawia mi niesamowitą przyjemność. Przez cały ten czas

nie spuszcza oczu z mojej twarzy, a jego wzrok jest poważny, pełen czegoś, czego nie potrafię rozszyfrować.

Przyspiesza, gdy wbijam paznokcie w jego bark. Jestem blisko, on także. Poznają po jego przyspieszonym oddechu oraz pociemniałych z pożądania oczach. Wsuwa dłoń pod moje łędźwie i unosi nieznacznie, przez co czuję go jeszcze intensywniej. Jęczę cicho, odchylając głowę do tyłu i przesuwam dłoń w miejsce, w którym czuć wyraźne bicie jego serca. Pozwalam wzbierającej wewnątrz mnie fali rozkoszy zabrać się w miejsca, o których wcześniej nie miałam pojęcia. Dzięki Rhysowi kolejny raz odkrywam w sobie nieznane dotąd pokłady przyjemności i czerpię z nich najwięcej, jak się da. Kiedy czuję ciepło spływające pomiędzy naszymi ciałami, przyciągam jego twarz do swojej i całuję tak mocno, jak tylko potrafię. Dokładnie tak wygląda raj. Mój raj.

Po wszystkim leżymy bez ruchu dokładnie w takiej samej pozycji, w jakiej się kochaliśmy i próbujemy doprowadzić nasze oddechy do normalnego rytmu. Rhys chowa twarz w zagłębieniu pomiędzy moją szyją a barkiem, gładząc przy tym moje biodro, ale nie odzywa się ani słowem. Otwieram oczy i czuję się jak w bajkowym filmie, ponieważ nad nami wciąż fruwać piękne, kolorowe motyle. Jest ich tak dużo, że nie byłabym w stanie zliczyć wszystkich. Po chwili jeden z nich siada na barku Mariposa. Jest naprawdę duży albo tylko tak mi się wydaje, bo nagle znalazł się bardzo blisko mnie. Przyglądam się mu w milczeniu, żeby go nie spłoszyć. Na pierwszy rzut oka wydaje się cały czarny, lecz kiedy rozkłada skrzydła, zauważam na nich niewielkie złote plamki przy brzegach.

– Jest piękny – szepczę zachwycona.

I w tej samej chwili Rhys również go zauważa. Na jego widok podrywa się gwałtownie, jakby za moment owad miał go pożreć i krzywi się z niesmakiem. Z uśmiechem kręcę głową, ale w żaden sposób nie komentuję jego zachowania, nie chcąc go niepotrzebnie denerwować. Siadam, rozglądając się wokół, lecz nigdzie nie mogę dostrzec tego zachwycającego stworzenia, które spłoszył Mariposa, więc chwytam dzinsy leżące obok i ubieram je szybko. Zakładam też bluzę i kurtkę.

– Jesteś na mnie zły? – pytam, przyglądając się, jak ostatni element jego garderoby ląduje na szerokich barkach.

Patrzy na mnie, nieznacznie mrużąc oczy przez oślepiające światło promieni słonecznych wpadających przez przezroczysty dach. To niesamowite, że dzisiaj nawet pogoda jest dla nas łaskawa i słońce ani na moment nie chowa się za chmury od samego rana.

– Musimy porozmawiać – odpowiada, a w mojej głowie od razu zapala się czerwona lampka. Przelotnie dotyka mojego policzka, muskając kciukiem moją dolną wargę, po czym przechodzi do drzwi i otwiera je. – Pospiesz się, jeśli nie chcesz wypuścić tych krwiożerczych bestii na zewnątrz. Może i żyją krótko, ale Joseph nie byłby zadowolony, gdyby zabiła je temperatura panująca po drugiej stronie.

Bez namysłu ruszam do wyjścia, zostawiając za sobą jedno z najpiękniejszych i niewątpliwie najbardziej magicznych miejsc, jakie w życiu widziałam. Otulam się szczelnie kurtką, bo na

zewnątrz jest co najmniej kilka stopni mniej niż w ogrodzie Josepha, a moje gardło jest zbyt delikatne na tak nagłe zmiany temperatury.

– O czym chciałeś porozmawiać? – pytam zaniepokojona dziwnym zachowaniem Motyla.

To nie był pożegnalny seks, prawda? Już raz potraktował mnie w taki sposób i nie chciałabym przeżywać tego upokorzenia po raz kolejny. Jednak wtedy było inaczej. Uczucie, które nas łączyło, było jedynie zarodkiem tego, co jest między nami w tej chwili. Nie zrobiłby mi tego, jestem pewna. Musi chodzić o coś innego. Ciekawe tylko o co.

– Później, skarbie – zbywa mnie, splatając palce z moimi, kiedy ruszamy dokładnie tą samą wąską dróżką, którą tu przyszliśmy. – Najpierw muszę oddać klucze temu świrowi od robaków, a później coś zjeść.

Parskam śmiechem, wciąż nie mogąc zrozumieć, jak dorosły mężczyzna może bać się tak niewinnych owadów. Przynajmniej wiem, że to, o czym Rhys chce rozmawiać, nie jest sprawą wysokiej wagi, dzięki czemu mój strach nieco maleje, lecz nie znika całkiem. Zobaczmy, czy uda mi się wyjść z tego z głową.

Opuszczenie ogrodu zajmuje nam dobre trzydzieści minut. Burczy mi w brzuchu na widok restauracji, do której moja matka nigdy by nie weszła. Nam jednak ani trochę nie przeszkadza brak gwiazdki Michelin, bez której ona nie wyobraża sobie lokalu, w którym mogłaby coś zjeść, nie bojąc się o własne życie. Po prostu oboje jesteśmy głodni, a tutaj dostaniemy to, czego potrzebujemy najszybciej. Kiedy przechodzimy przez podwójne, drewniane drzwi, do moich nozdrzy dociera charakterystyczny w tego typu miejscach zapach przyrządzanego jedzenia. Rozglądam się uważnie, przyzwyczajając wzrok do półmroku, jaki panuje wokół. Zauważam, że każdy ze stolików oddzielony jest tapicerowanymi płytami, tworząc boksy, dzięki którym goście mają zapewnioną odrobinę prywatności. Ciągnę Rhysa w kierunku ostatniego stolika, najbardziej oddalonego od kuchni, na którą każdy ma widok, lecz ten mnie powstrzymuje.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł – mówi tak, żebym tylko ja mogła go słyszeć, pochylając się. – Przyszliśmy tu zjeść. Chyba nie chcesz się teraz pieprzyć, a tak się stanie, jeśli wybierzesz właśnie ten stolik.

Chichoczę jak nastolatka, słysząc jego słowa i staję twarzą do niego. Sunę dłonią od jego ramienia przez klatkę piersiową i twardego brzuch, aż zaciskam palce na jego kroczu, nie dbając o to, że przygląda nam się kilka par ciekawskich oczu.

– Chyba chcę – szepczę, przygryzając dolną wargę.

Uśmiecha się szeroko, odsłaniając szereg białych zębów i ze zrezygnowaniem kręci głową.

– W normalnych okolicznościach powiedziałbym, że jestem z ciebie dumny, ale naprawdę muszę coś zjeść.

Chwyta mnie za rękę, a następnie wybiera jeden z wolnych boksov mniej więcej w środkowej części sali. W chwili, w której zajmujemy miejsca naprzeciw siebie, natychmiast zjawia się kelner, wręczając nam karty dań. Uważnie śledzę menu, próbując wybrać coś, co mogłoby mi smakować. Ostatecznie zamawiam małą pizzę i frytki.

Kiedy kelner znika, Rhys patrzy na mnie jak na idiotkę.

– Pizza i frytki? – pyta z głupkowskim uśmiechem. – Nie przestajesz mnie zaskakiwać.

Prostuję się, żeby nadać pewności siebie swojej sylwetce, a następnie mówię z wyniosłą miną:

– Przegrałam ze stekiem. Muszę zabić czymś gorycz porażki.

Otwiera usta, lecz nic nie mówi. Wbija wzrok w migający ekran iPhone'a, na którym wyświetla się poważna twarz Cecilio, jego wujka.

– Przepraszam – mówi, wstając, po czym odchodzi kilka kroków i odbiera telefon.

Nawet nie próbuję wsłuchiwać się w rozmowę prowadzoną w języku hiszpańskim. Pomalowanym różowym lakierem paznokciem palca wskazującego znaczę ścieżki na drewnianym blacie, czując potrzebę przelania wszystkich emocji na płótno. Obiecuję sobie, że pierwszym, co zrobię po przekroczeniu progu apartamentu Mariposa, będzie zaszyć się gdzieś na resztę dnia, żeby malować. Jeszcze nie wiem, co będzie przedstawiał obraz, ale wiem, jakich kolorów użyję. Czerń oraz purpura, zza których dyskretnie, ale znacząco przebijać będą złote, miodowe odcienie. Z zadowoleniem klaszczę w dłonie w chwili, w której Rhys ponownie zajmuje miejsce naprzeciw mnie. Skonsternowany patrzy na mnie, unosząc jedną brew.

– Nie pytać?

Wybucham śmiechem, odrzucając głowę do tyłu. To takie dziwne zachowywać się jak najnormalniejsza para młodych ludzi zakochanych w sobie po uszy. Na razie nie dopuszczam do siebie myśli, że najdalej za godzinę wszystko wróci do dawnej postaci.

– Oj, Rhys, po prostu jestem szczęśliwa.

Splątamy ze sobą nasze dłonie, tonąc w swoich spojrzeniach. Żadne z nas się więcej nie odzywa, ponieważ istnieje między nami ta dziwna, niewidzialna nić porozumienia. Nigdy nie wierzyłam w jej istnienie, aż dotąd. Lista rzeczy, za które kocham mężczyznę siedzącego naprzeciw mnie powiększa się: tylko on potrafi sprawić, że zaczynam wierzyć w rzeczy, które wcześniej wydawały mi się nierealne. Nie wiem, ile czasu mija nam w zupełnej ciszy, ale chyba sporo, bo zjawia się kelner z zamówionymi przez nas daniami. Stawia je przed nami, po czym odchodzi, życząc smacznego.

– Muszę cię o coś zapytać – mówi Rhys, kiedy pierwszy kęs pizzy łąduje w moich ustach.

Jednak trochę mu się spieszy, zauważam w myślach. Przeżuwam spokojnie i przełykam, żeby nie mówić z pełnymi ustami, on natomiast nawet nie spojrzął na apetycznie wyglądającego steka przed sobą.

– Nie brzmi to przyjemnie – zauważam z lekkim niepokojem.

– Nie będzie przyjemnie – przyznaje, patrząc mi w oczy. – Chodzi o Helen.

Zatrzymuję dłoń, w której spoczywają dwie frytki, w połowie drogi do ust. Moja babcia nie żyje. Popelniła samobójstwo, sam Rhys mi o tym powiedział. Czy może być coś bardziej nieprzyjemnego? Wątpię.

– Dobrze. – Wkładam frytki do ust. – Pytaj.

Chrząka cicho, naprzemiennie zaciskając i rozprostowując palce obu dłoni.

– Czy dostałaś coś po jej śmierci?

Prostuję się, zaskoczona pytaniem.

– Tak, oczywiście, ale co to ma...

– Co to było? – Nie pozwala mi dokończyć.

Zamykam usta, wracając wspomnieniami do dnia, w którym został odczytany testament babci. Byłam wtedy w takim szoku wywołanym jej niedawną śmiercią, że niewiele pamiętam, a wszystko, co mi zostawiła, otrzymałam kilka tygodni później.

– Kasetka z biżuterią, kilka pierwszych wydań ponadczasowych powieści, pieniądze. Dlaczego o to pytasz?

Kręci głową.

– Nie rozumiesz – mówi lekko poirytowany. – Czy Helen zostawiła ci coś, co wydało ci się nieco dziwne lub niezrozumiałe?

Jeszcze raz przeszukuję w głowie piękną, drewnianą skrzynię, w której Helen pozostawiła mi swoje najcenniejsze skarby, jednocześnie zastanawiając się, jaki cel mają pytania Motyla.

– Coś dziwnego lub niezrozumiałego – zastanawiam się na głos. – Dysk – bąkam po chwili. – W szkatułce pod biżuterią był przenośny dysk.

Odkryłam go dopiero kilka miesięcy po śmierci babci, gdyż wcześniej nie miałam odwagi dotknąć biżuterii, którą tak kochała.

– Co na nim było?

Jego dociekliwość jest dla mnie czymś nadzwyczajnym. Nigdy wcześniej się tak nie zachowywał. Kiedy nie chciałam na coś odpowiedzieć, po prostu odpuszczał i zmieniał temat, a teraz...

– Rhys, możesz mi powiedzieć, dlaczego tak cię to interesuje? – pytam mocno zirytowana.

– Odpowiedz. – Jego głos jest spokojny i opanowany, ale czuję, że to tylko pozory.

Mam ochotę pokazać mu środkowy palec, ale nie mogę. W jego spojrzeniu jest coś, co nie pozwala mi się mu sprzeciwić.

– Nie wiem – wyznaję, wbijając wzrok w stygnący kawałek pizzy. – Za każdym razem, gdy podłączałam go do komputera, jego zawartość zaszyfrowana była hasłem, którego nigdy nie znałam. Wiesz co? – pytam, podnosząc na niego błękitne oczy. – Sam sobie to jedz, ja wracam do domu.

Leżę na dużym łóżku zwinięta w kłębek, a oczy same mi się zamykają. Motyl dostarczył mi dzisiaj tyle ruchu i emocji, że marzę teraz jedynie o śnie. Nawet nie walczę już z powiekami, pozwalam im opaść. Myślę o domu, do którego Rhys zabrał mnie pierwszy raz, o jeziorze, którego widok zapiera dech w piersiach. Wyobrażam sobie, jak Helen siedzi na pomoście, zanurzając stopy w ciepłej wodzie z twarzą skierowaną ku ostrym promieniom południowego słońca. Po raz pierwszy od jej śmierci nie czuję smutku na wspomnienie o niej. Coś, co nie dawało mi spokoju od kilku lat, wycisza się, odchodzi w cień. I chyba w końcu mogę to przyznać. Jestem szczęśliwa.

Materac ugina się pod ciężarem Rhysa, budząc mnie z płytkiego snu. Nie daję po sobie poznać, że nie śpię. Wciąż leżę na swoim lewym boku, tyłem do niego, kiedy obejmuje mnie delikatnie, całując w tył głowy. Zachował się jak palant, ale złość, którą czułam, gdzieś uleciała,

dając miejsce rosnącej ciekawości. Przez chwilę zastanawiam się, czy to odpowiednia pora na poważne rozmowy, ale prawda jest taka, że nigdy nie będzie odpowiednia.

W końcu oddech Motyla wyrównuje się i uspokaja, a ciało rozluźnia.

– Co takiego jest na tym dysku, że tak ci na nim zależy? – pytam szeptem.

Wzdycha, przekręcając się na plecy.

– Nic, skarbie – odzywa się. – Zapomnij o tej rozmowie.

Zapomnieć? Ani mi się śni!

Otwieram oczy, po czym obracam się tak, żeby leżąc na brzuchu, dobrze widzieć jego twarz. Lampka świecąca na szafce nocnej daje niewiele światła, przez co w sypialni panuje półmrok. Wystarczy jednak, bym zauważyła, że Rhys ma na sobie jedynie bokserki. Gdy opieram brodę o jego tors, wydaje mi się, że czuję delikatną woń alkoholu.

– Odpowiedz – żądam apodyktycznym tonem.

Kąciaki jego ust delikatnie wędrują w górę, co sprawia, że czuję ciepło rozlewające się po moim sercu. Jego uśmiech jest dla mnie pewnego rodzaju zapewnieniem, że między nami wszystko w porządku, że wcale nie zamierza ponownie zniknąć. Wsuwa dłoń pod moje włosy i czule gładzi odsłoniętą skórę szyi.

– Potrzebuję go – wyznaje. – Jest na nim coś, co pomoże mi zakończyć to, co przed laty zacząłem i pozwoli uwolnić się od demonów przeszłości.

Od demonów przeszłości, które skutecznie przede mną ukrywasz, myślę z wyrzutem, ponieważ chciałabym, żeby odsłonił się przede mną w stu procentach.

– Znasz hasło, żeby odczytać zawartość – bardziej stwierdzam, niż pytam.

– Znam – przyznaje. Wsuwa rękę pod moje ramiona, po czym jednym sprawnym ruchem wciąga na siebie. – Posłuchaj, Melody, jest coś, o czym powinnaś wiedzieć, ale nie każ mi mówić tego teraz. Obiecuję, że wszystkiego dowiesz się w odpowiednim czasie. Po prostu mi zaufaj.

Nasze twarze dzielą zaledwie centymetry. Wpatruję się w poważne oczy w kształcie migdałów, zastanawiając się, czy wypity przez Rhysa alkohol ma coś wspólnego z tą nagłą otwartością. A może to kolejny element gry? Karmi mnie obietnicami, żeby uspić moją czujność. Pozwala uwierzyć w swoją szczerą i otwartą, choć w rzeczywistości jest zupełnie inaczej. *Wątpliwości*. Tak wiele wątpliwości. Zsuwam się z powrotem na łóżko.

– Istnieje jakaś specjalna szkoła dla gangsterów? – pytam, myśląc głośno.

Gdyby tak było, na pewno uczyliby w niej manipulacji, umiejętności przekonywania oraz tego, jak skutecznie kłamać. Uśmiecham się nieznacznie. Tego wszystkiego uczono mnie na studiach. Niestety, nie udało mi się opanować żadnej z tych sztuk w zadowalającym stopniu.

– Szkoła dla gangsterów? Cecilio zapewnił mi odpowiednią dawkę nauki zawodu – stwierdza kpiąco. – Nie myśl o tym zbyt dużo. Zaufaj sobie. To najlepsze, co możesz zrobić w tej sytuacji, zanim zaczniesz tracić zmysły.

Podpieram dłonią głowę.

– Nie będziesz mnie chciał, kiedy zwariuję?

Już sama ta rozmowa świadczy o tym, że stało się to dawno temu, myślę nieco rozbawiona.

Rhys obraca się na bok i również opiera głowę o dłoń.

– Jesteś całym moim światem, Melody. Do tej pory miłość była mi uczuciem zupełnie obcym, prawdę mówiąc, nigdy w nią nie wierzyłem. Trochę zajęło mi, zanim zrozumiałem, że to, co do ciebie czuję, to nie tylko pożądanie. O wiele bardziej od twojego idealnego ciała interesowało mnie to, jak się czujesz, jaki masz humor, czy o mnie myślisz. Na myśl o tobie z dala ode mnie czułem prawdziwy strach o twoje bezpieczeństwo, ale i zazdrość, że ktoś inny może cię mieć na co dzień. Stałaś się moją obsesją. To oczywiste, że będę cię chciał w każdej pieprzonej sekundzie minuty bez względu na twój stan psychiczny.

Całuję go, nie mogąc dłużej znieść dzielącej nas niewielkiej odległości. Jego szczere słowa rozwiewają wszelkie wątpliwości, którym pozwoliłam zatruć swój umysł. Przez chwilę gładzę aksamitną skórę na jego brzuchu, po czym wsuwam dłoń za gumkę bokserek i zaciskam palce na twardej męskości.

– Udowodnij mi, że jesteś wart tego dysku, Mariposa – mówię prowokująco, poruszając dłońią w górę i w dół.

Z jego ust wydobywa się cichy, niski jęk w chwili, w której zsuwam jego bokserki i biorę w usta imponującej wielkości przyrodzenie. Jest mój. Triumfuję. Pozwalam wplątać się w grę. Co więcej, sprawia mi ona czystą przyjemność.

Rozdział 4

Znów budzą mnie ostre promienie słońca próbujące wdrzeć się do środka przez niezasłonięte, ogromne okna. Poprawiam się, krzywiąc twarz z bólu i z trudem ruszam zdrętwiałą szyją. Unoszę powieki w chwili, w której drzwi łazienki się otwierają, po czym pojawia się w nich Rhys z ręcznikiem przepasanym wokół bioder.

– Dzień dobry – mówi, uśmiechając się.

Palcami jednej dłoni zaczesuje do góry ciemne włosy, które opadły mu na czoło.

Podciągam się do pozycji półleżącej i również się uśmiecham. Kropelki wody na jego barkach i klatce piersiowej błyszczą niczym małe diamenty.

– Cześć – witam się ochryplym głosem, ponieważ mój organizm nie zdążył się jeszcze obudzić. – Zawsze wstajesz tak wcześnie?

Zbliża się do łóżka i siada na jego brzegu, wsuwając dłonie pod kołdrę, gdzie szybko odnajduje moje stopy.

– Wiesz, że nie – odpowiada, masując dolną powierzchnię jednej z nich sprawnymi, pewnymi ruchami. – Muszę załatwić kilka ważnych spraw, a resztę dnia mam zamiar poświęcić swojej pięknej kobiecie.

Uśmiecham się tak szeroko, że bolą mnie policzki.

– Nie chciałbyś, żeby ta piękna kobieta ci towarzyszyła?

Kręci głową.

– Wykluczone, skarbie.

Siadam, przecierając oczy wnętrzem obu dłoni. Wykrzywiam twarz w grymasie bólu, kiedy Rhys ścisną moją stopę odrobinę zbyt mocno. Od razu przestaje, przepaszając gładząc miejsce, które mnie zabolęło, po czym wstaje, przelotnie muskając ustami moje wydęte w niezadowoleniu wargi.

– Przyjadę po ciebie po południu – zapewnia, znikając za drzwiami garderoby.

Dzieje się dokładnie tak, jak obiecał. Zjawia się tuż przed czternastą, wysyłając mi wiadomość z prośbą, żebym zeszła do garażu. Chwytając w locie banana i torebkę, od razu wychodzę z apartamentu. Kieruję się do wind i jednocześnie ignoruję poważne twarze ochrony, która dwadzieścia cztery godziny na dobę pilnuje drzwi mieszkania, a teraz także mnie.

Zjeżdżają ze mną na sam dół, po czym odprowadzają do samochodu, w którym czeka na mnie Motyl. Dziękuję im, wsiadając do kosmicznie nowoczesnego pojazdu, choć ani trochę nie podoba mi się ich towarzystwo. To nie tak, że ich nie lubię. Po prostu uważam, że ochranianie mojej osoby jest zbędne. Doprawdy nie wiem, jakie niebezpieczeństwo mogłoby czyhać na mnie w windzie.

– Myślisz, że jeśli wcisnę któryś z tych guzików, to odlecimy? – pytam na wstępie, wskazując ruchem głowy na deskę lamborghini pełną różnych przycisków.

Uśmiecha się na widok mojego wkurzonego wyrazu twarzy.

– Możesz spróbować.

Zdejmuję okulary przeciwsłoneczne z jego twarzy.

– Lubię widzieć twoje oczy – wyjaśniam, gdy posyła mi pytające spojrzenie.

Uśmiecha się jeszcze szerzej, po czym odpala silnik i rusza płynnie.

– Rhys? – odzywam się, kiedy wjeżdżamy na przepelnione ulice miasta.

– Tak, skarbie?

– Dziękuję ci za wczoraj. – Chowam dłoń w jego ręce. – To była najpiękniejsza randka świata.

Nic nie mówi. Nie musi. Po prostu mocniej ściska moją dłoń, zapewniając o swojej obecności. Zatrzymujemy się przed bramą osiedla, na którym mieszka moja matka. Wyjmuję telefon, a następnie wpisuję czterocyfrowy kod w specjalnej aplikacji, naciskając *zatwierdź*, lecz nic się nie dzieje. Powtarzam czynność jeszcze kilka razy, ale efekt za każdym razem jest taki sam.

Marszczę brwi, nic z tego nie rozumiejąc.

– Zmienili... – urywam, przypominając sobie, że przecież Amelie już tu nie mieszka. – Tak szybko udało im się sprzedać apartament?

– Jak to sprzedać? – pyta zaskoczony Rhys.

Po tym, jak wsuwam telefon do kieszeni, przenoszę na niego spojrzenie.

– Podobno kancelaria potrzebowała pieniędzy – wyjaśniam, wzruszając ramionami. – Musimy jechać do domu dziadka.

– Dziwne – mruczy pod nosem, wycofując.

Nie pytam, skąd wie, dokąd jechać, uznając, że tak będzie dla mnie lepiej. *Im mniej wiesz, tym lepiej śpisz*, powtarzałam w myślach jak mantrę tak długo, aż w końcu w to uwierzyłam. Dziadek mieszka w spokojnej, cichej okolicy niedaleko centrum miasta. Osiedle nie jest duże – kilka domów jednorodzinnych, każdy w niedużej odległości od siebie. Brama wjazdowa jest otwarta, co oznacza, że albo dziadek zapomniał ją zamknąć, albo wciąż jest w domu. Mam nadzieję, że ta pierwsza opcja okaże się prawdziwa.

Sięgam po torebkę spoczywającą między moimi stopami i wygrzebuję z niej pęk kluczy, który zawsze staram się mieć przy sobie.

– Idziemy? – pytam z błyskiem w oku, podrzucając nim do góry.

– Idź sama – odpowiada Motyl, wpatrując się w kremową elewację domu. – Jeśli któreś z nich jest w środku, nie będą zadowoleni z mojego widoku.

– Jesteśmy razem – wypowiadam te dwa słowa, jakbym sama nie do końca w nie wierzyła. – Nie muszą cię lubić, ale jeśli chcą utrzymać ze mną jakiekolwiek stosunki, muszą cię przynajmniej akceptować. – Wsiadam, po czym szybko okrążam samochód i otwieram drzwi od strony kierowcy. – Chyba nie pękasz, co?

Dołącza do mnie z tą swoją niewymuszoną gracją, tłumiąc westchnienie poirytowania. Równym krokiem przemierzamy odległość między autem a domem. Nasze ręce zwisają wzdłuż ciała zaledwie milimetry od siebie, ale się nie dotykamy. Wsuwam klucz do zamka, sprawnie

otwieram drzwi i wchodzę do środka. W powietrzu unosi się delikatny, ledwie wyczuwalny zapach cynamonu, niezmiennie ten sam od lat.

Zsuwam buty ze stóp, zostawiając je na ciemnobrązowej podłodze. Przesuwne drzwi do kuchni są otwarte. Zerkam przelotnie do środka, ale nie zauważam w niej nic poza meblami o szklanych, białych frontach. Oddycham z ulgą, kiedy w dużym salonie pełnym najróżniejszych tropikalnych roślin nikogo nie zastaję. Muszę znaleźć to, po co przyszłam i szybko zniknąć. Odwracam się przez ramię, żeby sprawdzić, czy Rhys wciąż tu jest, lecz ten patrzy gdzieś ponad mnie z poważnym wyrazem twarzy.

– Amelie – mówi, kiwając nieznacznie głową.

Ponownie patrzę przed siebie, a to, co przed sobą widzę, napawa mnie najprawdziwszym niepokojem. Mniej więcej w połowie schodów prowadzących na piętro stoi moja matka. Jest jeszcze bledsza niż wtedy, gdy widziałam ją ostatni raz. Ma na sobie dużą, białą bluzę typu oversize, zupełnie nie w jej stylu, oraz legginsy. Zawsze była tak szczupła czy to ostatnie dni odcisnęły na jej ciele tak duże piętno?

– Cześć, mamó – rzucam pogodnie, jak gdyby nigdy nic.

– Witajcie – odpowiada, schodząc niżej.

W ogóle nie dziwi jej obecność Motyla. Dlaczego? Wszystko wewnątrz mnie krzyczy, że coś jest mocno nie tak.

– Przepraszam, że zjawiamy się tak bez uprzedzenia, ale nie myślałam, że kogoś tu zastanę o tej porze – mówię, nerwowo przestępując z nogi na nogę. – Pilnie potrzebuję kilku rzeczy, które zostały w twoim mieszkaniu po mojej wyprowadzce.

– Dokonujesz niezwykle konsekwentnych wyborów, moja droga. – Staje zaledwie metr ode mnie, mierząc mnie oceniającym spojrzeniem. – Biedny Jeffrey.

Zamykam oczy na dźwięk nazwiska Jima. Moja matka naprawdę wie, jakich słów użyć, żeby mnie zranić. Czuję, jak Rhys obejmuje mnie w tali i przyciąga do siebie, dając mi siłę, której niewątpliwie potrzebuję. Unoszę powieki, po czym przyglądam się uważnie twarzy Amelie. Jest blada, wyraźnie zmęczona, a czerwone otoczki wokół dużych oczu świadczą o wielu wylanych łzach. Nie chcę, ale naprawdę muszę zadać to pytanie:

– Czy u ciebie wszystko dobrze?

Próbuje się uśmiechnąć, ale na jej twarzy pojawia się jedynie krzywy grymas.

– Oczywiście – odpowiada, wysuwając podbródek. – Siadajcie, zaraz zrobię wam coś do picia.

Odkłada telefon, który przez cały czas miała w ręku, na ławę, a następnie wychodzi, wymijając nas bez słowa.

Skonsternowana spoglądam na Rhysa.

– Nie poznaję jej – mówię bezgłośnie.

Muska ustami moje czoło.

– Dlatego zrobimy, o co prosi i spróbujemy się czegoś dowiedzieć.

Nie sądzę, żeby udało się nam cokolwiek wyciągnąć od Amelie. Jeśli jest chora, czego na razie staram się nie brać pod uwagę, to jej duma nigdy nie pozwoli tego przyznać. Całe życie

udowadniała, jak silną jest kobietą. Cokolwiek teraz dzieje się z jej zdrowiem, nie powie tego głośno. A już na pewno nie nam...

W chwili, w której siadamy na dużej kanapie obitej jasnoszarym, przyjemnym w dotyku materiałem, mama wraca do salonu z tacą w dłoniach. Kiedy stawia ją przed nami, drżą jej ręce. Taktownie odwracam wzrok, żeby myślała, że wcale tego nie zauważyłam.

– Tak szybko udało ci się sprzedać mieszkanie? – pytam, żeby przerwać zalegającą między nami ciszę.

Zapada się w fotelu kolorem pasującym do kanapy, podciągając kolana.

– To świetna lokalizacja – mówi, jakby to wszystko wyjaśniało.

Kątem oka zauważam, że ekran jej telefonu rozbłyskuje, ale nikt z pozostałych nie zwraca na to uwagi. Co mam mówić? Jak sprawić, żeby powiedziała, o co chodzi? Posyłam Rhysowi spojrzenie pod tytułem: *ratuj!*

– Jesteś bardzo blada, Am – zwraca się do mojej matki. – Jesteś pewna, że dobrze się czujesz?

Wbija w niego matowe spojrzenie.

– Wyśmienicie – zapewnia chłodno. – Po co przyjechaliście?

– Pilnie potrzebuję... – urywam, uświadamiając sobie, że wcale nie powinnam mówić, czego potrzebuję – czegoś.

– Czego konkretnie? – budzi się w niej ciekawość, która na ułamek sekundy przywraca blask w jej stalowych oczach.

Sięgam po kryształową karafkę, po czym napełniam szklankę do połowy wodą.

– Potrzebuję dysku, na którym mam wszystkie zdjęcia – kłamię niedbale.

Podejrzliwie mruży oczy.

– I są ci tak bardzo potrzebne, że musisz je mieć już teraz?

Myśl, Mel, myśl!, nakazuję sobie w myślach. Muszę szybko wpaść na coś naprawdę wiarygodnego, żeby dłużej nie wzbudzać podejrzeń doświadczonej pani adwokat.

– Niedługo kolejna rocznica śmierci babci – przypominam sobie. – Chciałam powspominać, żeby w ten sposób uczcić pamięć o niej. Jeśli chcesz, możemy to zrobić razem.

– Wszystkie swoje rzeczy znajdziesz w swoim pokoju – wyrzuca z siebie szybko, patrząc gdzieś w przestrzeń ponad moją głową.

Wiedziałam, że wzmianka o jej zmarłej matce skutecznie zniechęci ją do dalszych niewygodnych dla mnie pytań. Upijam niewielki łyk wody i podnoszę się z kanapy. Telefon ponownie rozbłyskuje, więc mimowolnie na niego spoglądam. O cholera, nie wierzę! Albo mi się przywidziało, albo jeszcze przed sekundą na ekranie widniało imię i nazwisko mężczyzny, który kojarzy mi się głównie z przykrymi chwilami w moim życiu. Kręcę nieznacznie głową.

– Idziesz? – pytam Rhysa.

Marszczy brwi na dźwięk odległego tonu mojego głosu.

– Poczekał tutaj – odpowiada.

Ruszam w kierunku schodów z głową pełną niewypowiedzianych pytań. Już kiedyś przypadkiem przeczytałam kilka wiadomości od Jamesa Stone'a, które wyglądały na próbę szantażu. Ta dzisiejsza brzmiała: *czas, kochanie!* Cholerny James i jego gierki! Cholerna Amelie

i jej tajemnice... Wydaje mi się, że moja matka ukrywa ich znacznie więcej, niż mi się do tej pory wydawało.

Zatrząskuję za sobą drzwi pokoju, w którym mieszkałam niemal połowę życia. Mimo upływu lat wszystko pozostało tutaj bez zmian. Pudrowa tapeta z dużymi białymi piwoniami, duże białe łóżko, regały w kształcie domków. Przez chwilę zapominam, po co tu jestem, wpatrując się w fotografię oprawioną w srebrną ramkę zawieszoną tuż nad łóżkiem. Podchodzę bliżej, żeby móc lepiej widzieć kilkuletnią mnie wpatrzoną jak w obrazek w piękną mamę. *Musiałam ją naprawdę mocno kochać*, myślę z żalem, po czym nie zwlekając dłużej, stoję przy kilku białych kartonach ustawionych po drugiej stronie pokoju przy drzwiach.

Nie wiem, od którego zacząć, ponieważ w ostatnich miesiącach moje rzeczy tak często zmieniały swoje miejsce, że sama już nie pamiętam, gdzie co schowałam. Po kilkunastu minutach zaczynam popadać w lekką panikę, ponieważ nigdzie nie mogę znaleźć szkatułki, którą dostałam od babci. Rhys nie będzie zachwycony, jeśli powiem mu, że gdzieś ją zgubiłam. Możliwe, że jest w rzeczach, które zostawiłam u Jima. Żołądek zaciska mi się na samą myśl o tym, że będę musiała je odebrać i ponownie spojrzeć mu w oczy.

Zrezygnowana podchodzę do okna, gdzie wpatruję się w otwartą, zielonoszarą przestrzeń. Huśtawka, na której spędzałam całe dnie, wciąż stoi w ogrodzie. Podobnie jak zjeżdżalnia i karuzela. Uśmiecham się na wspomnienie dni, które tak rzadko spędzaliśmy razem. Nagle uderzam się otwartą dłonią w czoło, przypominając sobie, gdzie przed laty ukryłam szkatułkę. Odsuwam jeden z regałów i opadam na kolana. Paznokciami podważam jedną z podłogowych desek i odkładam ją na bok.

Z mocno bijącym sercem wsuwam rękę do ciemnego schowka, o którym wiem tylko ja, a następnie wyjmuję z niego śliczną, kryształową szkatułkę. Otwieram ją kluczykiem przyklejonym do jej podstawy, po czym delikatnie wysypuję zawartość na złęczone uda. Szybko odnajduję niewielkie, prostokątne urządzenie i wsuwam je do tylnej kieszeni dżinsów, po czym z powrotem wkładam biżuterię. Przez chwilę zastanawiam się, czy nie wziąć jej ze sobą, ale ostatecznie rozmyślam się i chowam ją w poprzednie miejsce.

Kiedy wracam na dół, zastaję Rhysa samego. Natychmiast wstaje na mój widok.

– Gdzie mama? – pytam.

Wzrusza ramionami.

– Chyba nie odpowiadało jej moje towarzystwo, bo wymówiła się bólem głowy i poszła się położyć, prosząc, żeby jej nie przeszkadzać.

Chce się mnie jak najszybciej pozbyć, myślę, lecz zamiast tego mówię tylko:

– Wracajmy.

Nie pyta, czy mam to, co najbardziej go interesuje. Cierpliwie czeka, aż sama zacznę ten temat, jednak ja nie mogę wyrzucić z głowy chorobliwie bladej twarzy matki i dziwnych wiadomości od Stone'a.

– Kiedy siedzieliśmy w salonie – zaczynam, gdy odjeżdżamy spod domu dziadka – ktoś wielokrotnie dzwonił do Amelie. Widziałeś, kto to był? – Potwierdza wolnym skinieniem głowy.

– I przyjmujesz to z takim spokojem? – nie dowierzam.

Spogląda na mnie kątem oka.

– A co mam zrobić, Melody? – pyta, skręcając w znajomą mi ulicę. – Jeśli zapytasz ją wprost, nie odpowie. Wystarczyło, że zauważyła, jak patrzę na ekran jej telefonu i od razu uciekła.

– Martwię się o nią – przyznaję niechętnie. – Nigdy nie widziałam jej w takim stanie.

– Zadzwoń do Paula i spróbuję wyciągnąć od niego jakieś informacje. – Marszczę brwi na dźwięk jego słów. – Jest ich prywatnym lekarzem, na pewno wie, co jej dolega.

– I pojawił się w ich życiu zupełnie przypadkiem? – pytam, kpiąc. – Nie odpowiadaj, nie chcę wiedzieć. – Wzdycham z dezaprobatą, podnosząc się nieco, po czym wyjmuję z kieszeni przenośny dysk. – Mam coś dla ciebie – mówię, obracając nim w palcach. – Jeszcze nie wiem, czy go dostaniesz. Muszę się zastanowić.

Uśmiecha się z zadowoleniem, odsłaniając szereg białych, równych zębów.

– W świetle prawa stał się moją własnością wkrótce po tym, jak przekroczyłaś próg siedziby mojej firmy.

– Co? – wykrztuszam mocno skonsternowana.

– Moja asystentka poprosiła cię o podpisanie pewnych dokumentów – przypomina ze wzrokiem wbitym w szybę. – Dobrowolnie zrzekłaś się praw do tego urządzenia.

Oddycham szybko, czując, jak z sekundy na sekundę coraz bardziej boli mnie brzuch.

– Nie mogłeś po prostu poprosić? – Nic nie poradzę, że w moim głosie wyraźnie słychać złość.

– Musiałem mieć inne wyjście, gdybyś się nie zgodziła – odpowiada, wzruszając ramionami.

Czuję wściekłość tak silną, że doprowadza moją krew do wrzenia. Zaciskam dłonie w pięści, czując, jak paznokcie wbijają się w moją skórę.

– Jesteś mocno popieprzony, Rhys – syczę, nie patrząc na niego.

Właściwie nie powinnam go winić za własną nieodpowiedzialność. Pamiętam, że tak bardzo byłam podekscytowana spotkaniem z diabelsko przystojnym mężczyzną z moich snów, że nie przeczytałam ani jednego słowa, pod którymi zostawiłam trzy własnoręczne podpisy. W tej chwili złość gdzieś ulatuje, dając miejsce zażenowaniu wywołanym moim postępowaniem.

Kilka minut później wydaję z siebie zduszony okrzyk w tym samym momencie, w którym Rhys parkuje lamborghini, od razu wyłączając silnik.

– Co ty, do cholery, robisz? – szepczę, choć sama nie wiem dlaczego.

Chyba zdenerwowanie tak mocno ścisnęło mi gardło, że nie jestem w stanie głośno wypowiadać słów.

– Musimy zabrać resztę twoich rzeczy. – Otwiera drzwi, posyłając mi ponaglące spojrzenie. – Chodź.

Wysiada, ale ja nie ruszam się z miejsca. Nie mam odwagi tak szybko stanąć twarzą w twarz z Jimem, a już na pewno nie w towarzystwie Mariposy. On jednak ma nieco inny plan, bo szybko okrąża samochód, otwiera drzwi od strony pasażera i odpina mój pas.

– Idziesz sama, czy mam użyć siły?

Czy on sobie żartuje? W ogóle nie zdaje sobie sprawy z tego, że stawia mnie w trudnej sytuacji. Momentami naprawdę brakuje mu empatii i sporej dozy wycucia.

– Rhys, proszę cię, wracaj do samochodu. Jedźmy stąd, zanim Jim nas zauważy. Poza tym moje rzeczy nie mieszczą się do twojego „batmobila”.

W tej samej chwili obok nas parkuje duży SUV, który spokojnie pomieści wszystkie moje bagaże. Motyl jedną rękę wsuwa pod moje kolana, zaś drugą oplata talię, po czym jednym ruchem wyjmuję mnie z samochodu, kopniakiem zatrzaskując drzwi.

– Nie ma go w domu – mówi, stawiając mnie przed klatką. – Nie jestem takim dupkiem, za jakiego mnie uważasz.

Dźwięk kamienia, który właśnie spada mi z serca, słychać na drugim kontynencie.

– Nie uważam, że jesteś dupkiem. No może trochę – dodaję złośliwie, wchodząc do środka.

Ze zniecierpliwieniem czekam, aż Rhys otworzy drzwi wejściowe mieszkania swojego przyjaciela. Nawet nie pytam, skąd ma klucze. Teraz liczy się dla mnie tylko to, żeby jak najszybciej tam wejść, zabrać co moje i wyjść, zanim Jim wróci. W mieszkaniu panuje niczym niezmacona cisza. Rozglądam się niepewnie, bojąc się, że Jeffrey gdzieś tu może być. Wszystkie moje rzeczy, których na szczęście nie zdążyłam rozpakować, stoją obok kanapy, a to oznacza, że mój były chłopak musiał je tu osobiście ułożyć.

Mimowolnie robi mi się smutno na myśl, że ktoś chce jak najszybciej o mnie zapomnieć. W milczeniu zanosimy wszystko, co uda nam się unieść do SUV-a, po czym wracamy po ostatnie trzy nieduże pudełka. Kiedy zamykamy drzwi na klucz, oddycham z ulgą, lecz w tej samej chwili za naszymi plecami rozlega się ciche chrząknięcie.

– O nie – mamrocę pod nosem, czując, jak uderza we mnie fala gorąca.

Rhys odstawia pudła pod nogi, a następnie odwraca się, mierząc wzrokiem swojego przyjaciela.

– Widzę, że twoje pionki już ci doniosły, że wyszedłem – mówi Jim głosem ociekającym jadem.

– Wolałeś patrzeć na jej rzeczy w nieskończoność? – głos Rhysa jest spokojny i opanowany.

Szkoda, że ja nie potrafię powściągnąć swoich emocji, przez co można we mnie czytać jak w otwartej księdze. Tuż po tej myśli zaczynam drżeć.

– Ona wie, kim dla ciebie jest? Wie, jak traktujesz kobiety? Jesteś typem zdobywcy, stary. Dobrze wiemy, że szybko się nudzisz. Rozkochujesz i porzucasz. Z nią będzie tak samo. Kto się nią zajmie, kiedy i jej roztrzaskasz życie?

Na dźwięk tych słów wstrzymuję powietrze.

– Przestań, Jim – proszę cichym głosem. Przenosi na mnie spojrzenie zielonych, zupełnie obcych mi oczu.

Chowam rękę w dłoni Motyla, żeby poczuć się pewniej, bezpieczniej.

– Ty przestań, Mel – odpowiada, stając zaledwie metr od nas. – Nie znasz go tak dobrze jak ja. Zniszczy ci życie, a wtedy nie będziesz miała nikogo, kto ukoi twój ból.

– Wystarczy – ostrzega Rhys, pokrzepiająco ściskając moją dłoń, za co jestem mu wdzięczna. – Nie wiń Melody za to, że nie potrafiła dać ci tego, czego oczekiwałeś.

Z moich ust wydobywa się okrzyk przerażenia w chwili, w której pięść Jima niespodziewanie odbija się od szczęki Mariposy. Przenoszę spojrzenie z jednego mężczyzny na drugiego,

czekając na rozwój wydarzeń. I wcale nie boję się o Motyla, lecz o Jima. Widziałam, jak Rhys uderza. Jest jak maszyna, która nie może się zatrzymać. Ten jednak w żaden sposób nie reaguje. Po prostu stoi i patrzy na swojego przyjaciela z szacunkiem, honorowo przyjmując cios, jakby wiedział, że zasłużył.

– Wynoście się stąd! – warczy Jeffrey. – Oboje.

Omijam go, w ogóle na niego nie patrząc. Zostawiam za sobą Rhysa i moje rzeczy. Zbiegam po schodach i wybiegam na zewnątrz. Opieram dłonie o kolana, oddychając ciężko. Chce mi się płakać, lecz tylko przygryzam zębami dolną wargę z cichym jękiem. Jestem szczerze przerażona tym, co przez chwilę malowało się w zielonych oczach Jima. I wcale nie chodzi mi o tę czystą nienawiść, ale o chęć zemsty, którą za wszelką cenę chciał przed nami ukryć. Boję się, bo wiem, że Jeffrey nie zemści się na Rhysie, ale na mnie. Boję się, że nie będę potrafiła odeprzeć jego ataku.

Rozdział 5

Wracamy do apartamentu w podłych nastrojach. Spotkanie z Jimem było nieprzyjemne nie tylko dla mnie, ale również dla Rhysa. Nawet nie wiem, jak bym się czuła, gdybym związała się z byłym chłopakiem Nancy. *Nie związałabyś się*, szepcze głos z tyłu głowy i wiem, że ma stuprocentową rację. Istnieją zasady, których nie można łamać. W momencie, w którym przedstawiciel płci przeciwnej wiąże się z kobietą bliską mojemu sercu, staje się dla mnie totalnie aseksualny, choćby nie wiem, jaki był pociągający w rzeczywistości.

Jednak czy mogę posądzać Motyla o niewłaściwe zachowanie wobec przyjaciela? Poznałam go, zanim zaczęłam spotykać się z Jimem, a uczucie do niego nie wygasło, mimo moich usilnych starań. Kiedy odchodziłam od Jima, nie miałam zamiaru z nikim się wiązać. Zupełnym przypadkiem wpadłam, i to dosłownie, na Mariposę. Dlaczego wszystko ostatnio jest takie pokrecone? Dlaczego nic nie może być czarno-białe?

Niemal całe życie narzekałam na monotonię, która wypełniała każdy mój dzień i teraz trochę za nią tęsknię. Żyłam w bańce, zupełnie nieprzystosowana do życia w tym podłym świecie. *Nie*, poprawiam się w duchu. *To nie świat jest podły, a ludzie, którzy po nim chodzą*. I choć wciąż mam w sobie tę dziecięcą naiwność, to czuję, że coś się zmieniło. Ja się zmieniłam. Czy na lepsze? Nie wiem. Odpowiedź przyniesie nieustannie płynący czas.

– Cześć – rozbrzmiewa gdzieś w oddali.

Kręcę głową, przywołując się na ziemię. Siedzę na kanapie z kolanami podciągniętymi pod brodę, obejmując nogi rękami, a obok mnie siada Paul ubrany w jasne, postrzępione dżinsy i biały T-shirt. To chyba pierwszy raz, jak widzę go w tak swobodnym stroju i muszę przyznać, że wygląda zupełnie inaczej. Bardziej ludzko, choć jego nienaturalnie jasne tęczęwki wciąż budzą mój niepokój.

– Cześć – odpowiadam słabo, wbijając wzrok w ekran telewizora powieszzonego na ścianie.

– Kiepski dzień?

– Koszmarny – przyznaję, przyjmując normalną pozycję. – Gdzie Rhys?

– Rozmawia z Cecilio. Nic mu nie będzie – zapewnia po chwili ciszy.

Mimo że nie wymienia imienia Jeffreya, wiem, że właśnie jego ma na myśli.

Zastanawiam się też, czy spotkania służbowe w miejscu, który uważa się za dom, to dobry pomysł. Tyle razy słyszałam o rozbiciu gangów i aresztowaniach ich przywódców, że mimowolnie zaczynam się bać o bezpieczeństwo Rhysa.

– Nie widziałeś go – mówię cicho, przywołując obraz kredowobiałej twarzy Jima. – Wyglądał, jakby był uzależniony od narkotyków i nic nie brał od kilku dni, a w oczach miał najprawdziwszy obłęd. Uderzył Rhysa.

I choć nie jestem z tego faktu zadowolona, to w pewien sposób mi tym zaimponował. Nigdy nie wypowiadał głośno swojego zdania przy przyjaciółach, bojąc się, co mogliby o nim pomyśleć, a tu proszę, potraktował Mariposę pięknym prawym sierpowym.

– Nie wiem, co takiego w sobie masz, że moi przyjaciele tracą dla ciebie głowę – żartuje Paul, próbując rozluźnić atmosferę. – Jeffrey popłacze trochę i się pozbiera. Byłaś pierwszą kobietą, w której się zakochał. Właściwie chciał wziąć z tobą ślub.

Natychmiast oblewa mnie fala gorąca.

– Ślub? – Nie dowierzam.

– Wiem od mojego brata, że planował ci się oświadczyć.

Chwytam poduszkę leżącą obok i przykładam ją sobie do twarzy, jęcząc przeciągle. Jedną decyzją zniszczyłam życie niewinnego mężczyzny. Stało się to już wtedy, gdy zgodziłam się, żeby odwiózł mnie i upojoną alkoholem Nancy do domu. Powinnam jak najszybciej pozbyć się poczucia winy, zanim zje mnie żywcem. Zapomnieć, odciąć się, choć na chwilę.

– Masz tak dość White’a, że próbujesz udusić się poduszką?

Odrzucam poduszkę na bok, uderzając nią Paula siedzącego obok i podrywam się na widok Motyla. Staje tak blisko mnie, że bez trudu mogę podziwiać złote plamki rozsiane wokół jego źrenic. Kładę dłonie na jego barkach i wtulam twarz w miękkie, lśniące materiały koszuli w czarnym kolorze.

– Wyjędźmy – proszę cicho. – Gdzieś, gdzie nikt nas nie zna i tak daleko, żeby nikt nas nie znalazł.

Cichy śmiech rozbrzmiewa tuż przy moim uchu.

– Wyjędźmy – obiecuje, gładząc dłonią moje plecy – ale jeszcze nie teraz.

Wspinam się na palce, żeby przypieczętować tę obietnicę delikatnym, powolnym pocałunkiem. Kiedy się odsuwam, w jego miodowych oczach maluje się czysta, bezinteresowna miłość, przez co uśmiecham się szeroko. Jednak uśmiech szybko znika z mojej twarzy, gdy zauważam ledwie widoczne zasinienie po lewej stronie jego szerokiej szczęki.

– Boli?

Całuje mnie w czoło, po czym kładzie na stoliku MacBooka, którego dopiero teraz spostrzegam.

– Trzeba kogoś zdecydowanie silniejszego od Jima, żeby zrobić mi krzywdę – odpowiada, mrugając okiem. – Przestań się zamartwiać, bo przedwcześnie pojawią ci się zmarszczki.

– No wiesz – bąkam, wracając na kanapę. – Skoro będziesz mnie kochał, nawet jeśli oszaleję, to kilka zmarszczek nie zrobi ci różnicy.

– Jeśli mam do wyboru szaloną i piękną a zdrową na umyśle, ale...

– Nie kończ – wchodzę mu w zdanie, uśmiechając się. – I tak mam jakieś dziesięć lat mniej niż ty.

– Siedem – poprawia.

Lekceważąco macham ręką.

– Siedem to także sporo, Rhys, więc powinieneś zacząć martwić się o swoje zmarszczki.

– Czy moglibyśmy przejść do rzeczy, skoro wciąż jesteście piękni i młodzi? – odzywa się Paul, przypominając o swojej obecności.

Mariposa posyła przyjacielowi szeroki uśmiech, po czym zajmuje miejsce między nami, stawia komputer przed sobą i włącza go. Do jednego z gniazd USB wsuwa pendrive’a, którego

mu dałam, nie wiedząc, że już wtedy prawnie należał do niego. Chyba nigdy nie przestanie mnie zaskakiwać jego przezorność i to, jak wszystko w jego życiu jest idealnie zaplanowane. On się nie spóźnia. Nawet posiłki spożywa co do minuty, codziennie w tych samych godzinach. I zawsze we wszystkim jest dwa kroki przede mną.

Chwilę trwa, zanim MacBook łączy się z dyskiem, a kiedy to się dzieje, na ekranie wyświetla się komunikat: *zawartość zabezpieczona hasłem*, z miejscem na jego wpisanie poniżej. Naprzemiennie zginam i prostuję palce obu dłoni, czując rosnące podekscytowanie, ale i strach. Nie mam pojęcia, co znajduje się na tym niewielkim dysku, ale musi to być coś naprawdę ważnego, skoro babcia zabezpieczyła go i z jakiegoś powodu przekazała mnie. Długie palce dłoni Rhysa wstukują kolejno trzy cyfry, literę, trzy cyfry i znowu literę.

– Czy to...

– Współrzędne – odpowiada natychmiast, jakby czytał mi w myślach, zatwierdzając hasło.

Zbliżam twarz do ekranu, na którym widnieją dwa foldery. Jeden z nich podpisany jest moim imieniem, drugi zaś...

– Obiecałam, że nie będę pytać, ale to – pokazuję palcem wskazującym na jego imię w niewielkiej odległości od mojego – musisz mi wyjaśnić.

Motyl przenosi folder przeznaczony dla niego na dysk komputera, po czym trwale usuwa go z pendrive'a i z trzaskiem zamyka ekran.

– Rhys – nic nie poradzę, że w moim głosie słychać wyraźny rozkaz.

– Też uważam, że powinieneś jej to wyjaśnić – popiera mnie White, dzielnie znosząc zabójcze spojrzenie miodowych tęczywek.

– Dzięki – syczy do przyjaciela, podnosząc się z kanapy. Zaczyna krążyć w tę i z powrotem, jakby się denerwował. Żadne z nas mu nie przeszkadza, wiedząc, jak go to złości. W końcu staje twarzą do nas, ale nie patrzy ani na mnie, ani na Paula i mówi: – Niedługo przed śmiercią Helen poprosiłem ją o pomoc. Chciałem, żeby dała mi coś, do czego nikt inny nie ma dostępu. Zgodziła się, ale na swoich warunkach. Poinformowała mnie, że to, czego chcę, będzie czekać bezpiecznie u ciebie. Długo zastanawiałem się, co to wszystko znaczy, aż postanowiłem odpuścić. I kiedy znowu postanowiłem to zdobyć i cię odnaleźć...

– To ja znalazłam cię pierwsza – mówię cicho.

Zabiera ze stolika komputer, odłączając przenośny dysk.

– Paul, potrzebuję cię – zwraca się do przyjaciela, na co ten powoli kiwa głową, a następnie podnosi się z kanapy.

Prycham z niedowierzaniem, wstając.

– Naprawdę będziecie przeglądać to wszystko beze mnie – bardziej stwierdzam niż pytam. – To cholernie nie fair.

Paul wbija wzrok w przestrzeń przed sobą, a Mariposa chwytając przelotnie moją dłoń, a gdy ją puszcza, moje palce zaciskają się wokół pendrive'a Helen.

– Nie zapominaj o tym – mówi, po czym odwraca się z gracją i odchodzi, znikając za ścianą, a wraz z nim Paul.

– Świetnie – mamrocę pod nosem, kładąc się bokiem na wygodnej kanapie.

Obracam w palcach niewielkie urządzenie, które w tej chwili ciąży mi na sercu jeszcze bardziej niż tuż po śmierci babci. Muszę poznać jego zawartość. Być może uda mi się dowiedzieć, dlaczego babci tak bardzo zależało na tym, żeby Rhys Mariposa pojawił się w moim życiu.

Zamknięta w sypialni Rhysa siedzę na miękkiej wykładzinie, opierając się o łóżko ze wzrokiem wbitym w ekran laptopa. Czy się boję? Bardzo. Skąd ten irracjonalny strach? Nie mam cholernego pojęcia. Przecież Helen nigdy by mnie nie skrzywdziła, a to, co dla mnie ma, to najpewniej zbiór najważniejszych wspólnych wspomnień uwiecznionych na fotografiach i filmach. Była bardzo sentymentalna, kolekcjonowała je wszystkie, dlatego ta opcja wydaje mi się najbardziej prawdopodobna.

W końcu zbieram się na odwagę i odtwarzam w głowie cyfry oraz litery, których użył Mariposa do otwarcia zawartości dysku, następnie wpisuję je szybko, po czym wciskam enter. Moim oczom ukazuje się tylko jeden folder, ale zanim go otworzę, wpisuję do notatek telefonu hasło na wypadek, gdyby jakimś cudem wyleciało mi z głowy. Jak tak teraz patrzę na zapisane cyfry, faktycznie wyglądają na współrzędne. *Dziwne*. Nigdy wcześniej nie spotkałam się z tak oryginalnym pomysłem na kod.

Odkładam telefon i szybko, zanim się rozmyślę, otwieram folder podpisany moim imieniem. Biorę głęboki oddech, a następnie odtwarzam nagranie video. Kiedy cały ekran wypełnia twarz mojej babci, na której maluje się smutny uśmiech, wstrzymuję powietrze. Film jest tak doskonałej jakości, że z łatwością dostrzegam lśniące łzy w jej stalowoszarych oczach.

– Kochanie – zaczyna babcia, a moje serce przyspiesza na dźwięk jej głosu – nie chciałam cię zostawiać, ale skoro to oglądasz, wszystko wskazuje na to, że tak się właśnie stało. Mam nadzieję, że się nie gniewasz, ponieważ nie mam wiele na swoje usprawiedliwienie. Musiałam to zrobić. Helen Prince musiała przestać istnieć z wielu powodów. Jednak nie zostawiam cię samej. Jest ktoś, kto obiecał mi cię chronić i jestem przekonana, że dobrze wybrałam. Rhys to mądry i dobry młody człowiek, ale z pewnością to wiesz, inaczej nie oddałabyś mu tego dysku. Nie gniewaj się na niego. Przed odejściem przekazałam mu hasło, prosząc, by pod żadnym pozorem nie wtajemniczał cię w to, co zostawiłam dla niego, zanim nie uzna, że jesteś na to gotowa. Nie mam pojęcia, co was łączy. Mam nadzieję, że przynajmniej się przyjaźnicie. Czymkolwiek jest wasza znajomość, dbaj o nią, bo spotkałaś na swej drodze naprawdę wyjątkowego mężczyznę.

Milknie, jakby dawała mi szansę na przemyślenie wszystkich jej słów. Wygląda na to, że znała Motyla o wiele lepiej, niż on sam twierdzi. Poprosiła, żeby mnie chronił, nie wiedząc, że jest osobą, która może zranić mnie najdotkliwiej ze wszystkich. Jednak wtedy nie mogła tego wiedzieć. Historia jak z filmu – nasza znajomość była zaplanowana kilka lat wcześniej, zanim w ogóle wiedzieliśmy o swoim istnieniu. Nie wiem, czy powinnam się z tego cieszyć, ale w tej chwili czuję głupią radość na tę myśl. Zamieniam się w słuch, kiedy Helen ponownie się odzywa:

– Wiem, że nie mogę zostawić twojego bezpieczeństwa w rękach tylko jednego człowieka, więc proszę cię, byś uważała na siebie. Gdy widziałam cię ostatni raz, przygotowywałaś się do egzaminów na studia. Jeśli udało ci się je zdać, wyjedź i nie wracaj do domu. Jeśli jednak postanowisz wrócić, miej oczy dookoła głowy i ani na chwilę nie trać czujności. Nic nie jest takie, jak myślisz. Mój mąż... – urywa, a jej oczy ponownie wypełniają się łzami. – Hudson to bardzo niebezpieczny człowiek, a Amelie jest jego bronią, którą trenował od najmłodszych lat. Nie wierz w żadne ich słowo, ale też nie wzbudźaj niepotrzebnie podejrzeń swoim zachowaniem. Zaufaj Rhysowi. On wie, co robić. Melody?

– Tak? – pytam natychmiast, jakbym prowadziła zwyczajną videorozmowę.

– Tylko ty możesz go uratować. Ty i twoja miłość.

Po tych słowach twarz babci znika z ekranu.

Z trzaskiem zamykam klapę komputera, mając ochotę rzucić nim w tę przeszkloną ścianę naprzeciw mnie. Liczyłam, że czegoś się dowiem, że Helen wyjaśni mi, dlaczego odebrała sobie życie. Tymczasem nie uzyskałam odpowiedzi na żadne z pytań, a zamiast tego pojawiło się jeszcze więcej tajemniczych spraw, nad którymi nie chcę teraz myśleć. Odkąd Rhys znowu jest w moim życiu, myślałam, że wszystko ułoży się idealnie. Jednak nic nie jest takie, jak powinno.

Podnoszę się z podłogi, po czym zaczynam krążyć po pokoju w tę i z powrotem. Co ona sobie myślała? Umiera, zostawiając mi nagranie, w którym nawołuje, żebym na siebie uważała i wyraźnie sugeruje, że grozi mi niebezpieczeństwo. Powinnam się bać czy uznać to za zwykłą nadopiekuńczość? Biorąc pod uwagę fakt, że film został nagrany kilka lat temu, chyba to drugie.

Prycham zirytowana. Zbiór zdjęć i filmów. Dobre sobie.

Przystaję w chwili, w której rozbrzmiewa dźwięk wydobywający się z telefonu niedbale rzuconego na łóżko. Marszczę brwi, kiedy dostrzegam twarz dziadka wyświetlającą się na ekranie. Czego może chcieć? Czuję wzrastający niepokój, gdy dźwięk milknie. Już nie pamiętam, kiedy dzwonił sam z siebie, a nie tylko oddzwaniał. Dzwonek rozbrzmiewa na nowo, więc opadam na łóżko i odbieram rozmowę.

– A więc jesteś z nim – rozbrzmiewa po drugiej stronie, zanim zdążę cokolwiek powiedzieć.

Czy jest coś, czym Amelie się z nim nie dzieli?

– Cześć, dziadku – mówię, starając się nie zdradzać żadnych emocji. – Miło mi cię słyszeć.

– Straciłaś rozum, innego wytłumaczenia nie widzę. Singh nie jest dla ciebie.

Przewracam oczami.

On nadal myśli, że ma na mnie jakikolwiek wpływ. To śmieszne.

– Być może jest tak, jak mówisz – przyznaję obojętnie.

– Będziesz przez niego cierpieć – ostrzega.

Jakby w ogóle interesowały cię moje uczucia, myślę gorzko.

– Pozwól, że sama się o tym przekonam.

W tle słychać trzask zamykanych drzwi i głos jakiegoś mężczyzny.

– Muszę kończyć, ale wrócimy jeszcze do tej rozmowy. Do widzenia.

Rozłączam się bez słowa pożegnania. To on jest niebezpieczeństwem, przed którym ostrzegła mnie babcia? Z powrotem rzucając telefon na łóżko, po czym wychodzę z sypialni. Muszę zobaczyć Rhysa. Teraz, natychmiast.

Odnajduję go w pokoju, który nazwałam biblioteką. Jest sam. Stoi, opierając się o jeden z regałów ze skrzyżowanymi na piersi rękami. Cicho zamykam za sobą drzwi i szybko pokonuję dzielącą nas odległość, oblewając się rumieńcem na widok stołu, którego strukturę poznałam już dość blisko. Zanim Motyl zauważy, o czym myślę, chowam się w jego ramionach, chłonąc ciepło jego ciała.

– Już po wszystkim? – pyta, tuląc mnie mocno.

Mamroczę odpowiedź w jego koszulę, sama do końca nie wiedząc, co właściwie powiedziałam. Liczę w myślach do sześćdziesięciu, po czym odsuwam się od niego.

– Hudson nie jest zadowolony z faktu, że znowu się spotykamy – rzucam niby od niechcienia. – Dzwonił do mnie – dodaję na widok jego pytającego spojrzenia. – Na szczęście nasza konwersacja nie trwała długo i mam nadzieję, że prędko jej nie powtórzymy.

Rhys się prostuje.

– Skoro już mowa o twojej rodzinie, pytałem Paula, czy wie coś na temat stanu zdrowia Amelie. Wykręcił się tajemnicą lekarską.

Ostatnia osoba, która może udzielić mi jakichś konkretnych informacji, nie chce tego zrobić, choć etyka jego zawodu została złamana w momencie, w którym Motyl przekonał go, żeby leczył moich bliskich. Czuję, że jeżeli teraz odpuszczę, nigdy nie dowiem się, co naprawdę dolega mojej matce.

– Gdzie on jest?

– Kto?

Jego inteligencja zawsze mi imponowała, ale teraz mam ochotę złapać go za szyję i mocno nim potrząsnąć.

– Twój doktor – odpowiadam, nerwowo przestępując z nogi na nogę.

Rozciąga usta w uśmiechu.

– Jeśli myślisz, że uda ci się cokolwiek z niego wy...

– Gdzie jest White? – pytam, przerywając mu i mam totalnie gdzieś, że brzmię trochę ostrzej, niż powinnam.

– W łazience.

Dosłownie wybiegam z biblioteki, bojąc się, że lekarz może wyjść z mieszkania niezauważony. Zatrzymuję się przy drzwiach jednej z łazienek i walę w nie pięścią.

– Musimy porozmawiać – warczę, kiedy drzwi się otwierają i pojawia się w nich nieco skonsternowany, przystojny blondyn. Otwiera usta, żeby coś powiedzieć, lecz jestem szybsza: – Nie chcę słyszeć o głupiej tajemnicy bez względu na jej charakter, rozumiesz? Mam ich po dziurki w nosie i cholernie się wkurzę, jeśli zaraz nie dowiem się, co jest mojej cholernej matce!

White mruży oczy, jakby zastanawiał się nad sensem moich słów, po czym uśmiecha się lekko. Czuję, jak krew w moich żyłach zaczyna buzować. Naprawdę jestem aż tak zabawna?

– Możesz się wściekać, ile tylko chcesz – mówi spokojnie, krzyżując ręce na piersi – a ja i tak nic ci nie powiem. I nie zrobię tego, nie dlatego że nie mogę, tylko dlatego, że nie wiem, co dolega Amelie. Powtarzałem ci to setki razy – zwraca się do kogoś za moimi plecami, najpewniej do Rhysa. – Nie mam pojęcia, co jej jest. Pomagam im tylko w pilnych przypadkach. Jeżeli jest na coś przewlekle chora, a z tego, co mówiłeś, wszystko na to wskazuje, to zapewne leczy się w prywatnej klinice.

Cholera, jego słowa mają sens. Gdy odsuwam się, pozwalając mu wyjść z łazienki, czuję, jak złość ustępuje miejsca rozczarowaniu i rezygnacji.

– Szkoda – bąkam ledwie słyszalnie. – Naprawdę miałam nadzieję... – urywam, machając lekceważąco ręką, po czym odwracam się z zamiarem odejścia, lecz Motyl powstrzymuje mnie i przyciąga do siebie.

– Szybko się poddajesz – mówi z naganą w głosie, gładząc moje plecy. Ponownie chowam twarz w jego koszulę, upajając się jego zapachem. – Jeśli dowiem się, w jakiej klinice leczy się Amelie, byłbyś w stanie dowiedzieć się czegokolwiek?

Kątem oka spoglądam na Paula, którego twarz przybiera zamyślony wyraz.

– Mogę spróbować – odpowiada przyjacielowi – ale niczego nie obiecuję.

Przechodzimy do salonu, gdzie podaję Paulowi nazwę jedynej kliniki, którą znam i która świadczy usługi mojej rodzinie od co najmniej dwudziestu lat. Wcale nie jestem pewna, czy to właśnie tam leczy się moja matka, ale musimy spróbować. Paul odszukuje właściwy numer telefonu, a następnie odchodzi w stronę kuchni, żeby móc spokojnie porozmawiać, a ja opieram skroń o ramię siedzącego obok Mariposy, wbijając paznokcie w jego nogę tuż nad kolaniem.

– Obejrzałaś film do końca? – pyta mnie, kiedy do naszych uszu docierają pierwsze pojedyncze słowa z prowadzonej przez White'a rozmowy.

– Obejrzałam – przyznaję. – I niczego mi nie wyjaśnił, wręcz przeciwnie. Mam jeszcze więcej wątpliwości. Chwilami chciałabym przestać być sobą. Wymazać całą historię, którą stworzyłam przez ponad dwadzieścia trzy lata. Stać się czystą kartą i na nowo namalować siebie.

– I kim chciałabyś wtedy być?

Zamykam oczy, zastanawiając się nad odpowiedzią.

– Nie wiem – przyznaję w końcu. – Może słynną poetką? Całymi dniami siedziałabym na werandzie naszego domu i pisała o miłości do ciebie. Później wracałbyś z pracy, bo wtedy byłbyś kimś normalnym, może architektem, i kochalibyśmy się na powitanie, a później na dobranoc. Każdego ranka robiłabym ci kanapki i czule całowała na pożegnanie, żeby po twoim wyjściu owinąć się miękkim kocem i znowu usiąść w wygodnym fotelu, który kupiłbyś mi zupełnie bez okazji, a ja znowu pisałabym o tym, jak bardzo cię kocham. I tak każdego dnia do końca świata. Może nawet i dłużej.

Kiedy otwieram oczy, Paul stoi przed nami, wpatrując się w moją twarz. Czerwienieję po same koniuszki uszu, wiedząc, że słyszał każde moje słowo. *Już mogę zniknąć i zostać tą poetką, czy może jeszcze trochę poczekać?*

– Podoba mi się – mówi Rhys, całując mnie w skroń. – I co? – zwraca się do przyjaciela, który wciąż mi się przygląda.

– Prince jest zdrowa – odpowiada, przenosząc wzrok na Mariposę. – Jakiś czas temu poroniła i zмага się z niewielkimi powikłaniami. Wyjdzie z tego.

Szczęka z hukiem opada mi na kolana, a świat wywraca do góry nogami. Zanim w ogóle ponownie odtworzę słowa Paula, muszę zrobić tylko jedną rzecz. Cała zeszywniała podnoszę się z kanapy i mechanicznym krokiem zmierzam w stronę barku. W tej chwili potrzebuję tylko jego – Johnniego Walkera, którym napełniam szklankę i wypijam jej zawartość do dna. Krztuszę się przez palącą moc alkoholu, lecz tuż po niej delectuję się przyjemnym uczuciem rozluźnienia, które jeszcze przez chwilę będzie solidną tarczą chroniącą mnie przed rzeczywistością.

Rozdział 6

Od wyjścia Paula minęło już dobre trzydzieści minut, a ja wciąż nie mogę uwierzyć w to, co powiedział. Moja matka była w ciąży. To niemożliwe! Z kim miałyby mieć to dziecko? Nigdy nie widziałam u jej boku mężczyzny, dlatego to wszystko wydaje mi się tak nierealne. Nerwowo uderzam palcami o blat kuchennej wyspy, nie wiedząc, co powinnam zrobić z informacją, która tak mocno mną wstrząsnęła. Idę do sypialni, zostawiając rozmawiającego przez telefon Rhysa i kładę się na łóżku, zwijając się w kłębek.

Gdyby Amelie nie poroniła, miałabym brata lub siostrę. Ta myśl jest tak irracjonalna, aż się uśmiecham. Nigdy nie marzyłam o posiadaniu rodzeństwa, ale teraz wydaje mi się, że fajnie byłoby mieć jeszcze kogoś. Co prawda ten człowieczek byłby sporo ode mnie młodszy i pewnie nigdy nie udałoby się nam zbudować tak silnej więzi, jaka mogłaby między nami powstać, gdybyśmy dorastali razem, ale starałabym się być najlepszą starszą siostrą na świecie. Dźwięk dzwonka telefonu wyrywa mnie z zamyślenia. Podnoszę się nieco, niechętnie spoglądając na ekran, przekonana, że to dziadek, jednak na mojej twarzy pojawia się szeroki uśmiech. Czasami lepiej założyć najgorsze, żeby później miło się rozczarować.

– Co tam, Johnson? – odzywam się, odbierając.

Od razu też włączam tryb głośnomówiący.

– Dzwonię upewnić się, że twój zgrabny tyłek wciąż chodzi po naszej planecie – mówi swoim normalnym już tonem, w którym nie słychać cienia płaczu. Kamień z serca. – Co nowego w świecie kokainą płynącym?

Wzdycham, zastanawiając się, jak ubrać w słowa wszystkie wydarzenia ostatnich dni.

– Nawet nie wiem, od czego zacząć – przyznaję zrezygnowana. – Jest tego tak dużo, że już się w tym wszystkim gubię. Rhys już dawno miał pojawić się w moim życiu, Jim potraktował jego szczękę pięścią, wyobrażając sobie, że to mnie uderza, a moja matka była w ciąży.

– Co?! – wykrzykuje Nancy.

– Chyba zacznę to wszystko spisywać, żeby nie pomieszać najważniejszych faktów, bo czuję, że jeszcze chwila i głowa mi wybuchnie. Myślę, że Rhys nie byłby zadowolony, gdyby musiał ścierać mój mózg ze ścian.

– Uwierz mi, że niejednen mózg już ścierał – dogryza, nie mogąc się powstrzymać. – Ale po kolei, opowiedz mi wszystko, a ja już robię kawę. O, może jednak otworzę butelkę wina, żeby to mój mózg nie został ozdobą ścian. – Milknie, a ja z łatwością rozpoznaję dźwięk otwieranej lodówki, a następnie korka wyjmowanego z butelki.

– Niech zgadnę, pijesz prosto z butelki?

– Oczywiście – odpowiada, wydając z siebie pomruk zadowolenia wywołany smakiem spływającego do gardła trunku. – Zamieniam się w słuch, Prince.

Biorę kilka głębokich oddechów, po czym zaczynam mówić o wizycie u Jima i o tym, jak nieprzyjemna była; o filmie, który zostawiła mi Helen i czego się z niego dowiedziałam; o ciąży

Amelie oraz wszystkich moich wątpliwościach dotyczących tej sprawy. Moja opowieść trwa naprawdę długo, ale staram się nie pominąć ani jednego szczegółu, tak żeby jak najlepiej zobrazować wszystko przyjaciółce. Kiedy kończę, zapada cisza. Spoglądam na ekran telefonu w obawie, że rozmowa została zakończona i nawet nie zorientowałam się, że wyrzucam z siebie słowa na marne, ale połączenie wciąż trwa.

– Jesteś tam, Nancy?

– Melody, wasze podobieństwo nigdy nie wydawało ci się dziwne? – pyta niepewnie.

Marszczę brwi, w ogóle nie rozumięłam pytania.

– Czyje podobieństwo? – Znowu cisza. – Powiesz w końcu, o co chodzi? – irytuję się.

Wzdycha zrezygnowana.

– Kiedy Prince'owie przyjechali po ciebie, od razu zauważyłam podobieństwo, jakie jest między tobą a twoim dziadkiem. Wiem, że dzieci często przejmują cechy wyglądu swoich dziadków, ale niepokoi mnie ta dziwna zażyłość między nim a twoją matką.

Parskam nerwowo.

– Bredzisz.

– Pomyśl tylko, dlaczego nigdy nie widziałaś z nią innego mężczyzny? – Nie odpuszcza. – Dlaczego nie ma ani jednej fotografii twojego ojca, skoro tyle dla niej znaczył? Naprawdę nie chciałabym mieć racji, ale przecucie rzadko mnie zawodzi, Mel.

Dobry Boże, myślę, jęcząc. Albo moja przyjaciółka zdążyła się upić i ponosi ją fantazja, albo mówi to, co naprawdę widzi.

– Co według ciebie powinnam zrobić? – pytam, nie poznając własnego głosu.

– Nie mam cholernego pojęcia, Mel – odpowiada z nutą zdenerwowania w głosie. – Na pewno nie możesz zapytać ich o to wprost. Musisz powęszyć, zbadać grunt. Jeśli zdobędziesz materiał genetyczny Hudsona, mogłabym porozmawiać ze znajomymi z laboratorium. Wtedy miałabyś jasność.

Nancy ma rację. Miałabym stuprocentową pewność co do tego, że Hudson Prince jest moim dziadkiem. Był nim przez wszystkie lata mojego życia, a przez zdecydowaną ich większość wychodziło mu to całkiem niezłe. Niepotrzebnie pozwalałam Johnson wzbudzać w sobie kolejne wątpliwości.

– Muszę to wszystko przemyśleć. – Kątem oka zauważam jakiś ruch, więc spoglądam na drzwi. Uśmiecham się nieznacznie po tym, jak moje spojrzenie krzyżuje się z miodowymi tęczówkami Mariposy. – Dziękuję ci za tę rozmowę, Johnson.

– Nie jesteś sama – stwierdza natychmiast. – Czekam na kolejne wiadomości, tylko dawkuj mi je z wyczuciem, bo jak tak teraz patrzę, to mój mózg wyglądałby beznadziejnie na tym ponurym odcieniu sufitu.

Śmieję się cicho, na ułamek sekundy zapominając, w jak podłym jestem nastroju.

– Do usłyszenia.

Rozłączam się, po czym siadam i odkładam telefon na szafkę nocną.

Rhys nie rusza się z miejsca, stojąc oparty bokiem o ramę drzwi ze skrzyżowanymi na piersi rękami.

– Nie lubię się powtarzać – mówi, przewiercając mnie spojrzeniem – ale jesteś najpiękniejszą istotą, jaka kiedykolwiek chodziła po tej ziemi.

Chciałabym kiedyś być tak pewna siebie, żeby bez mrugnienia okiem uwierzyć w twoje słowa.

– Rozmawiałam z Nancy – tłumaczę, z jakiegoś powodu czując się winna. – Obiecałam jej, że będę częściej dawać znać, co u mnie słychać.

Prostuje się, następnie z gracją pokonuje dzielącą nas odległość. Aż dotąd nie miałam pojęcia, że to, w jaki sposób porusza się mężczyzna, może wzbudzać pożądanie. Siada na brzegu łóżka, więc automatycznie się do niego przysuwam, opierając głowę o jego ramię. Przez chwilę kusi mnie, żeby powiedzieć mu o teorii wysnutej przez Nancy, ale rozmyślam się w ostatniej chwili. „Nic nie jest takie, jak myślisz”, słowa Helen niespodziewanie rozbrzmiewają w mojej głowie, na co natychmiast rozkładam tarczę, blokując wszystko, co krzyczy, żebym tego nie robiła.

Siadam okrakiem na Motylu, chwytając jego przystojną twarz w dłonie.

– Jaka jest twoja historia, Rhys? – pytam, patrząc mu prosto w oczy, po czym delikatnie muskam ustami jego miękkie wargi.

– To długa i nudna opowieść. Jesteś pewna, że chcesz tego słuchać?

Mam ochotę powiedzieć mu, że mógłby czytać skład soku owocowego i w tej chwili byłaby to dla mnie najpiękniejsza melodia świata, ponieważ jego głos gra na każdym kawałeczku mojej duszy, lecz zamiast tego tylko kiwam głową. Chwyta mnie w tali, spychając ze swoich kolan, po czym kładzie się na plecach i gestem ręki przywołuje do siebie. Układam się wygodnie po lewej stronie jego klatki piersiowej, żeby bicie jego serca akompaniowało głębokiemu głosowi i cierpliwie czekam, aż pozbiera myśli.

– Urodziłem się w Alicante jako wnuk potężnego barona narkotykowego, ojca mojej matki. Moja rodzina już wtedy była jedną z najbardziej wpływowych w Europie. Kiedy miałem trzy lata, mój ojciec obdarzył zbyt dużym zaufaniem człowieka, którego uważał za przyjaciela i zapłacił za to życiem. Moja matka stała się odsłoniętym celem, więc uciekła, postanawiając przejąć dowodzenie po mężu, w czym od samego początku pomagał jej Cecilio, który został w Alicante i pilnował, żeby wszystko działało bez zarzutu. To było świetne posunięcie, biznes rozwinął się na skalę światową, przynosząc miliony zarobionych pieniędzy, a my byliśmy bezpieczni.

Podnoszę głowę, tak by móc widzieć jego twarz.

– Czy ja dobrze rozumiem? – dopytuję. – Twoja matka została głową gangu, mając trzyletnie dziecko?

Wzrusza ramionami.

– Mój dziadek przygotowywał ją na to od najmłodszych lat. Posiadanie dziecka nie miało żadnego znaczenia. Kiedy wyszła za mąż za syna zaprzyjaźnionej rodziny ze Stanów, oczywiste było, że to on zajmie się wszystkim.

– Musiała być silną kobietą – ośmielam się stwierdzić.

Jego dłoń czule gładzi moje lędźwie.

– Była silna, ale przede wszystkim była piękna, co razem stanowiło zabójczą mieszankę. Owijała sobie kontrahentów wokół palca, negocjując coraz korzystniejsze przetargi. Była prawdziwą dumą rodziny Mariposa.

Oczyrna wyobraźni wyobrażam ją sobie jako ciemnowłosą piękność o oliwkowej skórze oraz miodowych tęczęwkach, choć nie mam pojęcia, jak w rzeczywistości wyglądała.

– I co było dalej? Po tym, jak tu przyjechaliście – precyzuję.

– Pewnego dnia zaczął odwiedzać nas mężczyzna – mówi, więc z powrotem kładę głowę na jego torsie. – Lubilem go, bo kiedy przychodził, mama wciąż się uśmiechała. Po kilku miesiącach ich związku zaszła w ciążę, której on kazał jej się pozbyć. Zrobiła to w obawie, że go straci, ale doszło do komplikacji. Przeprowadzono histerektomię, co znaczy tyle, że podczas zabiegu usunięto jej również macicę. Tego już nie mogła mu wybaczyć. Porzuciła go, jednak on wcale nie miał zamiaru odpuszczać. Szantażował ją, że wyda nas policji, a ona w obawie o moje bezpieczeństwo oddawała mu się za każdym razem, gdy tego chciał. – Śmieje się smutno. – Gdyby tylko chciała, zniknęłaby niezauważenie z powierzchni ziemi. Wystarczyłoby jedno jej słowo. Nie zrobiła tego jednak, ponieważ wciąż coś do niego czuła. Miałem tylko cztery lata, więc nikt mi nic nie mówił, ale dużo rozumiałem. Widziałem, jak z dnia na dzień jest coraz słabsza, a jej uroda gdzieś ulatuje. Rozpacz po utraczonej możliwości posiadania dzieci zżerała ją od środka, niszczyła psychicznie. W końcu przyjechał Cecilio. Po tym, jak poznał prawdę, wpadł w szal. Odnalazł mężczyznę odpowiedzialnego za wszystko, pobił go do nieprzytomności i przestrzelił kolana. Pierwszym, co ten skurwiol zrobił po odzyskaniu przytomności, było wyśpiewanie policji wszystkiego, czym moja matka się z nim podzieliła, więc jeszcze tego samego dnia rozkazała Cecilio zabrać mnie do Alicante. Wiedząc, że dla niej nie ma już ratunku, włożyła lufę pistoletu w usta i pociągnęła za spust, zanim zdążyliśmy wylądować. Resztę historii już znasz.

– Boże – szepczę, ignorując ogromną gulę w gardle.

Jego opowieść wzbudziła we mnie tyle emocji, że dopiero teraz orientuję się, że po moich policzkach płyną strumienie łez. Przecieram je niedbale wierzchem dłoni, nie mogąc zrozumieć, co musiał czuć czteroletni chłopiec, który tak szybko został pozbawiony rodziców. Cały ten ból, którego doświadczył, maluje się w jego spojrzeniu za każdym razem, gdy choć na chwilę przestaje się kontrolować.

– Hej – szepcze, siadając, po czym wciąga mnie na swoje kolana i całuje w czubek nosa. – Uśmiechnij się. Następnym razem przemyślę dwa razy, zanim ci o czymś powiem. Wciąż zapominam o tym, jak wrażliwa jesteś.

Kręcę głową, pochlipując żałośnie.

– To cholernie niesprawiedliwe, że twoja matka nie żyje.

Uśmiecha się smutno, kciukiem wycierając ostatnią spływającą po moim policzku łzę.

– Istnieją o wiele gorsze rzeczy od śmierci, skarbie. No już, rozchmurz się. – Trąca nosem moją brodę, a jego ciepły oddech przyjemnie łaskocze mnie w odsłoniętą skórę szyi. – Obiecuję, że za moment zapomnisz o wszystkim, co ode mnie usłyszałaś. – Zaczyna obsypywać

pocałunkami moją szyję, a każdy z nich jest tak delikatny jak muśnięcie piórkiem. Odchylam głowę w bok, żeby ułatwić mu dostęp. – Nie myśl o niczym poza tym, co za moment będę robił.

Kładzie mnie na wygodnym materacu łóżka, rozsuwając kolaniem moje uda, po czym zawisa nade mną, opierając łokcie po obu stronach mojej głowy. Patrzę w jego oczy, tak samo poważne jak moje i powoli guzik po guziku rozpinam jego czarną koszulę, odsłaniając oliwkową skórę. Gdy opada ustami na moje, nasze języki zaczynają wykonywać niespieszny taniec. Taniec pełen namiętności, ale i jego niewypowiedzianego bólu, na który chcę być lekiem. Chcę wierzyć, że to właśnie moja obecność pomaga mu uporać się ze wszystkimi demonami, jakie w sobie nosi, a przynajmniej utrzymać je w zamknięciu. Na chwilę przestaje mnie całować, po czym opiera czoło o moje, zaciskając powieki. Z jego ust wydobywa się cichy szept, tak cichy, że ledwie rozpoznaję jego słowa:

– *Show me slowly what I only know the limits of* – cytuję słowa ukochanego przeze mnie Leonarda Cohena, błędząc dłońmi po moim ciele.

– *We're both of us beneath our love* – szepczę prosto w jego usta. – *We're both of us above.*

Z jego ust wydobywa się niski cichy jęk, po czym całuje mnie ponownie, lecz tym razem mocniej, bardziej władczo.

– *Dance me to the end of love* – kończymy razem, napotykalając swoje spojrzenia.

Odsłaniamy się przed sobą, odsuwamy wszystkie tarcze na bok. Nasze dusze są nagie i bezbronne, ale o to właśnie w tym wszystkim chodzi. By pokazać się od tej najsłabszej strony; rozebrać ze wszystkich niedopowiedzeń, odsunąć na bok cały wstyd i pozbyć się wszystkich masek. Bezgłośnie powiedzieć: oto ja, prawdziwy i poraniony, ale cały twój.

W oczach wielu ludzi miłość czyni nas słabszymi, niż jesteśmy w rzeczywistości i myślę, że mają w tym trochę racji. Świadomość, że istnieje osoba, która stanowi centrum naszego wszechświata i kocha nas równie mocno, jest najpiękniejszym uczuciem na świecie. Jednak pozostaje ten dziwny lęk, momentami tak silny, że paraliżuje nasz każdy nerw. Lęk o życie i bezpieczeństwo tej drugiej osoby; lęk o to, że pewnego dnia ten ktoś zniknie, a wtedy nasz wszechświat po prostu przestanie istnieć.

Miłość do Motyla sprawia, że czuję wszystkie te rzeczy podwójnie. Musiałby nie opuszczać mnie nawet na sekundę, żebym miała pewność, że jest cały i zdrowy, ale wiem, że to niemożliwe. Marzę, żeby moja miłość uczyniła go niezniszczalnym; żeby z pięknego i silnego mężczyzny nie stał się niewolnikiem uczuć, tak jak jego matka.

Kiedy Rhys prostuje się, żeby pozbyć się koszuli, ja rozpinam jego spodnie, następnie zsuwam je z bioder wraz z bokserkami. Nie chcę się spieszyć, dlatego gestem daję mu znak, żeby obrócił się na plecy, a chwilę później jestem już nad nim. Obsypuję pocałunkami jego klatkę piersiową, schodząc coraz niżej. Spina się w chwili, w której mój język dotyka skóry tuż pod pępkiem, ale ani trochę się tym nie zrażam. Kontynuuję powolną wędrówkę, rozkoszując się jego bliskością. Zaciskam palce wokół jego penisa, a on podnosi się nieco, opierając na łokciach. Uśmiecham się nieznacznie, podnosząc na niego najniewinniejsze spojrzenie, na jakie tylko mnie stać, po czym opuszczam usta na imponującą męskość.

Rhysowi wyrywa się cichy pomruk zadowolenia, gdy zaczynam ssać. Robię to pewnie, lecz delikatnie, dokładnie tak jak lubi. Przyspieszam nieznacznie po tym, jak wczepia palce w moje włosy, przyciskając mnie bliżej siebie, a z każdym kolejnym ruchem mojej głowy czuję coraz większą wilgoć między udami. Uwielbiam to, że działa na mnie tak mocno. Uwielbiam pieprzyć go ustami, przejmując władzę nad jego ciałem. Uwielbiam to, że tak ochoczo mi ją oddaje.

Cały czas powtarzałam sobie, że słowa Nancy to tylko zwykłe brednie wypowiedziane pod wpływem alkoholu, a przez makabryczną opowieść Rhysa zupełnie o nich zapomniałam. Jednak powróciły do mojej głowy tuż przed zaśnięciem, kiedy wtulona w nagi tors Mariposy, słuchałam jego spokojnego, miarowego oddechu. Rozmyślałam nad nimi tak długo, że słońce zdążyło wzejść i teraz próbuje wdrzeć się przez ciemne zasuwę na ścianach.

Niecierpliwie czekam, aż Rhys się obudzi, żebym mogła powiedzieć mu, co postanowiłam. Wydaje mi się, że nie zadowoli go fakt, że jeszcze dzisiaj będzie musiał odwiedzić mnie do domu mojego dziadka, ale to jedyne rozwiązanie, jakie uznałam za słuszne. Jeśli znowu zbliżą się do ludzi, którzy przez ostatnie lata byli moją jedyną rodziną, być może uda mi się dowiedzieć, co się tam, do cholery, dzieje.

Teoria, którą wysnuła moja przyjaciółka, wydaje mi się mało prawdopodobna, ale w jednym miała stuprocentową rację: zażyłość Amelie i Hudsona jest co najmniej niepokojąca. Dlaczego nigdy wcześniej nie zwróciłam na to uwagi? Od zawsze każdą wolną chwilę spędzali razem, podobnie jak wakacje i weekendowe wycieczki. Może się nie znam, ale zwykle dorosłe dzieci mają dość swoich rodziców, jeśli częstotliwość ich spotkań jest wyższa niż dwa razy w tygodniu. Helen również ich zostawiła. Co takiego musieli jej zrobić, że posunęła się tak daleko? Wygląda na to, że sugestia Nancy wcale nie jest tak irracjonalna. Dobry Boże! Przykładam rękę do ust, żeby stłumić cichy jęk. Mimo to Rhys porusza się niespokojnie, po czym otwiera zaspane oczy.

– Co się stało? – pyta, dostrzegając wyraz mojej twarzy.

Próbuję zmusić kąciki ust do uśmiechu, ale marnie mi to wychodzi.

– Wczoraj Nancy zasugerowała coś, co początkowo wydało mi się zupełnie głupie – wyznaję cicho. – Jednak im dłużej myślę o jej słowach, tym większy mają sens.

– Co takiego ci powiedziała? – Przeciąga się uroczo.

W roztargnieniu skubię skórki przy paznokciu kciuka, zastanawiając się, jak to powiedzieć, by nie zabrzmieć jak kompletna wariatka.

– Twierdzi, że Amelie i Hudsona coś łączy. – Jednak nie da się brzmieć przy tym inaczej.

Celowo przemilczałam rzekome ojcostwo Hudsona względem mojej osoby. Po prostu nie jestem w stanie wypowiedzieć tego głośno.

Rhys siada, marszcząc brwi.

– Rozumiem, że wzięłaś sobie jej słowa do serca tak bardzo, że za wszelką cenę chcesz poznać prawdę – bardziej stwierdza niż pyta.

Wzruszam ramionami.

– Nie chcę w to wierzyć, ale coś nie pozwala mi przestać o tym myśleć. Po prostu... – urywam, nie mogąc znaleźć żadnych słów i wtulam się w niego, naciągając koldrę pod sam nos.

Moje powieki z sekundy na sekundę stają się coraz cięższe. Pozwalam im opaść tylko na chwilę, a kiedy czuję, że odpływam, do moich uszu docierają ciche słowa:

– Pomogę ci poznać prawdę, skarbie.

Godzinę później budzę się bardziej zmęczona, niż bym była, gdybym w ogóle się nie kładła. Siadam z wciąż zamkniętymi oczami, chowając twarz w dłoniach. Dlaczego nie mogę czasami odpuścić? Dlaczego tracę czas na zadreżczanie się wszystkimi problemami, skoro mogłabym przeznaczyć go na pożyteczniejsze rzeczy? Na przykład na seks z Rhysem, który z każdym kolejnym razem pozwala mi odkryć swoje ciało na nowo, a powiedzieć, że jest rewelacyjny, byłoby niedopowiedzeniem stulecia. Nie cierpię w sobie tej cechy, która każe mi wszystko rozkładać na atomy.

Prostuję się, unosząc powieki. Oczywiście miejsce obok mnie jest puste. Wyciągam rękę, dotykając zmiętej pościeli w miejscu, w którym spał Motyl. Dzięki takim gestom czuję się bliżej niego, mimo że nie ma go przy mnie. *Rany, jestem naprawdę szalona*, myślę, uśmiechając się. Sięgam po iPhone'a leżącego pod poduszką, którego ekran wyświetla siódmą trzydzieści. Mogłabym jeszcze trochę pospać, ale wiem, że już mi się to nie uda.

Wstaję, po czym ubieram się niespiesznie i wychodzę z sypialni. Wszystko, co nocą i wczesnym rankiem nie dawało mi spokoju, w świetle dnia wydaje się jeszcze głębsze, niż było, kiedy dzieliłam się tym z Motylem. Po szybkiej porannej toalecie przechodzę do kuchni, gdzie oparty plecami o kuchenną wyspę stoi Rhys. Jak zwykle nienagannie ubrany w jedną z tych swoich ciemnych koszul i dopasowane czarne spodnie.

– Jesteś – mówię, nie kryjąc zdziwienia.

– Nadal chcesz bawić się w detektywa? – pyta, odstawiając na blat kubek.

Podchodzę do niego i całuję na przywitanie w usta.

– Im szybciej dowiem się, co się dzieje w tym domu, tym lepiej – odpowiadam, chwytając jego kubek, a następnie upijam łyk. Krzywię się w momencie, w którym czarna gorzka kawa spływa mi do gardła. – Co za ohydztwo.

Z uśmiechem zabiera swoją kawę, po czym przyciąga mnie do siebie i mocno przytula, chowając twarz w moich włosach. Wciążam w nozdrza jego zapach, rozkoszując się bliskością jego ciała. I choć kocham, kiedy zamyka mnie w swoich ramionach, jakbym była jego najcenniejszym skarbem, muszę o to zapytać:

– Co się dzieje?

Wzdycha zrezygnowany i wciąż trzymając mnie blisko siebie, mówi:

– Muszę wyjechać. Potrzebują mnie w Alicante.

Natychmiast wyszarpuję się z jego uścisku. Już raz pozwoliłam mu zniknąć z mojego życia, więcej do tego nie dopuszczę.

– Jadę z tobą.

– Wykluczone, kochanie. – Przewracam oczami na dźwięk tych słów. – Nie będzie mnie tylko kilka dni. W tym czasie będziesz mogła załatwić swoje sprawy.

Ty jesteś jedyną sprawą, którą chciałabym załatwiać w każdej sekundzie mojego życia, myślę, oblewając się przy tym rumieńcem, bo chciałabym to robić w najmniej grzeczny z możliwych sposobów.

– Nie patrz tak na mnie – dodaje z pociemniałym wzrokiem, ponownie przyciągając mnie do siebie.

Zadzieram brodę, odważnie spoglądając w miodowe tęczęwki, w których maluje się pożądanie.

– Zanim wyjedziesz, żądam, żebyś należycie się ze mną pożegnał. – Wspinam się na palce, zbliżając twarz do jego, po czym dodaje, szepcząc mu prosto do ucha: – Ale tak, żeby każdy ruch sprawiał mi ten przyjemny ból i przypominał o tobie podczas twojej nieobecności aż do twojego powrotu.

Owija moje kasztanowe włosy wokół dłoni, a następnie ciągnie delikatnie, lecz stanowczo, tym samym zmuszając, bym nieustannie patrzyła mu w oczy.

– Doprowadzasz mnie do szaleństwa – syczy, górując nade mną.

Sięga za swoje plecy, po czym odkłada na blat Glocka, chwytając mnie jedną ręką w talię i sprawnie podnosi. Uśmiecham się nieznacznie, oplatając nogami jego biodra. Właśnie taki pociąga mnie najbardziej – niebezpieczny, silny, ale przede wszystkim cały mój.

Rozdział 7

Od trzech godzin siedzę całkiem sama w salonie Hudsona. Włączyłam nawet telewizor, żeby wypełnić czymś nieznośną dla mnie ciszę. Już kiedy wysiadałam z samochodu Rhysa, czułam, że powrót do rodziny to najgłupszy z moich dotychczasowych pomysłów, jednak teraz trochę za późno na zmianę decyzji. Rhys wyleciał do Alicante zaraz po tym, jak przywiózł mnie tutaj i do tej pory się nie odzywa. Powtarzam sobie, że jeszcze nie zdążył nawet wylądować i na pewno zadzwoni, gdy to się stanie, ale wciąż czuję niewytłumaczalny strach o jego życie.

Z dużej sportowej torby leżącej obok mnie na kanapie wydaję szkicownik oraz ołówek. Dociskam rysik do czystej kartki papieru, po czym zaczynam kreślić bliżej nieokreślone kształty, żeby zająć czymś myśli. Tak dawno tego nie robiłam, że każda nowa linia dosłownie sprawia mi fizyczną przyjemność. Zupełnie, jakbym była uzależniona od kokainy i po długiej przerwie spróbowała jej na nowo. Kolejny raz pozwalam dłoni przejąć kontrolę, stając się cichym obserwatorem dzieła, które tworzy.

Stawiam wokół siebie niewidzialną barierę, która skutecznie tłumi dźwięki wydobywające się z telewizora i oddaję się w ręce artystycznego haju. Kiedy kończę, odrzucam ołówek na bok, nie dbając o to, gdzie upada. Przyglądam się uważnie temu, co narysowałam, mrużąc oczy. Nie odpowiada mi ostrość konturów, więc nieznacznie zwilżam opuszek palca wskazującego śliną, a następnie rozcieram grafit w miejscach, w których uważam to za konieczne. Po wszystkim przyglądam się kłębowi mroku, które wyglądają jak spływający aksamit, a gdzieś pomiędzy nimi widnieją piękny, lecz równie mroczny...

– Niezły motyl – słyszę za plecami, na co aż podskakuję, upuszczając szkicownik na podłogę.

Odwracam gwałtownie głowę, co jest naprawdę głupim pomysłem, biorąc pod uwagę fakt, że mocno nadwyrężyłam szyję podczas rysowania, trzymając ją przez cały czas przechyloną na jedną stronę, przez co syczę z bólu i kładę rękę w miejscu, gdzie go czuję.

– Przepraszam – odzywam się, patrząc na twarz dziadka, z której nie da się wyczytać żadnych emocji – nie słyszałam, kiedy wróciłeś.

Przechodzi wzdłuż kanapy, po czym siada na drugim jej końcu, nie spuszczać czujnego wzroku z mojej twarzy.

– Nie uprzedzałaś, że nas odwiedzisz.

– Pokłóciłam się z Rhysem – kłamię szybko. – Potrzebowałam miejsca, w którym mogłabym od niego odpocząć, a twój dom przyszedł mi do głowy jako pierwszy. Mówiłeś, że w każdej chwili mogę wrócić – przypominam. – Jeśli zmieniłeś zdanie...

– Nie – przerywa mi, mrużąc oczy, które są w identycznym kolorze, co moje. – To także twój dom. – Pochyla się, żeby podnieść mój rysunek i wpatruje się w niego uważnie. – Jesteś równie utalentowana, co Helen – mówi z uznaniem, podając mi go.

– Czy babcia...

– Tak – odpowiada, zanim dokończę pytanie. – Kiedy ją poznałem, całe dni spędzała przed sztalugą, zupełnie zapominając o nauce. Od tego czasu minęło już tyle lat, a mi wciąż wydaje się, jakby to było wczoraj.

Gdy o niej mówi, jego głos zmienia się, a rysy twarzy łagodnieją.

– Naprawdę ją kochałeś. – Nie mogę ukryć zdziwienia w głosie.

Wbija mglisty wzrok w ekran telewizora.

– Była moją wymarzoną żoną: piękna, mądra i utalentowana. Do tego dobra i wyrozumiała. Ludzie lgnęli do niej, spragnieni jej ciepła, a ona nigdy niczego im nie odmawiała. Żałuję, że tak rzadko mówiłem jej o tym, jak wspaniałą jest kobietą.

Nie mam żadnej pewności, że jego słowa są szczere, ale robi mi się go żal. Babcia nie żyje i nie ma żadnego sposobu, by mogła usłyszeć tęsknotę w jego głosie, która wydaje się prawdziwsza niż większość rzeczy, jakie od niego usłyszałam w ciągu całego życia.

– Przykro mi, że muszę przerwać tę cikliwą rozmowę – głos Amelie nagle wypełnia salon – ale Stone wciąż czeka na dokumenty dotyczące sprawy Danburry’ego, które miałeś mu przefaksować zaraz po powrocie. Już dwa razy do mnie dzwonił.

Przenoszę wzrok na matkę, która wygląda zaskakująco dobrze, żeby nie powiedzieć świetnie. Blond włosy spływające falami na plecy i ramiona, delikatny makijaż rozświetlający pociągłą twarz oraz nienaganny, kobiecy garnitur w łososiowym kolorze maskujący swym krojem jej nadmierną chudość ani trochę nie wskazują na to, że nie tak dawno straciła nienarodzone dziecko.

– Oczywiście – mówi dziadek, podnosząc się. – Będę w swoim gabinecie.

Kiedy odchodzi, chowam szkicownik do torby, po czym przewieszam ją sobie przez ramię i wstaję.

– Zatrzymam się tutaj na kilka dni – zwracam się do Amelie. – Mam nadzieję, że nigdzie się nie wybieracie, bo chciałabym porozmawiać z wami, gdy dziadek skończy pracę. Myślę, że zainteresuje was to, co mam do powiedzenia.

Mierzmy się spojrzeniami tak długo, aż to ja pierwsza odwracam wzrok, wiedząc, że tym razem nie wygram tego niemego pojedynku.

– Nie wątpię – bąka, lecz ja odwracam się do niej plecami i ruszam w stronę schodów.

Po tym, jak zamykam za sobą drzwi pokoju, oddycham głęboko, opierając plecy o przyjemnie chłodną ścianę. Nie mam cholernego pojęcia, jak wprowadzić w życie plan, który ułożyłam. Najchętniej zrobiłabym to, co ostatnio wychodzi mi najlepiej, czyli uciekła. Jednak nie mogę postąpić w ten sposób. Nie wyjdę z tego domu, dopóki nie dowiem się, czy Nancy ma rację bez względu na konsekwencje, jakie będę musiała ponieść, wkładając kij prosto w środek mrowiska.

Oczywiście wiem, że nie mogę zwyczajnie zejść na dół i jak gdyby nigdy nic zapytać, czy ze sobą sypiają. Rhys doradził mi, żebym rozłożyła działania na kilka dni, dlatego zacznę od czegoś z pozoru niemającego nic wspólnego z ich rzekomym romanssem. Mam nadzieję, że wszystko

uda się tak, jak zakładam, ponieważ nie mam żadnego tajemniczego planu B, który byłby świetnym rozwiązaniem, jeśli ten pierwszy weźmie w łeb.

Uważnie przyglądam się odbiciu w okrągłym lustrze w drewnianej ramie. Wyglądam naprawdę dobrze mimo braku makijażu, a blizna, z której Paul zdjął mi szwy, nie rzuca się już tak bardzo w oczy. Być może dla większości kobiet taka półtoracentymetrowa kreska byłaby powodem do niezadowolenia, ale nie dla mnie. Wywołuje uśmiech na mojej twarzy za każdym razem, gdy zauważam ją w odbiciu, bo przypomina jedną z najpiękniejszych chwil, jakie przeżyłam – powrót Motyla do mojego życia. I choć tego dnia nie miałam pojęcia, co się z nami dalej stanie, czułam, że cokolwiek to będzie, połączy nas na bardzo długo, żeby nie powiedzieć „na zawsze”.

Wciąż nie do końca rozumiem uczucie, które nas łączy, ale jego siła nie przeraża mnie tak bardzo jak na początku, wręcz przeciwnie. Napawa mnie spokojem oraz poczuciem bezpieczeństwa. Z tylnej kieszeni dżinsów wyjmuję czarną gumkę do włosów, związuje je na czubku głowy w niedbałego koka, po czym opuszczam ręce wzdłuż ciała i wciągam głęboko powietrze nosem, a następnie wypuszczam ustami. Powtarzam czynność jeszcze kilka razy, opanowując narastające zdenerwowanie i wychodzę z łazienki. Jestem gotowa.

W salonie nie zastaję zupełnie nikogo. Przez chwilę boję się, że znowu zostałam w domu całkiem sama, lecz wtedy do moich uszu docierają dźwięki prowadzonej rozmowy dobiegające z kuchni. Udaję się tam z mocno bijącym sercem i po raz pierwszy od naprawdę dawna czuję ulgę na widok najbliższych.

– Jesteście – mówię cicho, kiedy przerywają rozmowę w chwili, w której mnie dostrzegają.

Powoli podchodzę do dużego stołu jadalnego, przy którym siedzą, popijając wino. Nie siadam na krześle, a jedynie pochylam się i kładę przedramiona na jego oparciu.

– Dobrze was widzieć. Razem – dodaję, sprawdzając ich reakcję.

Kącki ust Hudsona wędrują w górę.

– Ciebie też dobrze mieć znowu blisko siebie. – Jego głos jest ciepły i wydaje się naprawdę szczery.

To źle, ponieważ nie chcę sprawiać nikomu przykrości, gdy po zakończeniu swojej misji wrócę do Rhysa. Kiedy mnie tutaj odwoził, obiecał mi, że po jego powrocie podejmiemy decyzję co do miejsca mojego zamieszkania. Chciałabym w końcu gdzieś prawdziwie przynależeć, bo odkąd wyprowadziłam się od Nancy, nigdzie na stałe nie zamieszkałam, a jedynie się zatrzymywałam.

– Tak długo się nie widzieliśmy – zauważam, na zmianę przenosząc wzrok z mamy na dziadka. – Co u was słyhać?

Idiotka, besztam się w myślach.

Ta rozmowa miała wyglądać zupełnie inaczej.

– Do czego zmierzasz? – pyta Amelie, upijając łyk białego wina.

Cholera, jednak zna mnie lepiej, niż mi się wydawało, ponieważ czyta we mnie jak w otwartej księdze. Muszę bardziej się pilnować, chyba że...

– No dobrze. – Prostuję się, odsuwając krzesło, po czym opadam na nie, zakładając nogę na nogę. – Widzę, że nie ma sensu owijać w bawełnę, więc zapytam wprost. – Biorę głęboki oddech. – Dlaczego mnie okłamaliście? Dlaczego żadne z was nie powiedziało mi o tym, że babcia odebrała sobie życie?

Hudson błednie, odstawiając swój kieliszek, a Amelie posyła ojcu spanikowane spojrzenie. Wydawało mi się, że zawsze mają na wszystko odpowiedź, ale chyba tym razem mocno ich zaskoczyłam.

– Pieprzony Singh – mamrocze mama, szybko przybierając swój zawodowy wyraz twarzy i upija łyk wina.

Opieram łokcie o blat stołu, pochylając się w jej stronę, po czym mówię:

– Nie pozwolę ci obrażać Rhysa w mojej obecności. – Mój głos jest cichy i opanowany, lecz mam wrażenie, że odbija się głośnie echem od ścian kuchni, jakby były gołe. Matka zaciska usta w wąską linię, ale nic nie mówi, za co jestem jej wdzięczna. Ostatnie, na co mam w tej chwili ochotę, to potyczki słowne, w których mogłabym przegrać. Prostuję się więc, wbijając spojrzenie w dziadka, który przygląda mi się z zainteresowaniem. – Dlaczego mnie okłamaliście? – powtarzam pytanie.

Daję Hudsonowi kilkanaście sekund na ułożenie kłamstwa, które chce mi sprzedać, żebym tylko przestała drażnić temat, po czym słyszę:

– Wszystko, co robiliśmy, miało na celu zapewnienie ci bezpieczeństwa i spokoju. Początkowo sami byliśmy przekonani, że twoją babcię ktoś zamordował i tak też ci powiedzieliśmy. Byłaś tuż przed wyjazdem na studia, nie zniosłabyś tak strasznych wieści, więc oboje uznaliśmy, że będzie lepiej, jeśli nie poznasz prawdy. Naszym priorytetem była twoja przyszłość oraz wykształcenie, a Helen już nic nie mogło zwrócić życia.

Wciągam nosem powietrze, odchylając się na krześle.

– Wieść o tym, że na moją rodzinę poluje jakiś niezidentyfikowany morderca babci była dla mnie prawdziwym pocieszeniem – mówię kpiąco, krzyżując ręce na piersi.

– Przestań zachowywać się jak dziecko – syczy Amelie, uderzając palcami o drewniany blat. – Zastanów się, co wiadomość o samobójstwie Helen zmieniłaby w twoim życiu? Czuliłabyś się tak jak teraz, a my oszczędziliśmy ci kilka lat zadreżczania się, dlaczego cię zostawiła. Okłamaliśmy cię dla twojego dobra. Właściwie, powinnaś być nam za to wdzięczna.

Mam ochotę wstać, podejść do niej, chwycić za jasne, lśniące włosy i uderzyć jej głową kilka razy w ścianę. Zamiast tego kładę ręce na udach, po czym zaciskam dłonie w pięści tak mocno, że paznokcie wbijają mi się w skórę. I pomyśleć, że jeszcze kilka dni temu zamartwiałam się o jej zdrowie...

– Powinnam wystosować oficjalne podziękowania, mam? – Za wszelką cenę staram się ukryć emocje, jakie w tej chwili mną targają. – Myślisz, że w ich treści powinnam uwzględnić informacje o wszystkich innych kłamstwach, którymi karmicie mnie od lat? A może udać, że nigdy ich nie było i poprzestać na słowach dozgonnej wdzięczności? – Pod wpływem impulsu wstaję, okrążam stół i zatrzymuję się tuż przed Amelie, pochylając się nad nią, tak że nasze oczy są na tej samej wysokości, a następnie opieram dłoń o oparcie krzesła, na którym siedzi. – Co

takiego zrobiłaś Helen, że odechciało jej się żyć? – pytam bezlitośnie, mierząc mamę oceniającym spojrzeniem. – Czym doprowadziłaś ją do ostateczności?

Nawet nie zdążę mrugnąć, a jej dłoń odbija się z trzaskiem od mojego policzka.

– Ty...

– Dość! – warczy dziadek, nie pozwalając mi dokończyć.

Prostuję się z gracją, nie odrywając wzroku od matki, która oddycha szybko. Wygląda, jakby nie rozumiała, co właściwie się stało. Do mnie także to jeszcze nie dociera.

– Melody, zostaw nas samych – prosi stanowczo Hudson. – Melody – powtarza, kiedy nie reaguję.

Niezauważalnie kręcę głową, po czym odrywam wzrok od ślicznej twarzy Amelie i szybkim krokiem wychodzę z kuchni. W salonie opadam na kolana, dając upust emocjom. Przykładam dłoń do wciąż piekącego policzka i za wszelką cenę próbuję powstrzymać łzy napływające do oczu. Nigdy wcześniej nie odważyła się mnie uderzyć, choć wiem, że wiele razy miała na to ochotę. Jednak najbardziej niepokoi mnie to, co widziałam w jej szarych oczach tuż po tym, jak jej dłoń odbiła się od mojej twarzy – strach i ból, tak głęboki, że sama odczułam jego namiastkę. To oznacza, że nie mogę się teraz poddać. Wstaję, ocierając pojedyncze łzy i wracam do kuchni. Nie wchodzę do niej jednak, lecz zatrzymuję się przy przesuwanych drzwiach, zza których docierają wyraźne słowa:

– Jak mogłaś ją uderzyć? – Hudson jest naprawdę zły.

Opieram plecy o ścianę, żeby zsunąć się po niej na podłogę, a następnie podciągam kolana pod brodę.

– Ona się czegoś domyśla, Hudsonie. – Drży jej głos, jakby wciąż walczyła z emocjami, jakie wywołało w niej moje pytanie. – Nie widziałeś jej wzroku. Patrzyła na mnie, jakby o wszystkim wiedziała. Oceniała mnie, jakby uważała się za kogoś lepszego. Pozbądźmy się jej, zanim będzie za późno.

Wstrzymuję oddech na dźwięk ostatniego zdania, które wypowiada, czekając na reakcję dziadka.

– Odbiło ci – syczy w odpowiedzi. Po dźwięku odsuwanej krzesła wnioskuję, że wstaje od stołu. – Chcesz się pozbyć własnej córki? To nie jest plód, o którym miałaś prawo decydować.

Przykładam dłoń do ust.

Czy ona...

– Zamierzasz wypominać mi to do końca życia? – pyta zrezygnowanym głosem Amelie. – Przepraszałam cię już setki razy. Proszę cię, nie rozmawiajmy o tym więcej. Skupmy się na Melody i na tym, że znajomość z Singhem zmieniła ją nie do poznania. Przestała nam ufać, zaczyna interesować się sprawami, które ukrywaliśmy przed nią przez tyle lat. Zrozum, że nie możemy pozwolić jej bezkarnie węszyć. Musimy zareagować.

– Przestań! – unosi się dziadek. – Popadasz w paranoję. Jeśli nie odpowiada ci towarzystwo własnej córki, to wyjedź na kilka dni i przemyśl sobie wszystko. Zapamiętaj tylko, że ja nie pozwolę ci jej skrzywdzić.

Mocniej przywieram do ściany w chwili, w której drzwi się rozsuwają. Amelie dosłownie przez nie wybiega, nawet mnie nie zauważając. *Zabawę czas zacząć.*

Siedzę na huśtawce w ogrodzie i bujam się nieznacznie, paląc papierosa. Amelie nie posłuchała swojego ojca i nie wyjechała, jednak porzuciła plan pozbycia się mnie, cokolwiek miała na myśli. Teraz skutecznie mnie unika. Natomiast mój plan zbliżenia się do najbliższych okazał się totalną klapą. Trudno. Spróbuję dowiedzieć się najwięcej, jak się da, ale mogę zapomnieć, że sami cokolwiek mi powiedzą. Z podsłuchanej wczoraj rozmowy wywnioskowałam, że moja matka wcale nie poroniła, a świadomie przerwała ciążę, co niespecjalnie mnie zaskoczyło. *Skoro nie mogła pokochać mnie, nie pokochałaby i tego dziecka.* Może to i lepiej, że nie będzie musiało dorastać otoczone luksusem, ale bez miłości i w poczuciu odrzucenia.

Rzucam niedopałek pod nogi, po czym od razu odpalam następnego papierosa, zaciągając się głęboko. Rhys odezwał się tylko raz, nad ranem, dając znać, że wyłądował. Od tamtej pory nie mam z nim żadnego kontaktu, przez co nie panuję nad własnym rozdrażnieniem. Odchyłam głowę do tyłu, wypuszczając z dymem negatywne emocje, jakie gromadzą się we mnie od ponad doby. Tęsknię za nim jak cholera. Gdyby tu był, wszystko byłoby łatwiejsze.

Mimowolnie zastanawiam się, co zrobiliby na moim miejscu. Na pewno przestałby histeryzować. Nie pozwoliłby emocjom brać nad sobą górę. Podszedłby do wszystkiego ze spokojem i na pewno wykorzystałby fakt, że jest sam w domu. Nagle mnie olśniewa. W domu, w którym mogą być ukryte odpowiedzi na większość moich pytań.

Kończę kolejnego papierosa, po czym rzucam niedopałek tuż obok poprzedniego i podnoszę się z wygodnego siedziska dziecięcej huśtawki. Czuję chłód, mimo że mam na sobie cienką kurtkę, a temperatura na dworze sięga blisko dwudziestu stopni. Zupełnie, jakby coś wewnątrz mnie zamarzało, gdy Rhys mnie zostawia. Wyjmuję z kieszeni telefon, po czym wybieram jego numer, chcąc przynajmniej przez chwilę posłuchać jego melodyjnego głosu. Jeden sygnał. Drugi. Kolejny i jeszcze jeden. Wszystkie zignorowane.

Kończę połączenie, zanim włączy się poczta głosowa, z ponurą miną ruszając do domu. Amelie i Hudson wyszli kilka godzin temu z samego rana, kiedy ja jeszcze spałam. Zaskoczyło mnie, jak dobrze śpi mi się w tym miejscu. Spędziłam tu pierwsze lata swojego życia i wciąż czuję się bezpiecznie mimo całego syfu, który utworzył się po drodze. Dwa razy sprawdzam, czy dobrze zamknęłam drzwi prowadzące do ogrodu, a następnie przechodzę do kuchni. Z szafki nad zlewem wyjmuję szklankę i napełniam ją sokiem pomarańczowym stojącym na blacie. Krzywię się, gdy mieszanka smaku cytrusów i dymu papierosowego splywa mi do gardła, ale opróżniam szklankę do dna. Po tym, jak wstawiam ją do zlewu, wbijam wzrok w teczkę pozostawioną na stole.

Z mocno bijącym sercem podchodzę do stołu i natychmiast ją otwieram. Chaotycznie przerzucam kartki papieru, z których każda z nich pozostaje zupełnie pusta. Wiem, że ta teczka nie znalazła się tu przypadkiem. Amelie postanowiła ze mnie zadrwić i dlatego ją tu zostawiła.

Ze złością uderzam zaciśniętą pięścią w stół tak długo, aż silny ból sprawia, że czuję ulgę. Oddycham głęboko, opierając się dłońmi o drewniany blat.

Już wcześniej nie radziłam sobie z emocjami, ale teraz czuję się jak kompletna wariatka. Muszę poznać prawdę, bo zaczynam tracić zmysły. Niemal biegiem ruszam do salonu, a stamtąd prosto na piętro, przeskakując po dwa stopnie. Skręcam w prawo, przechodzę długim korytarzem, aż zatrzymuję się przed zamkniętymi drzwiami do sypialni dziadków.

Łapię za klamkę, spoglądając przez ramię, jakbym czuła na sobie czyjś wzrok. Kiedy upewniam się, że za mną nikogo nie ma, otwieram drzwi i wchodzę do pokoju. W centralnej części pomieszczenia stoi ogromne łóżko z ciemnego drewna z wysokimi kolumnami, a po obu jego stronach dwie szafki nocne. Patrząc przez okno po mojej prawej stronie, z którego mam idealny widok na podjazd przed domem – na razie brama wciąż pozostaje zamknięta.

Przechodzę na drugą stronę pokoju, gdzie niemal całą ścianę od podłogi do sufitu pokrywają regały przepełnione książkami, które kiedyś należały do babci, a teraz po prostu stoją i się kurzą. Przebiegam palcami po ich grzbietach, rozpoznając tytuły większości z nich. „Grzech aniołów” Link, „Wichrowe wzgórze” Brontë, „Anna Karenina” Tołstoja. Przy ostatniej książce zatrzymuję wzrok na dłużej, zauważając, że mniej więcej w jej połowie widnieje dość duża szpara.

Bez namysłu wysuwam ją z rzędu, po czym otwieram drżącymi dłońmi. Kilka sekund zajmuje mi, zanim dotrze do mnie, na co właściwie patrzę. Pierwsza fotografia ukazuje Hudsona niosącego bezwładne, drobne ciało. Drżącymi palcami odsłaniam kolejne zdjęcie, na którym Amelie kuca przy leżącej na podłodze babci w domu, w którym znaleziono jej zwłoki. Wypuszczam książkę z dłoni, przykładając dłoń do ust. „Anna Karenina” upada u moich stóp, a na jej otwartych stronach widzę zdjęcie, które przyprawia mnie o mdłości. Zdjęcie, na którym Helen, moja ukochana babcia wygląda, jakby po prostu spała. I z pewnością tak bym pomyślała, gdyby nie ogromna rana na jej skroni i niewielka kałuża krwi tuż obok śmiertelnie bladej twarzy.

Biegnę do łazienki, opadam na kolana, po czym wymiotuję prosto do sedesu. Obraz nieżyjącej babci pojawia się przed moimi oczami za każdym razem, gdy chcę pozbyć się go z głowy. Wyrzucam z siebie treść żołądkową, krztusząc się na zmianę. Kosztuje mnie to tyle wysiłku, że kiedy już wstrząsają mną jedynie suche torsje, opieram brodę o deskę, zaciskając powieki. Staram się głęboko oddychać, co nie wychodzi mi najlepiej. Chce mi się wyć, bo nie mam pojęcia, co powinnam teraz zrobić. Najpierw muszę zmusić się, żeby wstać, a później... Nie wiem, co będzie później.

Z trudem prostuję się, opieram dłoń o sedes i dźwigam do góry na drżących nogach. Włączam wodę, a następnie starannie myję ręce i płuczę usta, żeby pozbyć się z nich kwaśnego smaku wymiocin. *Niech ktoś powie, że to tylko głupi żart, błagam. Niech to wszystko okaże się tylko głupim żartem...* Ochlapuję twarz lodowatą wodą, po czym patrzę na odbicie w lustrze. Jeszcze nigdy nie byłam tak blada. W moich błękitnych oczach wciąż maluje się szok spowodowany tym, czego przed chwilą się dowiedziałam. Jednego jestem pewna: nie chcę dłużej przebywać pod tym dachem. Wychodzę z łazienki, po raz drugi próbując dodzwonić się do Motyla. Tym razem jednak od razu włącza się poczta głosowa, więc ciskam telefonem w kanapę, nie mając odwagi uderzyć nim o ścianę.

Chodzę w kółko, zastanawiając się, czy powinnam czekać na powrót matki i dziadka z pracy, czy wyjść już teraz i już nigdy nie wrócić. Jeśli zostaną, będę musiała spojrzeć im w te zakłamanie twarze i zapytać, dlaczego posunęli się do czegoś takiego. Nie jestem pewna, czy chcę znać odpowiedź. Helen miała popełnić samobójstwo, tymczasem... *Przestań!*, nakazuję sobie w myślach, czując, że zaraz ponownie zwymiotuję.

Dość! Mam najzwyczajniej w świecie dość!

Opadam na kolana, opierając o nie czoło. Jeszcze nigdy niczego nie żałowałam tak bardzo, jak decyzji o przyjeździe tutaj. Nie wiem, czy właśnie zaczęłam płakać, czy może już wcześniej puściły we mnie wszystkie bariery, ale policzki mam mokre od łez. Moje życie bezpowrotnie zmieniło się za sprawą zdjęć pozostawionych w książce, które ktoś tam włożył, żeby je ukryć. Na zmianę zaciskam i prostuję palce obu dłoni, szlochając żałośnie i mocząc spodnie własnymi łzami.

Milknę, kiedy za plecami rozlega się odgłos czyichś kroków, i zastygam w pozycji embrionalnej. *Kimkolwiek jesteś, idź sobie*, proszę gorączkowo w duchu. Jednak ten ktoś nieubłaganie zbliża się do mnie, a kilka sekund później kładzie dłoń na moim ramieniu.

– Hej – cichy, kojący głos rozbrzmiewa tuż przy moim uchu.

Siadam, ocierając oczy wierzchem dłoni, po czym zaskoczona przyglądam się przystojnej twarzy, na której maluje się współczucie.

– Co ty tu robisz, Paul? – jąkam zawstydzona stanem, w jakim mnie zastał.

Byłam przekonana, że poleciał z Rhysem do Alicante.

– Cecilio kazał mi cię zabrać. Jak widać, zjawiłem się w najbardziej odpowiednim momencie.

Uśmiecham się przez łzy wciąż napływające do oczu.

– Nic mi nie jest – zapewniam słabym od płaczu głosem. – Muszę tylko zabrać torbę i możemy jechać.

Rozdział 8

Niemal całą drogę do mieszkania Rhysa łzy płyną po moich policzkach strumieniami. Płacę, nie wydając z siebie żadnego dźwięku, mimo że wszystko wewnątrz mnie aż krzyczy. Nie chcę jednak, żeby przyjaciel mojego ukochanego był świadkiem tej hysterii. Nie chcę, żeby oglądał moje łzy i utwierdzał się w przekonaniu, że jestem słaba. Na szczęście on skupia się wyłącznie na drodze, nie pytając o nic. Myślę, że w tej sytuacji czuje się równie głupio, co ja i jest to dla mnie jedyne pocieszenie.

Samochód zatrzymuje się na swoim miejscu parkingowym. Otwieram drzwi, zanim Paul zdąży wyłączyć silnik i wysiadam, zatraskując je. Przechodzę do windy, nie odwracając się za siebie, po czym wybieram numer piętra, zanim White do mnie dołączy. Nie chcę, żeby widział moją twarz w takim stanie. Opuchnięte, czerwone oczy i policzki ciemne od tuszu do rzęs sprawiają, że wyglądam trochę jak...

– Dzięki, że na mnie zaczekałaś, Kopciuszku – mówi Paul, wsuwając się bokiem przez do połowy zasunięte drzwi windy.

Mimowolnie się uśmiecham.

– Nie ma sprawy – mówię, zerkając na niego kątem oka.

Stoi tuż obok mnie ze wzrokiem utkwionym w elektrycznym panelu i cierpliwie czeka, aż winda zatrzyma się na odpowiednim piętrze. Kiedy to się dzieje, pokazuje gestem, żebym szła pierwsza. Znajomy zapach wnętrza mieszkania Mariposy działa na mnie uspokajająco. Przechodzę do salonu, w którym na kanapie siedzi...

– Nancy! – piszczę, ruszając biegiem w stronę przyjaciółki.

Podnosi się na mój widok, a ułamek sekundy później padam prosto w jej otwarte ramiona. Nie płacę, ale wstrząsa mną suchy szloch. Przyjaciółka uspokajająco gładzi moje włosy, mocno tuląc do siebie.

– Nie wiem, jak ty to robisz, ale cieszę się, że jesteś przy mnie w najgorszych momentach mojego życia – mówię, odsuwając się.

Przyglądam się jej ładnej twarzy z rozsianymi na nosie piegami. Wygląda na zmęczoną, ale ani trochę nie ujmuje to jej urodzie, której zawsze jej zazdrościłam. Jasne włosy spływające falami na plecy, zielone, hipnotyzujące spojrzenie, mały zadarty nos oraz zmysłowe, kobiece usta – to wszystko sprawia, że dziewięćdziesiąt procent spotkanych przez nią mężczyzn traci dla niej głowę już w pierwszych chwilach znajomości.

– Uwierz mi, że wolałabym, aby tych momentów było jak najmniej. – Uśmiecha się smutno. – Kłopoty cię uwielbiają, co?

Wzruszam ramionami.

– Sama nie wiem, czym sobie na to wszystko zasłużyłam – wyznaję cierpko, po czym się odwracam. – Dlaczego Cecilio kazał mnie tutaj przywieźć? – zwracam się do Paula, który do tej pory nie odezwał się ani słowem, dając nam czas na przywitanie się.

– Nie mam pojęcia, Melody – odpowiada z powagą malującą się na twarzy. – Kontakt z Mariposą jest mocno utrudniony, dlatego teraz, kiedy jesteś bezpieczna, będę próbował dowiedzieć się, o co chodzi. Gdybyś czegoś potrzebowała, wiesz, gdzie mnie szukać.

Odwraca się i wychodzi z salonu, zostawiając nas same. Podchodzę do kanapy, po czym opadam na nią bez sił, zapominając, że powinnam zmyć z twarzy strużki zaschniętego już tuszu.

– Wyglądasz jak kopciuch – rzuca Nancy, siadając w znacznej odległości ode mnie tak, żeby dobrze widzieć moją twarz i jednocześnie nie naruszając naszych przestrzeni osobistych.

Próbuję się uśmiechnąć. Naprawdę chcę to zrobić, ale nie potrafię. Coś wewnątrz mnie uważa, że szczerzenie się w zaistniałych okolicznościach byłoby mocno nie na miejscu.

– Lubicie z Paulem te same baśnie – zauważam, przypominając sobie, jak zwrócił się do mnie w windzie. – Nieważne – dodaję, machając lekceważąco ręką, kiedy Nancy posyła mi pytające spojrzenie. – Co ty tu w ogóle robisz?

– Jak widać, ratuję twój zapłakany tyłek. – Sięga po niewielką torebkę leżącą na stoliku, a następnie wyjmuje z niej chusteczki do demakijażu i rzuca nimi we mnie. – Doprowadź się do stanu używalności, zanim to dziadostwo wsiąknie ci pod skórę i ozdobi ją na dobre, tworząc mało artystyczne tatuaże.

Pospiesznie robię, co każe, miejscami trąc tak mocno, aż czuję ból. Po wszystkim przyglądam się odbiciu w aparacie telefonu, stwierdzając z zadowoleniem, że cały brud został na aloesowych chusteczkach, a gdzieniedzie zastąpiły go czerwone plamy.

– Jak długo już tu jesteś? – pytam, ściskając telefon w dłoni.

Rhys wciąż się nie odezwał. Jeśli to robi, wołałabym odebrać od razu, żeby nie kazać mu czekać i jak najszybciej usłyszeć jego kojący głos.

– Dwie, może trzy godziny – odpowiada, rozsiadając się wygodnie na kanapie. – Kończyłam prezentację potrzebną mi do zaliczenia, gdy ktoś zapukał do drzwi. Wkurzyłam się, że przerwano mi naprawdę ważną pracę. Jeszcze bardziej zdenerwowałam się po tym, jak dwóch osiłków oznajmiło mi, że mam się zjawić w apartamencie pana Mariposy. Wyśmiałam ich, sądząc, że to żart. Nie przyjęli tego zbyt dobrze, machając mi przed nosem swoimi pistoletami, więc wzięłam, co najważniejsze, pozwoliłam wsadzić się w ten ich mały samolot i przywieźć tutaj.

Krzywię się na dźwięk jej słów.

– Przepraszam, że tak cię potraktowali. Zapewne nie przywykli do tego, że ktoś sprzeciwia im się tak otwarcie.

Jest mi głupio, że Nancy przeze mnie musiała porzucić swoje najważniejsze sprawy, ale jednocześnie jestem wdzięczna Rhysowi, że ją tu ściągnął. Najwidoczniej wiedział, że pod jego nieobecność będę potrzebować bliskiej mi osoby. *Wiedział, czego się dowiesz, syczy głos z tyłu głowy. Czyżby?*, pytam w duchu, nie wierząc w to, że Motyl mógł przewidzieć tak potworny dla mnie scenariusz. Gdyby znał prawdę, zrobiłby wszystko, żeby i ja ją znała. Albo zrobiłby wszystko, żeby mnie przed nią chronić. Cholera...

– To bezmóźnie buce, nie warto się nimi przejmować. Prawdę mówiąc, liczyłam na to, że ty powiesz mi, po co tu jestem, ale jak rozumiem, nic nie wiedziałaś o tym, że się tu zjawię?

Zrezygnowana kręcę głową.

– Jakim cudem nie wariujesz, żyjąc w świecie, w którym nikt nic ci nie mówi? – pyta, po dłuższej chwili milczenia.

Zastanawiam się przez chwilę nad odpowiedzią.

Żyję otoczona tajemnicami od dziecka, zdążyłam przywyknąć do tego, że ludzie, z którymi mam do czynienia, uważają moją osobę za niegodną dzielenia się ważniejszymi informacjami.

– Tak jest łatwiej – przyznaję zgodnie z prawdą. – Tutaj im mniej wiesz, tym trzeźwiej myślisz. Kiedy inni postrzegają cię jako głupszą niż jesteś w rzeczywistości, nie widzą w tobie zagrożenia, przez co stają się mniej ostrożni w twoim towarzystwie. Dzięki temu możesz dowiedzieć się znacznie więcej, niż żądając konkretnych odpowiedzi.

Trzeba jeszcze umieć to wykorzystać, dodaję w myślach, biczując się za to, że nie zauważyłam tego, co Amelie i Hudson ukrywali przede mną tyle lat. Wróciłam do nich, zakładając, że łączą ich haniebny romans. Tymczasem prawda okazała się zupełnie inna... Zbyt druzgocącą i bolesną, żebym mogła sama ją udźwignąć.

– Co się dzieje? – pyta Nancy, przyglądając mi się z z troskaniem.

Wiem, że nie powinnam czuć do niej żalu o to, bo przecież jej podejrzania okazały się zupełnie bez pokrycia w rzeczywistości. Jestem zła, bo gdyby nie ona, nigdy nie przyszłoby mi do głowy, żeby zagłębiać się w rodzinne tajemnice. Mimo wszystko wiem, że kiedy minie pierwszy szok, podziękuję jej szczerze za czujność, dzięki której nie muszę żyć już w kłamstwie.

– Wszystko wskazuje na to, że Helen nie żyje, bo jej córka i mąż pomogli jej w tym – wyznaję, krzywiąc się.

Nancy otwiera szeroko jasnozielone oczy, przykładając rękę do ust.

– Ja pierdołę – szepcze, a na jej twarzy maluje się coraz większy szok.

Wygrzebuję z mojej torby zdjęcia zrobione z ukrycia, które zabrałam, zanim opuściłam dom Hudsona. Kładę je na kanapie, po czym podsuwam w stronę przyjaciółki, nie patrząc na nie. Mogłam włożyć je z powrotem między strony powieści, ale nie zrobiłam tego. Musiałam mieć namacalny dowód na to, że nie zwariowałam. Dowód, którego nikt ani nic nie będzie w stanie podważyć.

– Ja pierdołę – powtarza Nancy, spoglądając na fotografię.

– No – bąkam tylko, wbijając wzrok w przeszkloną ścianę za moimi plecami.

Zapada pełna napięcia cisza, którą z sekundy na sekundę coraz trudniej mi znieść. Mimo ogromnej powierzchni salonu czuję, że się duszę. Jakby czyjaś niewidzialna dłoń zaciskała się na moim gardle, skutecznie odcinając dopływ powietrza.

– Mel – odzywa się Nancy niepewnie. Zaciskam powieki, błagając w myślach, żeby nie zadawała tego pytania. – Czy oni wiedzą, że znasz prawdę?

Unoszę powieki, przenosząc szkliste spojrzenie na jej smutną twarz.

– Nie wiem, Johnson – mówię łamiącym się głosem. Jeśli zauważyli brak dowodów na ich winę, to już po mnie. – Mam nadzieję, że nie.

Otwiera usta, chcąc coś powiedzieć, ale ostatecznie się rozmyśla. Milczymy tak dłuższą chwilę, bo wszystko zostało już wypowiedziane. Teraz Nancy dzieli największy sekret mojej rodziny wraz ze mną.

– Powinnaś natychmiast pójść z tym na policję – radzi cicho kilkanaście minut później.

Patrzę smutno na jej twarz, która w tej chwili wydaje się jeszcze bledsza od mojej. Powinnam to zrobić, ale coś mi na to nie pozwala. To moja jedyna rodzina. Właściciele jednej z najbardziej szanowanych kancelarii prawnych w kraju. Nie pokonam ich w pojedynkę, nawet gdybym chciała.

– Pewnie to zrobię – przyznaję słabo – ale jeszcze nie teraz. Jest zbyt wcześnie, a ja mam jedynie te trzy fotografie, które w świetle prawa mogą niewiele znaczyć. Muszę dowiedzieć się więcej. Muszę...

Gwałtownie odwracamy głowy na dźwięk zbliżających się kroków Paula. Podchodzi do nas, okrąża kanapę i siada bokiem na jej oparciu między nami. Jego wzrok pada na zdjęcia, których nie zdążyłam schować.

– Melody... – Uciszam go gestem dłoni, po czym wrzucam zadrukowane kawałki papieru z powrotem do torby.

Nie chcę słyszeć o tym ani słowa. Przynajmniej na razie.

– Dowiedziałeś się czegoś? – pytam, spoglądając niepewnie w jego jasne tęczówki. – Dlaczego Cecilio tak nagle chciał, żebym tu wróciła? I co tu robi Nancy?

White patrzy na mnie smutnym wzrokiem, szukając w głowie odpowiednich słów.

– Paul? – ponaglę, czując coraz większy niepokój. – Gdzie jest Rhys?

Nancy przysuwa się do mnie, po czym mocno chwyta za dłoń, próbując dodać mi siły. Najwyraźniej ona też czuje, że ten nie ma dobrych wieści.

– Jak wiesz, Rhys wyleciał z Cecilio negocjować bardzo ważny dla nas kontrakt – zaczyna, przenosząc wzrok ze mnie na Johnson, która z jakiegoś powodu skutecznie unika jego spojrzenia. – Miałem lecieć razem z nimi, ale uznaliśmy, że lepiej będzie, jeśli zostanę tutaj, żeby mieć na oku...

– Mnie – wtrącam. Potwierdza skinieniem głowy. – Mów dalej.

– Nie zdziwiło mnie, że nie ma z nimi żadnego kontaktu, bo wiem, jak wygląda ten biznes, więc cierpliwie czekałem, aż sami się odezwą. W końcu dostałem wiadomość od Cecilio, w której nakazał natychmiast sprowadzić cię z powrotem i przyznam, że trochę mnie to zaniepokoiło. Przed chwilą skontaktowałem się, z kim tylko mogłem, żeby dowiedzieć się, co się dzieje i nie wiem, jak to możliwe, ale nikt nic nie wie. Wiem tylko tyle, że ani Rhys, ani Cecilio nie zjawili się na umówionym spotkaniu.

Mocniej ściskam dłoń przyjaciółki w chwili, w której kolejny raz żółć podchodzi mi do gardła, tym razem ze strachu.

– Boże – bezgłośnie poruszam ustami. – Boże – powtarzam.

– Spokojnie, Mel, na pewno wszystko jest w porządku – mówi cicho Nancy, ale brzmi mało przekonująco.

Oddycham ciężko, nie mogąc zapanować nad własnym ciałem. Niemal każdą komórką czuję, że stało się coś złego. Czuję, że Rhysowi stała się krzywda. Wibracje telefonu Paula rozbrzmiewają nagle, a ich dźwięk wydaje się tak głośny, że niemal rozsadza mi głowę. Kulę się, przykładając ręce do obu skroni. Słyszę, jak White odbiera telefon, ale nie jestem w stanie rozróżnić ani jednego słowa, które wymienia z kimś po drugiej stronie słuchawki. Serce tłucze się w mojej piersi jak oszalałe, kiedy kończy rozmowę. Prostuję się, ponieważ zalegająca cisza aż wrzeszczy, błagając, żeby ją przerwać.

– Dlaczego nic nie mówisz? – pytam, nie rozpoznając własnego głosu. – Paul, do cholery, powiedz coś! – niemal krzyczę.

Jeszcze przez kilka boleśnie długich sekund patrzy na mnie wzrokiem, z którego trudno cokolwiek wyczytać, po czym mówi:

– Nie znam szczegółów. – Jego głos jest beznamiętny i odległy. – Wiem tylko tyle, że Rhys... – urywa, mrugając kilka razy powiekami.

– Nie... – Nic więcej nie jest w stanie wydobyć się z moich ust.

– Dopadli ich w drodze do rodzinnej posiadłości – Wydaje się tak samo zszokowany jak ja. – Było ich zbyt wielu. Nie mieli żadnych szans.

Nie jestem w stanie dłużej słuchać jego słów. Zakrywam uszy, a pomieszczenie wypełnia przeraźliwy, rozdzierający krzyk. To niemożliwe. Mój Rhys... Mój Motyl... *Niech to wszystko się skończy!*, błagam w myślach. Niech ten krzyk w końcu ucichnie.

I dopiero kiedy osuwam się w ciemność, zdaję sobie sprawę, że to ja tak krzyczę.

Rozdział 9

Z trudem unoszę ciężkie powieki, nie mogąc znieść rozsadzającego czaszkę bólu głowy. Mrugam kilka razy, żeby wyostrzyć obraz dwóch twarzy oddalonych od mojej o jakieś trzydzieści centymetrów. Dlaczego Nancy i Paul przyglądają mi się tak uważnie? Dlaczego w ich oczach maluje się prawdziwy strach? Kiedy siadam, odsuwają się ode mnie, lecz żadne z nich się nie odzywa. Wymieniają między sobą porozumiewawcze spojrzenia, jakby prowadzili między sobą niemą rozmowę i tylko wymieniali się myślami. Co tu jest grane?

– Coś się stało? – pytam, rozmasowując palcami prawą skroń.

Ból głowy nieco zelżał, ale nie ustąpił całkiem.

– Jak się czujesz? – Nancy siada na brzegu kanapy, kładąc dłoń na moim kolanie.

Pusto, ciśnie mi się na język.

Dlaczego, do cholery, czuję tak bezbrzeżną pustkę? Zupełnie, jakby zgasł we mnie ten znajomy płomień. Płomień, który każdego dnia rozpalala we mnie miłość Motyla. Czuję, jak z mojej twarzy odpływa cała krew, a przed moimi oczami, jak w kalejdoskopie, przewijają się kolejne obrazy: strach w oczach Amelie, gdy zapytałam ją o to, co zrobiła Helen; zdjęcia znalezione wkrótce po tym w biblioteczkę babci; ból w oczach Paula, kiedy ostatni raz z nim rozmawiałam.

Zrywam się na równe nogi, wysypując zawartość mojej torby na podłogę. Gdzie, do cholery, jest ten pieprzony telefon?! Opadam na kolana, po czym w amoku rozrzucam wokół siebie rzeczy, lecz żadna z nich nie jest tą, której szukam. Przypominam sobie, że ostatni raz trzymałam go w dłoniach, rozmawiając z przyjaciółką. Niemal rzucam się na kanapę, a spod jednej z poduszek wyjmuję iPhone'a i wybieram numer Rhysa. Mimo że poczta głosowa włącza się, zanim w ogóle zdążę przyłożyć urządzenie do ucha, nie poddaję się. Jeszcze kilka razy powtarzam czynność, która za każdym razem kończy się w ten sam sposób. Ze złością ciskam telefon w przeszkloną ścianę, a ten odbija się od niej i z traskiem ląduje na podłodze u stóp Paula.

– Dlaczego nie odbiera tego pieprzonego telefonu?! – warczę, zaczynając chodzić wokół stolika.

White zbliża się do mnie, a na jego twarzy maluje się smutny wyraz, który nie wróży niczego dobrego. Widzę, że porusza ustami, ale zupełnie nie słyszę, co mówi. Rozmyślam gorączkowo, w jaki sposób ukazać Mariposę, kiedy ten w końcu wróci do domu.

– Melody, możesz mnie przez chwilę posłuchać?! – Paul unosi głos, chwytając mnie za przedramię. Zatrzymuję się, posyłając mu złowrogie spojrzenie. – Rhys i Cecilio zostali ostrzelani, rozumiesz?

Czuję, jak miękną mi kolana. Gdyby nie palce zaciśnięte na mojej ręce, przewróciłabym się. Otwieram usta i poruszam nimi jak ryba wyjęta z wody, przypominając sobie wszystko. Ciemnieje mi przed oczami, a ból głowy mocno się nasila. Oddycham spokojnie, żeby zachować

przytomność. Jakimś cudem udaje mi się nawet zapanować nad paniką, która mnie ogarnia. Odsuwam się nieco, wyswobadzając rękę z silnego uścisku i zataczam się do tyłu.

– Żyje? – upewniam się, patrząc prosto w nienaturalnie jasnoniebieskie tęczęwki.

Oczywiście, że tak!, przekonuje głos z tyłu głowy.

– Żyje – potwierdza – ale jest ciężko ranny. Nie wiadomo, czy z tego wyjdzie.

Kiedy rzucam się w jego ramiona, sztywnieje, ale po chwili obejmuje mnie mocno. Szloch więźnie mi w gardle, a kilka sekund później kolejny raz pozwalam łzom popłynąć, mocząc błękitną koszulę lekarza. Tuli mnie mocno do siebie, gładząc po plecach. Wydaje mi się, że w tej chwili potrzebuje mojej bliskości tak samo jak ja jego. Rhys jest najważniejszą osobą w naszym życiu i tylko my rozumiemy strach, który w tej chwili nas paraliżuje.

Nie mogę go stracić. Ledwie zaczęliśmy się spotykać. Nawet nie zdążyłam pokazać mu, jak bardzo go kocham, mimo że większość uznałaby mnie za głupią, biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności naszej burzliwej znajomości. Motyl ma zaledwie trzydzieści lat. Żyje zdecydowanie zbyt krótko, żeby odejść na zawsze. Z moich ust wyrывa się pełen rozpaczyny jęk na myśl o jego śmierci. Nogi miękną mi w taki sposób, jakby nagle wyjęto z nich kości. Wczepiam palce dłoni w koszulę Paula i trzymam tak mocno, jakby był dla mnie ostatnim ratunkiem. Po chwili dołączają do nas Nancy, stając tuż za mną. Obejmuje mnie delikatnie, lecz pewnie. Nie mam pojęcia, jak długo trwam między ludźmi, którzy są moim jedynym pocieszeniem, ale kiedy w końcu wyswobadzam się z ich uścisku, po łzach na policzkach nie ma już ani śladu.

– Czy on jest teraz w bezpiecznym miejscu? – pytam ochrypłym głosem.

– Tuż po zdarzeniu został przewieziony do prywatnej kliniki – odpowiada Paul, przebiegając wzrokiem po ekranie telefonu. – Cecilio nie odstępował go na krok.

– Powiedziałeś, że nie mieli szans – przypominam sobie. – Dlaczego Cecilio nic się nie stało? – nic nie poradzę na to, że w moim głosie wyraźnie słychać pretensję.

Wzrusza ramionami.

– Nie mamy pewności, że wyszedł z ataku cały i zdrowy – zauważa. – Spróbuję skontaktować się bezpośrednio z nim, żeby poznać więcej konkretów i zapytać, co mamy dalej robić. Potrzebuję maksymalnie godziny.

Ponownie zostawia nas same, odchodząc nerwowym, szybkim krokiem. Przenoszę spojrzenie na Nancy, zaciskając usta w wąską kreskę. Po raz pierwszy dostrzegam bezradność malującą się w jej zielonych oczach. Zawsze była moją siłą, lecz wiem, że w tej sytuacji nie mogę jej od niej oczekiwać. Muszę odnaleźć tę siłę w sobie. Jeszcze przez chwilę patrzymy sobie z przyjaciółką w oczy, nie wypowiadając żadnych zbędnych słów, po czym odwracam się i wychodzę z salonu.

Zamykam się w jednej z łazienek, zdejmuję ubranie i wchodzę pod prysznic. Kiedy czujniki wykrywają mój ruch, w moje plecy uderza lodowaty strumień wody, odbierając mi oddech. Zaciskam zęby, a następnie odchylam głowę do tyłu, pozwalając zimnej wodzie zmyć z twarzy wszystkie łzy, które wylałam w ostatnich godzinach. Sprawa mojej matki i dziadka odchodzi daleko w cień i w tej chwili wydaje mi się zupełnie nieistotna. Liczy się tylko Motyl i to, co się z nim dzieje.

Nie wiem, jak długo wytrzymam bez jakichkolwiek informacji o stanie jego zdrowia. Niemal cały dzień czułam dziwny niepokój, o którym zupełnie zapomniałam, kiedy znalazłam te przekłete zdjęcia. Pograżyłam się w rozpacz przez to, w jak chorej rodzinie muszę żyć i nawet nie wydało mi się dziwne to, że Paul tak nagle zabiera mnie z domu Hudsona. Dopiero kiedy White przerwał moją rozmowę z Nancy, znowu poczułam ten silny, niewytłumaczalny lęk.

Ze słów lekarza wywnioskowałam, że Rhys nie żyje. Było to najstraszliwsze, najboleśniejsze uczucie, które dosłownie roztrzaskało moje serce i duszę na maleńkie kawałeczki. Gdy traciłam przytomność, niemal widziałam, jak przez szczelinę w mojej rozdartej klatce piersiowej ucieka życie, czyniąc mnie niczym innym jak pustą skorupą. Bo właśnie tym bym się stała, gdyby mój Motyl odszedł. Jednak on żyje. Wciąż jesteśmy jednością. I choć wiem, że jego stan jest poważny, mam w sobie spore pokłady nadziei na to, że nic mu nie będzie.

Odkąd pierwszy raz zobaczyłam go w klubie, utworzyłam w swojej głowie wyobrażenie o jego ogromnej sile i z każdym kolejnym spotkaniem tylko się w tym utwierdzałam. Wmówiłam sobie, że jest niezniszczalny, że nikt nie jest w stanie równać się z jego potęgą. Tak bardzo się myliłam... Przewrotny los pokazał, że życie Rhysa jest tak samo kruche jak innych, a przez to, kim jest, o wiele bardziej narażone na niebezpieczeństwo.

Wyłączam wodę, owijam się ręcznikiem przewieszonym wcześniej przez szklane drzwi i wychodzę z kabiny. Zdaję sobie sprawę, że cała drzę, dopiero kiedy spoglądam na swoje odbicie w lustrze. Podchodzę bliżej, po czym opieram dłonie o umywalkę i zbliżam twarz do tafli lustra. Ten mrok był w moich oczach przez cały czas, czy pojawił się wraz z wiadomością o zamachu na ukochanego?

Odsuwam się na bezpieczną odległość w chwili, w której czuję przemożną ochotę uderzyć się w twarz, żeby dać upust wszystkim emocjom. Powstrzymuję się jednak, zaskakując samą siebie tym, jak nagle panuję nad własnym ciałem. Wiem, że to tylko pozory, ponieważ wszystko wewnątrz mnie aż wrze. Wiem też, że uspokoję się dopiero wtedy, gdy Rhys znowu będzie przy mnie. Zrzucam z siebie ręcznik, po czym wkładam ubrania, które miałam wcześniej na sobie i otwieram drzwi łazienki.

Kieruję się prosto do biblioteki, w której Mariposa załatwiał wszystkie sprawy dotyczące jego działalności. Od razu wchodzę do środka, nie siląc się na grzecznościowe pukanie. Zastaję Paula siedzącego przy stole przed włączonym komputerem. Odrywa wzrok od ekranu, po czym przywołuje mnie gestem dłoni. Przełykam głośno ślinę, nie ruszając się z miejsca. Z jakiegoś powodu boję się widoku, jaki widnieje po drugiej stronie urządzenia.

– Melody. – Paul wymawia moje imię, tak jakby o coś prosił, lecz poza tym nie mówi nic więcej.

Całą siłą woli zmuszam się, żeby do niego podejść. Jedną ręką odsuwa mi krzesło, więc siadam obok niego, patrząc wszędzie tylko nie na ekran MacBooka.

– Domyślałam się, że jest ci teraz ciężko – słaby głos zwraca się bezpośrednio do mnie. Mimowolnie podnoszę wzrok, napotykałam twarz wujka Rhysa, która nawet przez kamerę wydaje się poszarzała i zmęczona. – Wiążąc się z moim siostrzeńcem, musiałaś zdawać sobie sprawę z ryzyka. Nie chcę, żebyś pomyślała, że nawet w tak trudnej sytuacji próbuję was

pouczać i umoralniać, bo wcale tak nie jest. Po prostu wiem, że do tej pory nie zdawałaś sobie sprawy z tego, kim on jest. On sam do końca nie zdawał sobie z tego sprawy. Zawsze wychodził z opresji obronną ręką, nie ponosząc poważnych ran, ale teraz... – urywa, zerkając za siebie przez ramię. – Sama zobacz.

Kiedy wstaje, wydaje z siebie cichy syk, jakby walczył z silnym bólem. Nie do końca rozumiejąc, co się dzieje, patrzę na Paula, szukając pomocy, lecz wyraz jego twarzy pozostaje nieodgadniony. Ponownie wbijam wzrok w komputer. Obraz kamery rozmazuje się nieco po tym, jak Cecilio bierze w dłonie urządzenie. Najpierw słyszę ciche pikanie aparatury, a po kilkunastu sekundach obraz ponownie się wyostrza. Moje serce zatrzymuje się na ułamek sekundy w chwili, w której ekran wypełnia twarz i klatka piersiowa mojego Motyla. Twarz, która w ogóle nie przypomina tej, której widok zapierał mi dech w piersiach za każdym razem, gdy na nią patrzyłam.

Przykładam drżącą dłoń do ust, tłumiąc wydobywający się z nich jęk przerażenia. Niemal cała prawa strona jego ciała jest bordowo fioletowa, w niektórych miejscach pokryta różnej wielkości opatrunkami.

– Kochanie – bezgłośnie poruszam ustami, czując, jak moje oczy ponownie wypełniają się łzami.

Sądziłam, że wypłakałam już je wszystkie, lecz widok mężczyzny, który jest centrum mojego wszechświata, tak zmasakrowanego i nieprzytomnego, sprawia, że po moich policzkach na nowo zaczynają płynąć gorące strumienie łez. Jest ich tak dużo, że tracę nieco ostrość widzenia, za co w głębi duszy jestem wdzięczna.

– Wyszadzi nasz samochód zaledwie kilka kilometrów od posiadłości – mówi Cecilio w oddali. – Ten głupiec otworzył drzwi podczas dachowania i jak widać, mocno się potłukł. Przy okazji dostał dwie kulki w brzuch, z których jedna przeszła na wylot, nie uszkadzając nic po drodze, a druga utknęła kilka milimetrów od śledziony. Konieczna była operacja, ale obyło się bez komplikacji. Jestem na niego taki wściekły. – Głos mu się łamie podczas wypowiedzania ostatniego zdania. – Patrzyłem na śmierć jego ojca, pochowałem własną siostrę. Nie chcę, żeby i on do nich dołączył. Wychowałem go, jest dla mnie jak syn.

Siada obok Rhysa, z którym wciąż nie ma kontaktu, a następnie chwyta w dłonie jego bezwładną dłoń, na której palcu wskazującym widnieje pulsometr.

– Wyjdzie z tego – mówię głośno i pewnie, zaskakując Paula i Cecilio, ale przede wszystkim siebie. – On nie odpuszcza – wypowiadam swoje myśli na głos w nadziei, że przez to okażą się prawdą. – Ma tyle niedokończonych spraw, tyle planów. Wie, że jeśli postanowiłby się poddać, wskrzesiłabym go tylko po to, żeby zatłuc ponownie. Wie, że na niego czekam. – Teraz to mi łamie się głos. Oddycham głęboko, starając się uspokoić. – Obiecałeś, że szybko wrócisz – zwracam się do niego, mimo że wiem, że mnie nie słyszy. – Obiecałeś być przy mnie tak długo, jak sama będę tego chciała. Nie waż się umierać, do cholery!

Wstaję od stołu, gwałtownie odsuwając krzesło.

Kręci mi się w głowie, a przed oczami, z których wciąż wypływają gorzkie łzy, robi się ciemno. Na szczęście to tylko chwilowe i już sekundę później znów stoję stabilnie na własnych

nogach. Przecieram oczy wierzchem dłoni, pociągając nosem, po czym patrzę na Mariposę, nie przyjmując do wiadomości, że to naprawdę on.

– Możemy tam polecieć? – pytam Paula.

Chciałabym jak najszybciej znaleźć się przy Motylu. Poczuć ciepło jego ciała i wsłuchać się w miarowe bicie serca. Upewnić się, że ta okropna opuchnięta twarz należy do niego.

– Cecilio. – White oddaje głos szefowi.

Starszy mężczyzna wzdycha zrezygnowany.

Wygląda, jakby z jego silnego ciała nagle uszło całe powietrze.

– Bardzo chciałbym się zgodzić, Melody, ale obawiam się, że to niemożliwe – odpowiada po dłuższej chwili milczenia. – To okrutne, co powiem, ale nie jesteś tu do niczego potrzebna. Spójrz na niego. – Wskazuje gestem głowy na swojego siostrzeńca. – Może się obudzić za kilka godzin, dni albo wcale.

– Nie mów tak! – niemal krzyczę, przerażona wizją utraty jedyne go człowieka, którego kocham nad życie.

Mariposa senior wydaje się niewzruszony tym, że podniosłam na niego głos.

– Zbyt wiele śmierci widziałem w swoim życiu, żeby być tak optymistyczny jak ty, dziecko. Musisz przygotować się na najgorsze. W ciągu najbliższych kilku godzin oka...

Nie jestem w stanie dłużej tego słuchać. Opadam na kolana, zakrywając uszy dłońmi. Jego okrutne słowa niczym ostrza sztyletów przebijają na wskroś moje serce. Ten ból jest dosłownie wszędzie. Czuję go od czubków palców u stóp po cebulki włosów na głowie. Rozlewa się po moim ciele, paraliżując mięśnie, wzrastając jak rak, pożerając tkanki. Żywi się mną, a ja nie wiem, jak mam z nim walczyć. Osuwam się z kolan na chłodną podłogę, zwijając w kłębek i pozwalam mu sobą zawładnąć. *Wróć do mnie, Rhys*, błagam w myślach, przegryzając zębami dolną wargę do krwi. *Wróć do mnie*.

Jestem tak słaba, że nie jestem w stanie unieść powiek, które wydają się, jakby były z ołowiu. Nie wiem, jak długo już tu leżę. Nie wiem, czy ktoś jeszcze poza mną jest w bibliotece. Zasnęłam czy znowu straciłam przytomność? Próbuję się podnieść, ale mięśnie odmawiają mi posłuszeństwa. Cholera, staję się więźniem własnego ciała. Wciąż czuję w ustach metaliczny posmak krwi, a kiedy je otwieram, wydobywa się z nich cichy jęk. Czyjeś ręce chwytają mnie za barki i podnoszą do pozycji siedzącej. Z trudem otwieram oczy, mrugając kilka razy, żeby odzyskać ostrość widzenia. Zauważam, że wcale nie jestem w bibliotece. Siedzę na łóżku w sypialni Rhysa, ubrana w jedną z jego koszul. Przyciągam materiał do nosa, zaciągając się jego zapachem. Ta niewielka namiastka jego obecności sprawia, że czuję pewnego rodzaju złudny spokój. Jednak wiem, że to tylko chwilowe. Wiem, że za moment ponownie będę musiała zmierzyć się z rzeczywistością, która mnie przerasta.

– Witamy Śpiącą Królownę – rzuca Nancy, ostrożnie siadając obok mnie, a na jej twarzy maluje się wymuszony uśmiech. – Myśleliśmy, że już nigdy się nie obudzisz.

Dlaczego mówi w liczbie mnogiej?

Rozglądam się, mrużąc oczy od oślepiającego światła wypełniającego pomieszczenie. Przy drzwiach na krześle przyniesionym z biblioteki siedzi Paul. Na jego kolanach spoczywa komputer, a w dłoni ściska telefon.

– Co ja tu robię? – pytam. Potwornie boli mnie głowa. Czuję się tak samo jak po narkotyku, którym dawno temu nafaszerowali mnie ludzie Motyla. – Znowu mi to podałeś?

Podwijam rękawy, szukając na rękach znaku po wkłuciu igły.

– Uznaliśmy, że to najlepsze rozwiązanie – odpowiada Nancy za Paula.

Jak to uznaliśmy? Ona też brała w tym udział?

– Od kiedy niby tak się z nim zgadzasz? – Czuję narastającą wściekłość. – Nie przeszkadza ci, że to taki sam gangster jak Mariposa? Jest lekarzem, tak jak ty, i dlatego zasługuje na lepsze traktowanie?

Nancy podnosi się gwałtownie.

– Jesteś cholernie niesprawiedliwa, Mel. Wiem, że cierpisz, ale nie powinnaś wyzywać się na mnie. Jestem tu, żeby ci pomóc. Widziałam go. Widziałam, co z nim zrobili.

Przed moimi oczami automatycznie pojawia się obraz zmasakrowanej twarzy Rhysa i choć bardzo się staram, nie jestem w stanie się go pozbyć, dlatego zaciskam powieki, próbując zaakceptować.

– Jak długo spałam?

– Całą noc – tym razem odzywa się Paul. Wstaje, odkłada MacBooka na krzesło, a następnie podchodzi do łóżka. – Wciąż jest nieprzytomny. Poprosiłem Cecilio, żeby od czasu do czasu włączał kamerę w sali Rhysa i wychodził. Może chciałabyś...

– Nie – przerywam mu ostro. – Nie dam rady oglądać go w tym stanie. – Głos mi się łamie. – Przepraszam.

Czuję się źle z tym, że nie mogę przy nim być. Jeszcze gorzej czuję się z tym, że nie chcę na niego patrzeć. I nie chodzi wcale o to, że wygląda zupełnie inaczej, niż pamiętam, tylko o to, że widok jego nienaturalnie opuchniętej, poranionej skóry łamie mi serce.

– Zostawcie mnie samą – proszę cicho, kładąc się i odwracając do nich plecami.

Ostatnim, co słyszę, jest dźwięk zamykanych drzwi, a ułamek sekundy później zasypiam, rozkoszując się tą znajomą substancją wciąż krążącą w moim krwiobiegu, która pozwala mi zapomnieć o Motylu i wszystkim, co z nim związane.

Kiedy pojawiając się w salonie, wciąż mam na sobie czarną, męską koszulę. Początkowo miałam włożyć coś swojego, ale nie mogłam i przede wszystkim nie chciałam tego zrobić. Tylko w ten sposób czuję, że należę do niego; że wcale nie zniknął z mojego życia. Zastaję Nancy siedzącą na kanapie z nosem w książce.

– Cześć – mówię niepewnie, siadając na marmurowym blacie stolika kawowego.

Podnosi na mnie wzrok, zamykając książkę, po czym odkłada ją obok siebie.

– Widzę, że czujesz się lepiej – zauważa, mrużąc oczy. – Zanim ponownie na mnie nawrzeszczysz, chcę, żebyś wiedziała, że pomysł z lekami uspokajającymi był mój. Wpadłam do biblioteki, jak tylko usłyszałam twój krzyk, zakładając najgorsze. Próbowałam jakoś do ciebie

dotrzeć, ale straciłaś kontakt z rzeczywistością. Na przemian płakałaś i mamrotałaś coś niezrozumiałego. Widzieć cię w takim stanie to jak... Nawet nie potrafię znaleźć słów, żeby to opisać. To było straszne. Wiedziałaś, że jedynym ratunkiem będzie podać ci coś, co na chwilę wyłączy twoje zmysły. Pozwoli ci zapomnieć, odpocząć. Zrobiłam to dla twojego dobra.

Zbyt pochopnie ją oceniłam. Wkurzyłam się, ponieważ wciąż miałam w głowie jej oburzenie, kiedy opowiedziałam jej o moim upozorowanym porwaniu i podaniu mi większej ilości środków odurzających, niż powinno.

– Wiem i dziękuję. – Mój głos jest ledwie słyszalny. – Na twoim miejscu zrobiłabym dokładnie to samo.

Zauważam wyraźną ulgę malującą się na jej twarzy.

– Cieszę się, że to rozumiesz. – Uśmiecha się nieznacznie. – Ale się popieprzyło, co?

Podnoszę się i siadam obok niej na kanapie, opierając się wygodnie. Chciałabym przyznać jej rację, ale powiedzieć, że się *popieprzyło*, byłoby cholernym niedopowiedzeniem ostatniego tysiąclecia.

– Nie radzę sobie z tym – wyznaję po dłuższej chwili milczenia. – Nie mam pojęcia, co się stanie, kiedy on... – urywam, nie będąc w stanie wypowiedzieć ostatniego słowa głośno.

Przyjaciółka wzdycha, po czym obraca się tak, żeby dobrze widzieć moją twarz.

– Widzę, że ktoś musi ci to powiedzieć – zaczyna, a w jej głosie brzmi ta znajoma zaciętość. – Weź się w garść, Prince. Do kurwy nędzy, twój mężczyzna leży nieprzytomny, poważnie ranny w szpitalu oddalonym tysiące mil od ciebie, nie wiadomo nawet, czy przeżyje, a ty tylko użalasz się nad sobą. – Oburzona jej wypowiedzią otwieram usta, żeby zaprzeczyć, lecz ona ucisza mnie gestem dłoni, po czym kontynuuje szybko: – Wiem, że jest ci trudno. Nawet nie potrafię sobie wyobrazić, co w tej chwili czujesz, ale będzie ci łatwiej, jeśli skupisz się na uczuciach innych. Nie pograżaj się w swoim bólu, bo twój pieprzony gangster potrzebuje cię teraz bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Współczuję ci z całego serca, ale dłużej nie mogę patrzeć na to, co ze sobą robisz. Mariposa wciąż żyje. Chwyć się tej myśli i nie puszczaj, choćby nie wiem co.

Trawię jej słowa przez dłuższą chwilę.

To, co powiedziała, było okrutne, ale szczerze i choć trudno mi w to uwierzyć, w jakiś sposób pomaga. Otwiera oczy na to, czego do tej pory nie dostrzegałam. Johnson ma rację: Rhys wciąż żyje, wciąż walczy. *Cholera, czasami naprawdę jestem straszną egoistką...*

– Gdzie jest Paul? – pytam jak gdyby nigdy nic.

Johnson ponownie oddycha z ulgą na dźwięk moich słów.

Zapewne spodziewała się awantury, którą w normalnych okolicznościach z pewnością bym urządziła, jednak teraz mam w głowie zupełnie co innego.

– Zniknął gdzieś z tym swoim komputerem – odpowiada, wzdychając. – To niesamowite, że wciąż siedzi wpatrzony w Rhysa i wyciąga wszystkie informacje, skąd tylko może i jakie tylko może. Odkąd tu jestem, nie widziałam, żeby cokolwiek jadł albo pił. Podziwiam jego spokój i opanowanie, a siła jego przyjaźni z Mariposą jest imponująca. Co ten facet w sobie ma, że wszystkich tak mocno od siebie uzależnia?

Uśmiecham się smutno.

– Gdybyś dała mu szansę, zobaczyłabyś, że to naprawdę wartościowy człowiek – zauważam.
– Jasne, że ma wiele wad, jak każdy, ale wiem, że dla ludzi, których kocha, byłby w stanie oddać życie.

– Miejmy nadzieję, że uda mi się jeszcze o tym przekonać.

Jestem jej wdzięczna za to, że nie próbuje wmówić mi, że wszystko będzie dobrze. Podchodzi do stanu zdrowia Motyla obiektywnie, zastępując mój zdrowy rozsądek. Jest lekarzem, przez co zdaje sobie sprawę z tego, jak poważne rany odniósł podczas ataku. Jednak nie zamierzam pytać jej o ryzyko, jakie ze sobą niosą. Postanawiam posłuchać jej rady i chwytam się tego, że serce Rhysa jeszcze bije.

Nie wiem, ile czasu mija nam w zupełnej ciszy. Opieram głowę o miękką poduszkę, odpływając myślami daleko. Coraz bardziej zaczynam tęsknić za światem, w którym moim jedynym zmartwieniem były egzaminy na zniechędzonych przeze mnie studiach. Po chwili dochodzę do wniosku, że jednak nie wyobrażam sobie, żeby moje życie wyglądało inaczej niż teraz. Dobrze trafiłam do momentu, w którym otworzyłam szeroko oczy na sprawy, których dotychczas nie zauważałam. Żyłam z dnia na dzień, nie martwiąc się o pieniądze, dach nad głową czy jedzenie. Nie doceniałam rzeczy, za które inni oddaliby wszystko. Jestem szczęściarą. Mimo ostatnich przykrych okoliczności mam sporo szczęścia. Mam miłość. Miłość, której wcale nie szukałam, a która leczy moją duszę za każdym razem, gdy ta tego potrzebuje.

Podnoszę się, podciągając kolana pod siebie, po czym sięgam po telefon leżący na stoliku. Kiedy biorę go w dłoń, jego ekran się rozjaśnia. Dziwne, że po zderzeniu ze ścianą nie ma na sobie ani jednej rysy i na razie działa bez zarzutu. Mam kilka nieodebranych połączeń od dziadka i jedną wiadomość głosową. Odsłuchuję ją, przykładając telefon do ucha:

– To kolejny raz, kiedy znikasz bez słowa wyjaśnienia. Nie zamierzam cię więcej za to ganić ani wymagać od ciebie, żebyś o wszystkim nas informowała. Po prostu daj znać, czy jesteś bezpieczna. Tylko tyle.

Głos Hudsona milknie, więc bez większych emocji przechodzę do sprawdzania pozostałych komunikatorów. Na ikonie jednego z nich widnieje cyfra dwa. Kiedy jej dotykam, otwiera się, wyświetlając najnowsze wiadomości.

– To Jim – szepczę, nie będąc nawet pewna, czy Nancy wciąż tu jest.

Szybko przebiegam wzrokiem po ekranie, czytając pierwszą wiadomość:

Lou powiedział mi, co się stało. Przykro mi. Na twoje pocieszenie mogę powiedzieć, że ten skurwiel się nie poddaje. Będzie dobrze.

I kolejną:

Nie zdążyłem przeprosić za to, jak Was potraktowałem, więc PRZEPRASZAM. Liczę na to, że kiedy znów się spotkamy, nie będziemy czuć do siebie żalu.

– Czego chce?

Aż podskakuję, słysząc głos przyjaciółki tuż przy swoim uchu. Nie wiem, czy potrafi poruszać się tak bezszelestnie jak elf, czy już zupełnie zamknęłam się w swoim wyimaginowanym świecie i przestałam zwracać uwagę na to, co się dzieje wokół. Nie mam ochoty rozmawiać, więc oddaję jej telefon, żeby sama mogła przeczytać słowa Jima.

– Kutas – kwituje krótko, oddając mi urządzenie. – Olej go i nie odpisuj. Zapewne jedynym miejscem, na którym chciałby was spotkać, byłby cementarz.

Zaciskam powieki, powstrzymując chęć obicia jej ślicznej twarzy.

– Naprawdę świat nie przestałby istnieć, gdybyś ostatnie zdanie zachowała dla siebie – syczę przez zaciśnięte zęby, unosząc powieki.

– Sorry, czasami ten brak filtra naprawdę utrudnia mi życie. Wyobrażasz sobie mnie jako szanowaną panią doktor, przekazującą informację o śmiertelnej chorobie albo śmierci bliskiej osoby?

I choć bardzo chcę, to nie potrafię się na nią gniewać.

– Myślę, że gdybyś zrobiła specjalizację z psychiatrii, dziewięćdziesiąt procent twoich pacjentów byłaby martwa już po pierwszej sesji z twoim niewyparzoną językiem.

A może byłoby zupełnie odwrotnie? Może ta jej okrutna bezpośredniość dawałaby chorym więcej siły niż złudnie kojące słowa, niemające pokrycia w rzeczywistym życiu? Kiedy nasze spojrzenia się krzyżują, wybuchamy głośnym, oczyszczającym śmiechem. I jest to dla mnie najskuteczniejsza terapia na ten moment.

Najgorsze jest to czekanie. Nieustannie patrzę na zegar, odliczając. Sekundy, minuty, godziny. Oczekiwanie na jakiegokolwiek informacji. Zachód słońca, mocna kawa, wschód. Świat nie zatrzymał się wraz z naszym życiem, wręcz przeciwnie, biegnie dalej i odnoszę wrażenie, że robi to jeszcze szybciej niż dotychczas. Kolejny dzień bez wieści wypełniony niewypowiedzianymi obawami, strachem i tym ciągłym napięciem, przez które ogromne mieszkanie Rhysa wydaje się za małe dla naszej trójki.

Nancy zamknęła się w sypialni dla gości i próbuje dokończyć prezentację, której tworzenie przerwali jej ludzie Mariposy. Paul ciągle przemieszcza się po apartamencie z telefonem przy uchu oraz komputerem w ręku, nie odstępując przyjaciela na krok, mimo że może być przy nim tylko wirtualnie, a ja po prostu całe dni spędzam na kanapie ze wzrokiem wbitym w ekran telewizora.

Poza męczącym odliczaniem staram się pozostałą uwagę skupiać na serialach, które bezustannie oglądam na Netfliksie, co pozwala mi przynajmniej na chwilę zająć myśli czymś, co nie jest śmiertelnym zagrożeniem życia mojego ukochanego. Zrobiłam dokładnie to, czego nie chciałam: *u c i e k ł a m*. Odcięłam się od problemu, czekając tylko na dobre wiadomości. *Ale czy to coś złego?*, pytam samą siebie. Jeśli tylko to mi pomaga, nie powinnam czuć wyrzutów sumienia. Czasem odszukuję Paula, żeby powiedzieć kilka słów do Rhysa, ale nie patrzę na niego. Dzięki temu moja ochronna bańka, którą się otoczyłam, nie pęka i wciąż dzielnie się trzymam.

Nie wiem, jak długo już nie śpię. Dzień? Dwa? Cztery? Przestałam liczyć. Jestem zmęczona i cholernie śpiąca. Jednak za każdym razem, kiedy moje powieki opadają, zmuszam się, żeby ponownie je unieść w obawie, że podczas gdy ja będę spać, z Motylem może stać się coś złego.

Wypijam więc litry czarnego, paskudnego w smaku płynu, a po każdej kolejnej szklance moje serce niepokojąco mocno tłucze się w piersi. Albo Mariposa postanowi łaskawie wrócić do żywych, albo mięsień w mojej klatce piersiowej nie wytrzyma nadmiaru kofeiny, którym żywię swój organizm od kilku dni.

Słyszę, jak w kuchni kolejny raz otwierają się drzwi lodówki. Nie muszę się odwracać, żeby wiedzieć, że to Johnson. Jako jedyna zachowała apetyt i regularnie, co kilka godzin, odwiedza kuchnię, pochłaniając zawartość lodówki. Mój organizm nie przyjmuje żadnych pokarmów stałych. Kiedy próbowałam zjeść kanapkę, nie dość, że smakowała jak tektura, to po kilku gryzach poczułam przemożną chęć zwrócenia wszystkiego na talerz. Głos z tyłu głowy nieustannie powtarza mi, że jest ze mną źle, ale ignoruję go, pamiętając, że obiecałam sobie, że skończę z uzalaniem się nad sobą. Przeciagam się, ziewając, po czym wstaję z kanapy, w której niedługo moje ciało odcisnie trwały ślad, a następnie, nie zwracając uwagi na lekkie zawroty głowy, przechodzę do kuchni.

– Smacznego – mówię, nalewając sobie kawy z ekspresu.

– Jeszcze nic nie jem – zauważa Nancy.

Chwytam kubek w dłonie, po czym odwracam się do niej twarzą, udając, że nie zauważam troski malującej się w jej oczach i wzruszam ramionami.

– To będziesz miała w zapasie.

Bierze się za smarowanie tostów masłem orzechowym.

– Nadal nie jesteś w stanie nic przełknąć? – pyta, odgryzając kęs. Kręcę głową w odpowiedzi.

– Już wyglądasz, jakbyś miała pięć kilogramów mniej, a nie wiadomo, ile to wszystko jeszcze potrwa. Twój nieciekawy stan psychiczny to jedno, ale nie pozwól, żebym dodatkowo martwiła się o twoje zdrowie fizyczne.

Wzdycham lekko poirytowana.

– Daj spokój, Johnson. Nie jestem głodna, okej?

Z brzękiem odstawiam kubek na kuchenną wyspę, odwracam się na pięcie i odchodzę. Zamykam się w łazience, włączając wodę, po czym opieram dłonie o blat umywalki. Oddycham głęboko, wciągając powietrze nosem i wypuszczając ustami. Zaczyna mnie to wszystko przerastać. Właściwie już dawno mnie przerosło, tylko dopiero teraz to sobie uświadamiam. Nie jestem w stanie dłużej udawać silnej, bo tak naprawdę nigdy nią nie byłam. Nie jestem jak Nancy. W chwilach największej tragedii po prostu muszę wyplakać swój ból. I właśnie to teraz robię. Oczyszczające łzy wypływają z moich błękitnych oczu, bezgłośnie spadając prosto do umywalki.

To wszystko trwa zaledwie kilkanaście minut, a kiedy kończę, obmywam twarz zimną wodą i spoglądam w lustro. Czerwone białka zwiększają intensywność koloru moich tęczówek i jest to jedyny tego plus. No, może jeszcze jednym pozytywem jest to, że naprawdę czuję się o wiele lepiej. Odsuwam szufladę pod umywalką, wyjmując z niej mały ręcznik, po czym szybko osuszam nim twarz. Wychodzę z łazienki, przystając przy drzwiach biblioteki. Nieco niepokoi mnie dziwna cisza, która panuje w całym apartamencie. Nie słychać dźwięków telewizora, który

na pewno zostawiłam włączony, ani dźwięków aparatury medycznej wydobywającej się z komputera Paula. Muzyka w pokoju dla gości, którą włączyła Nancy, także ucichła.

Cichy damski chichot dobiega zza drzwi, przy których stoję. Kładę rękę na klamce i najciszej, jak tylko się da, otwieram je. Dłuższą chwilę zajmuje, zanim mój mózg dobrze odczyta obraz malujący się przed oczami. Moja jedyna przyjaciółka siedzi na szklanym stole, a pomiędzy jej udami stoi najlepszy przyjaciel mojego Motyla. Obejmuje ją dłońmi w talii, obsypując pocałunkami jej długą, smukłą szyję. Skonsternowana wycofuję się nieco, ale nie zamykam drzwi. Chcę odejść, ale nie jestem w stanie się ruszyć.

Po prostu stoję i wgapiam się w Paula, który bezwstydnie dobiega się do Nancy. Szepcze jej coś do ucha, na co ona ponownie chichocze jak nastolatka. Gdy obejmuje drobnymi dłońmi jego kark, gorączkowo zastanawiam się nad tym, co powinnam teraz zrobić. Dać znać o swojej obecności i przerwać to, czy może pozwolić White'owi działać i wycofać się niezauważona? Gdy Paul wsuwa dłoń pod jej koszulkę, odwracam się i odchodzę szybkim krokiem, czując się jak zboczony podglądacz.

Zamykam się w pokoju, który zajmuje Johnson i przez chwilę chodzę w tę i z powrotem, nie mogąc uwierzyć w to, czego przed chwilą byłam świadkiem. Nigdy nie pomyślałabym, że oni... To takie dziwaczne. Chociaż, gdy teraz o tym myślę, to naprawdę do siebie pasują. Oboje są piękni, zajmują się tym samym, a co za tym idzie, mają wspólną pasję. Czy powinnam cieszyć się z faktu, że moja przyjaciółka wchodzi w ten pokręcony świat, pieprząc się z prawą ręką bossa narkotykowego, który pieprzy mnie?

Dlaczego tego nie przerwałam, skoro z łatwością mogłam to zrobić? Właściwie mogłabym zrobić to nawet teraz, ale przez te kilka minut mogli zaliczyć więcej baz, niż mi się wydaje. Nie jestem pewna, czy chcę oglądać ich w tak intymnej sytuacji... W końcu zatrzymuję się, stając przy przeszklonej ścianie i z nosem przy szybie przyglądam się panoramie miasta rozciągniętej u moich stóp. Słońce zmierza ku zachodowi, ale wciąż jeszcze widnieje na jasnoróżowym niebie.

W tej chwili oddałabym wszystko, żeby Rhys stał tu ze mną i cieszył oczy malującym się przed nami widokiem. Nie musielibyśmy rozmawiać. Zawsze dobrze mi się z nim milczało. Po prostu objąłby mnie czule, zaplatając ręce tuż nad moimi biodrami i przycisnął mocno do siebie. Oparłabym głowę o jego klatkę piersiową i w akompaniamencie bicia jego serca zęgnąłabym niewątpliwie piękny dzień.

Na myśl, że mogę już nigdy więcej tego nie doświadczyć, czuję ból tak dotkliwy, że kładę ręce na klatce piersiowej i pochylam się do przodu, oddychając szybko, a z sekundy na sekundę coraz ciężej. Z trudem pokonuję odległość dzielącą mnie od łóżka znajdującego się po drugiej stronie pokoju, po czym opadam na nie, czując, że się duszę. Dlaczego myśl o utracie Rhysa wywołuje we mnie tak silne emocje? Dlaczego wciąż pozwalam wątpliwościom wkradać się i siać zamieszanie? Dlaczego nie wierzę w jego siłę i wolę walki o własne życie?

Chyba dlatego, że od samego początku gdzieś w najgłębszych zakamarkach duszy czułam, że on wcale nie chce żyć. Stracił rodziców, doświadczył tylu strasznych rzeczy, przedwcześnie nauczone go, jak być głową mafijnej rodziny, a zabijanie nie jest dla niego niczym innym, jak tylko nielubianą pracą. Nauczyli go, jak nie czuć nic poza satysfakcją z osiągniętego celu. To

dlatego wciąż się nie budzi. Jest mu obojętne, czy przeżyje. Jeśli odejdzie, jego cierpienie skończy się na zawsze. Z jakiegoś niewyjaśnionego powodu wiem, że jest to dla niego niezwykle kuszące i wcale nie mam mu tego za złe.

Uśmiecham się po tym, jak mój wzrok pada na niedużą, metalową skrzyneczkę. Cudownie byłoby nic nie czuć. Chociaż na chwilę wyłączyć zmysły i wyspać się z tego całego wewnętrznego bólu, który jak rak wzrasta i zżera mnie od środka. Palcem wskazującym przesuwam po gładkich krawędziach przedmiotu, po czym unoszę jego wieko. Moim oczom ukazują się kilkanaście fiolek oraz sterylne zapakowane igły wraz ze strzykawkami. To takie proste. Wystarczy zaaplikować odrobinę tego przezroczystego płynu pod skórę i przestać czuć. Ot tak, jak za dotknięciem magicznej różdżki.

Szybko rozrywam folię, w którą zapakowane są strzykawka wraz z niewielką igłą i ostrożnie nabieram połowę zawartości niedużej fiołki, mając nadzieję, że taka ilość wystarczy, żeby choć na chwilę poczuć się lepiej. Przechylam głowę na bok, odszukując palcami wolnej ręki żyłę, po czym przebijam skórę i powoli wciskam tłok. Po wszystkim odrzucam strzykawkę gdzieś na bok. Układam się wygodnie na łóżku, przytulając do miękkiej kołdry, a uczucie błogostanu przychodzi niemal natychmiast. *To takie proste*, powtarzam w myślach. Zamykam oczy i z przyjemnością osuwam się w ciemność.

Rozdział 10

Ktoś mocno chwyta mnie za barki i szarpie, nie siląc się na delikatność. Mamrocę coś niezrozumiale nawet dla samej siebie, a przy tym krzyżuję ręce i obejmuję się, ponieważ tak czuję się najbezpieczniej. Kiedy ktoś ponownie mną porusza, otwieram oczy.

– Wstawaj, do cholery! – warczy Nancy. Rozchylając moje powieki, z uwagą ogląda moje oczy. – Wstawaj, bo zaraz skopię ci dupę na leżąco!

Nie robię tego, czego żąda, więc podnosi mnie jednym sprawnym ruchem do pozycji siedzącej, a ja zastanawiam się, skąd w niej tyle siły.

– Jestem taka zmęczona – mamrocę mocno ochryplym głosem, przecierając piekące oczy wnętrzem dłoni.

– A ja jestem zszokowana tym, że mam za przyjaciółkę początkującą narkomankę. – Klęka przede mną, czujnym wzrokiem śledząc każdy centymetr mojej twarzy. – Ten lek nawet w małych dawkach sieje spustoszenie w organizmie, a ty zaaplikowałaś sobie pół fiolki tego cholerstwa... Miałaś więcej szczęścia niż rozumu. Mogłaś się zabić, idiotko!

Podnosi się, po czym przytula mnie nagle bez ostrzeżenia, ściskając tak mocno, że brakuje mi tchu. Posyłam Paulowi, który właśnie zjawia się w pokoju, spojrzenie pod tytułem: *ratuj!* Wciąż nie jestem w stanie wydusić z siebie ani jednego słowa.

– Nancy – wypowiada jej imię z pozoru obojętnym tonem, lecz ja wciąż mam w głowie obraz z biblioteki, co prawda nieco zamglony, ale doskonale wiem, do czego między nimi doszło.

Przyjaciółka odsuwa się ode mnie, a następnie odwraca twarzą do lekarza.

– W końcu udało mi się ją dobudzić – zdenerwowana wyrzuca z siebie słowo za słowem. – Bałam się, że będziemy musieli podać jej...

– Nie chciałam się zabić – mówię nagle, przerywając jej, żeby nie wzbudzać ich niepokoju. – Chciałam po prostu odpocząć.

Nancy odwraca głowę w moją stronę i teraz oboje wbijają we mnie wzrok. Mimowolnie kulę się pod ostrzałem ich jasnych spojrzeń. Wiem, co o mnie myślą. Zdają sobie sprawę, że ostatnie wydarzenia najzwyczajniej w świecie mnie złamały.

– Następnym razem, jak będziesz chciała odpocząć, weź to – mówi Paul, wyjmując coś z tylnej kieszeni eleganckich spodni, po czym rzuca tym we mnie. – Po tym twoje serce nie wysiadzie tak szybko, a gwarantuję, że skutecznie wyłączysz ośrodek nerwowy na jakiś czas.

Przenoszę nieco zamglony wzrok na złączone uda, na których wylądowała niewielka saszetka wypełniona do połowy białym proszkiem. Biorę ją w dłoń, zaciskając wokół niej palce, jakby była czymś bardzo cennym.

– Dziękuję – bąkam, udając, że nie czuję na sobie piorunującego spojrzenia, które posyła mi Johnson.

Wstaję z łóżka, lecz siadam na nim z powrotem, ponieważ moje nogi są miękkie i jakby pozbawione kości, przez co nie potrafię zrobić ani jednego kroku. Chowam twarz w dłoniach,

zastanawiając się, co mną kierowało, kiedy wstrzykiwałam sobie to świństwo, czymkolwiek było. Swoją drogą, niepokoi mnie to, że znalazłam je w sypialni Nancy. Bo chyba nie jest to zestaw małego podróżnika, który przyleciał wraz z nią.

– Zapomnij, że pozwolę ci wziąć to gówno – syczy. Pochylając się nade mną, próbuje wyszarpnąć mi z dłoni saszetkę. W końcu poddaje się, widząc, że mimo ogólnego osłabienia moje palce pozostają stalowo zaciśnięte. Musiałaby mi chyba odciąć rękę, żeby to zabrać. – Twoja sprawa – mruczy posepnie, unosząc ręce w geście poddania, po czym odwraca się i wychodzi ze spuszczoną głową.

Cholera! Dlaczego tak łatwo przychodzi mi ranienie ludzi, którzy tak bardzo się o mnie troszczą? Ponownie dźwigam się na nogi, lecz tym razem na szczęście mam na tyle siły, żeby utrzymać ciało w pionie.

– Chyba powinnam za nią pójść – stwierdzam, spoglądając ze wstydem na White'a.

Na jego przystojnej twarzy maluje się potworne zmęczenie. Świadczą o tym cienie pod oczami i blade odcienie skóry. Jasne włosy, zwykle starannie ułożone, teraz wyglądają, jakby nie czesał ich od kilku dni. Ciężki stan Motyla odbił się na nim równie mocno, co na mnie. Może nawet i bardziej.

– Chyba tak – popiera, chwytając kciukiem i palcem wskazującym swój nos na wysokości oczu, po czym zaciska powieki.

Kiedy go mijam, bez słowa oddaję mu kokainę i wychodzę z sypialni w poszukiwaniu Nancy. Zastaję ją w kuchni, opartą plecami o lodówkę. Wyjada łyżką masło orzechowe prosto z opakowania. Podchodzę do niej szybko, zanim stracę odwagę, a następnie siadam na jednym z krzeseł barowych, opierając łokcie o blat wyspy.

– Gdzie ty to wszystko mieścisz? – pytam, bo naprawdę zastanawiam się nad tym od jakiegoś czasu.

Nigdy nie widziałam, żeby jadła tak dużo, mimo że mieszkałam z nią kilka lat. Zawsze dbała o zawartość swojego talerza, a odkąd jest tutaj, pochłania wszystko, co jej się tylko nawinie.

– To ta wysokość tak na mnie działa – odpowiada, wkładając do ust kolejną łyżkę masła. – Albo stres, którego przez te kilka dni doświadczyłam więcej niż w całym swoim życiu. Jeśli tak to wyglądało od początku, nie dziwię się, że sfiksowałaś.

Uśmiecham się cierpko. Zaślepiona rodzącym się uczuciem nie widziałam wielu istotnych faktów, które coraz bardziej wyłaniają się zza zasłony zauroczenia.

– Oddałam narkotyki twojemu chłopakowi – mówię ni stąd, ni zowąd. Na dźwięk moich słów zatrzymuje łyżkę w połowie drogi do ust, szerzej otwierając oczy. – Widziałam was – wyznaję, zanim zdąży zaprzeczyć. – Jak długo chciałaś ukrywać przede mną waszą miłość, co?

Wrzuca łyżkę do opakowania, po czym chowa masło do lodówki. Gdy znowu staje do mnie twarzą, przybiera jedną ze swoich skutecznych masek obojętności, ponieważ nic nie jestem w stanie z niej wyczytać.

– Żadna miłość, Prince – rzuca od niechcenia. – Seks jest dla nas skutecznym sposobem na wyładowanie tego cholernego napięcia i zapewniam cię, że nie ma w tym ani grama uczucia.

Wygląda na to, że tylko ja dałam się w tak krótkim czasie złapać w sidła pokręconego uczucia, zanim jeszcze poszłam do łóżka z Rhysem. Ponownie przepelnia mnie bezbrzeżny smutek i rozdzierająca rozpacz. Nie zniosę rozłąki z nim ani sekundy dłużej.

– Wiem! – wykrzykuję nagle, podrywając się z miejsca.

– Co wiesz? – pyta Johnson, nie rozumiejąc mojego entuzjazmu.

– Mówiłaś, że przyleciałaś tu samolotem – przypominam, choć do tamtej chwili nie miałam pojęcia, że Mariposa posiada coś takiego. Potwierdza skinieniem głowy. – Lećmy do niego. I to najlepiej zaraz.

Przyjaciółka puka się palcem w czoło.

– Do reszty ci odbiło, Mel. Żadna z nas nie potrafi pilotować tego skrzydlatego potwora, poza tym Cecilio zabronił ci przyjeżdżać.

– W dupie mam Cecilio – wyrzucam z siebie słowa z prędkością karabinu maszynowego. – Wystarczy, że pożyczysz dla mnie telefon Paula i wykradniesz kontakt do osób, które chętnie nas tam dostarczą, a znam przynajmniej dwie takie.

To ochroniarze Rhysa, którzy towarzyszyli nam niemal przez cały czas podczas moich pierwszych siedemnastu dni spędzonych z Motylem. Nie miałam z nimi jakiegoś bliskiego kontaktu, ale wydaje mi się, że mnie lubili.

– Mówię ci, to się nie uda – powątpiewa. – Ale spróbuję, zanim zabijesz mnie wzrokiem.

Szybkim krokiem odchodzi szukać lekarza, a ja ponownie zajmuję miejsce na barowym krześle i opieram brodę o dłoń. Czuję, jak wewnątrz mnie rozkwita malusieńki pączek nadziei na to, że wkrótce wszystko się ułoży. Najważniejsze, żeby teraz znaleźć się jak najszybciej przy Motylu. Trochę boję się, jak zareaguję w chwili, w której zobaczę go w realnym życiu, a nie wirtualnie. Być może jego widok urzeczywistni mi wszystko tak bardzo, że nie będę w stanie tego udźwignąć, a może nie zrobi na mnie żadnego wrażenia, ponieważ będę skupiona wyłącznie na tym, że znów mam go obok siebie. Rozmyślałam tak dłuższy czas, rozważając najróżniejsze scenariusze i wyobrażając sobie moment naszego spotkania, aż w końcu zaczynam się denerwować, ponieważ Nancy zdecydowanie zbyt długo nie wraca.

Moja noga przestaje poruszać się nerwowo na dźwięk zbliżających się kroków. *Zdradliwa flądra!*, ciśnie mi się na usta, gdy podnoszę głowę i widzę, jak Nancy w towarzystwie Paula idzie w moim kierunku. Oboje się przebrali, a każde z nich przez ramię ma przewieszoną sportową torbę.

– Dziękuję, że mogę ci zaufać – syczę, zeskakując z krzesła.

Zatrzymują się w znacznej odległości ode mnie, więc to ja podchodzę do nich.

– Daj spokój – odpowiada niewzruszona moimi słowami. – Twój nieracjonalny pomysł byłby niewypałem roku i dobrze o tym wiesz.

– Ona ma rację, Melody – odzywa się Paul. – Samolot, który chciałaś... pożyczyć, jest za słaby. Nie pokonałby tak dużego dystansu. Prawdę mówiąc, ja sam mam dość tego, że nie mogę go zobaczyć i...

– Podczas gdy ty oddawałaś się narkotyzowaniu, Paul kupił dla nas bilety lotnicze, także zbieraj się, bo chyba nie chcesz spóźnić się na odprawę.

Przez chwilę trawię ich słowa, nie będąc pewna, czy dobrze rozumiem, aż w końcu rzucam się White'owi na szyję, omal go nie przewracając.

– Dziękuję – mówię z wdzięcznością, odsuwając się.

Nie jestem pewna, ale chyba nie do końca podoba mu się moja bliskość, którą ostatnio zbyt łatwo się z nim dzielę.

– Drobiazg. – Mruga okiem, uśmiechając się. – A teraz się pospiesz, bo właściwie już jesteśmy spóźnieni.

Lot trwa bardzo długo, a fakt, że żadne z nas nie odzywa się ani słowem, wcale go nie umila. Za okną szybą, w którą nieustannie wbijam wzrok, zrobiło się nagle tak ciemno, że zupełnie nic nie widać. Z niecierpliwością wyczekuję komunikatu, w którym jedna z ładnych stewardess poprosi wszystkich o zapięcie pasów. Odwracam głowę, spoglądając na siedzących obok mnie Nancy i Paula. White siedzi w wygodnym fotelu z zamkniętymi oczami, a jego twarz jest tak spokojna, że wygląda, jak pogrążona w przyjemnym śnie. Jednak wiem, że nie śpi, ponieważ jego duża, męska ręka cały czas gładzi drobną dłoń mojej przyjaciółki. Kąciki moich ust wędrują w górę na ten czuły gest.

Odblokowuję telefon, który kurczowo trzymam w dłoniach od kilku godzin, włączam notatki i wstukuję w ich treści: *tylko seks?*, po czym dyskretnie podaję urządzenie Nancy. Wolną ręką odpisuje szybko, następnie oddaje mi iPhone'a, nerwowo zerkając na Paula. *ROZŁADOWANIE NAPIĘCIA + ODWRÓCENIE UWAGI OD OKROPNYCH TURBULENCJI*, krzyczą wielkie litery. Blokuję ekran i uśmiechając się, kręcę głową.

Tu, w powietrzu, wszystko wydaje się mniej skomplikowane. Dryfowanie kilkanaście tysięcy metrów nad ziemią sprawia, że potrafimy prowadzić między sobą luźną konwersację, jakby zupełnie nic się nie stało, a uśmiechy na naszych twarzach są prawdziwie szczerze. Szkoda, że ten czar pryśnie wraz z chwilą lądowania...

W końcu w głośnikach rozlega się znajomy trzask, a tuż po nim rozbrzmiewa przyjemny dla ucha kobiecy głos, informujący, że zbliżamy się do celu podróży. Zapinam pas, przebijając nerwowo nogami. Na szczęście pogoda chyba nam sprzyja, bo cała procedura odbywa się niemal bez turbulencji i już pół godziny później koła samolotu bezpiecznie dotykają wyznaczonego pasa. *Już niedługo*, powtarzam w myślach jak mantrę, żeby nie stracić nad sobą panowania i nie rzucić się do drzwi, zanim w ogóle pozwolą nam opuścić tę podniebną maszynę.

Dzięki temu, że każde z nas miało ze sobą jedynie bagaż podręczny, udaje nam się naprawdę szybko opuścić lotnisko, z którego odbiera nas młody, milczący Hiszpan średniego wzrostu. Już wcześniej uzgodniliśmy, że jak tylko wylądujemy, natychmiast udajemy się do kliniki, w której aktualnie przebywa Rhys. Zanim Paul podał jej nazwę prywatnemu kierowcy, zadzwonił do Cecilio, żeby upewnić się co do adresu, lecz ani słowem nie wspomniał, że złamaliśmy jego zalecenia. I chyba nawet nie odczuwamy kilkugodzinnej różnicy czasowej, ponieważ czas przestał dla nas istnieć wraz z wiadomością o krytycznym stanie Motyla.

– Czy on nie mógłby jechać szybciej? – zwracam się do Paula, zbliżając twarz do przedniego fotela, na którym siedzi.

Choć doskonale znam hiszpański, celowo używam ojczystego języka, żeby pracownik Mariposa mnie nie rozumiał.

– Wie, kim jesteś – odpowiada lekarz, patrząc na mnie przez ramię. – Jest ostrożny, bo nie chce ryzykować własnego życia. Straciłby je, gdyby coś ci się stało.

– Niby skąd wie? – pytam, unosząc jedną brew.

– Pracuje dla Mariposów – mówi, jakby była to najbardziej oczywista rzecz na świecie. – Proszę, nie zadawaj więcej pytań.

Z powrotem rozsiadam się na tylnej kanapie, krzyżując ręce na piersi, a Nancy uspokajająco ściska moje udo. Wciąż zapominam, że świat nie ogranicza się tylko do nas zamkniętych na osiemdziesiątym ósmym piętrze apartamentowca Motyla. Oprócz tego jest jeszcze mafijna działalność, której „interesy sięgają dalej, niż moja wyobraźnia”. Sens słów, które wypowiedział Cecilio w dniu, w którym zdradzał mi prawdę o Rhysie, dopiero teraz do mnie dociera.

Przełykam ślinę, zastanawiając się, czy uda mi się wrócić do domu, czy zginę z rąk jakiegoś mafiosa, który nagle zechce wyrównać porachunki z moim mężczyzną. Najpierw muszę zobaczyć Motyla, a później będę się bać o całą resztę. Spoglądam na nawigację, która pokazuje, że przed nami jeszcze dwadzieścia minut drogi, więc wsłuchując się w cichy dźwięk silnika, pozwalam powiekom opaść. Tracę kontrolę jedynie na kilka sekund i niespodziewanie dla samej siebie zasypiam.

Gwałtownie unoszę powieki w momencie, w którym łokieć mojej przyjaciółki boleśnie wbija mi się w żebra, lecz zupełnie zapominam o bólu, kiedy dostrzegam elegancki, dwupiętrowy budynek, przed którym się zatrzymaliśmy. Odpinam pas, otwierając drzwi i omal się nie przewracam podczas wysiadania. Jakimś cudem udaje mi się jednak utrzymać równowagę, więc w szaleńczym tempie pokonuję odległość dzielącą mnie od drzwi wejściowych. Rozsuwają się, zanim nawet zdążę się zatrzymać, cichym sygnałem oznajmiając, że właśnie przez nie przechodzę. W powietrzu unosi się sterylny zapach czystości oraz środków dezynfekujących. Rozglądam się, a rażąca biel otaczająca mnie ze wszystkich stron niemal mnie oślepia. Podchodzę do recepcji, słysząc za swoimi plecami zbliżające się kroki i nawet nie muszę się odwracać, żeby wiedzieć, do kogo należą.

– Cześć – zwracam się po hiszpańsku do młodej recepcjonistki ubranej w elegancki, czarny strój. – Możesz mi powiedzieć, gdzie znajdę salę, w której leży Rhys Mariposa?

Wydaje mi się, że na dźwięk jego nazwiska wzdryga się nieznacznie, lecz trwa to zaledwie ułamek sekundy i niemal natychmiast jej twarz przybiera przyjazny, zawodowy wyraz.

– Naszym priorytetem jest zapewnienie naszym pacjentom najwyższych standardów komfortu. W ich pokojach można przebywać maksymalnie do dwudziestej pierwszej – wypowiada wyuczoną regułkę, uśmiechając się uprzejmie. – Proszę wrócić jutro.

Mam ochotę chwycić ją za te czarne, lśniące włosy i mocno wytargać. Zamiast tego zaciskam dłoń w pięści, po czym cedzę przez zaciśnięte zęby:

– Nie możecie zrobić wyjątku? Rodzina mojego narzeczonego od kilku dni wystawia wam przelew za przelewem za jego opiekę.

Wiem, że kłamię, nazywając Rhysa swoim *narzeczonym*, ale brzmi to zdecydowanie lepiej niż zwykły chłopak. Brunetka otwiera usta, żeby po raz kolejny odesłać mnie, skąd przyszedłam, ale wtedy jej wzrok pada na kogoś za moimi plecami, przez co głos więźnie jej w gardle. Porusza pełnymi ustami jak ryba wyjęta z wody, lecz szybko się opanowuje.

– Pan Mariposa, tak? – upewnia się, długimi paznokciami wystukując kolejne litery na klawiaturze komputera. – Pokój numer siedem. Ostatnie drzwi po prawej na końcu korytarza.

Dziękuję jej krzywym uśmiechem, zastanawiając się, co ją skłoniło do tak szybkiej zmiany decyzji, po czym odwracam się i odnajduję odpowiedź w broni, niepozornie spoczywającej w dużej dłoni Paula. Po raz kolejny przekonuję się, że w tej grze nie liczy się sposób, a skuteczność. Zdecydowanie zbyt długo zajmuje nam dotarcie pod wskazane przez dziewczynę drzwi, a kiedy w końcu się zatrzymujemy, żadne z nas nie chwyta za stalową klamkę.

– Nie dam rady – jęczę, czując, jak wszystko wewnątrz mnie się kurczy, a żółć podchodzi mi do gardła.

To ostatni moment, żeby zmienić zdanie i uciec, podpowiada głos z tyłu głowy. Oddycham głęboko, wiedząc, że nie mogę tego zrobić. W głębi duszy czuję, że Rhys czeka właśnie na mnie. Czuję, że tylko moja obecność może sprawić, że do nas wróci. Kładę drżącą dłoń na klamce, a następnie naciskam ją z mocno bijącym sercem. Drzwi ustępują z cichym kliknięciem, lecz zanim otworzą się do końca, zaciskam powieki. Gdy słyszę, jak Nancy ze świstem wciąga powietrze, odchylam głowę do tyłu, żeby się nie przewrócić. Wciąż mam zamknięte oczy, ale czuję, że Paul omija mnie, wchodząc do sali, a dźwięk jego kroków miesza się z odgłosami, jakie wydaje aparatura utrzymująca Motyla przy życiu.

– Melody – mówi cicho Nancy, kładąc dłoń na dole moich pleców, po czym popycha mnie lekko – pamiętaj, po co tu jesteś.

Pamiętam, odpowiadam w myślach, nie będąc w stanie wydobyć z siebie głosu, ale dopiero kilka sekund później unoszę powieki. Mrugam kilka razy, żeby odzyskać utraconą ostrość widzenia, a półmrok panujący w niedużym pomieszczeniu wcale mi tego nie ułatwia. Kiedy moje oczy przyzwyczajają się do nikłego światła, patrzę już tylko na niego. Przykutego do łóżka, w rzeczywistości wyglądającego o wiele gorzej niż na ekranie komputera. Zmuszam się, żeby podejść bliżej, lecz nie mam odwagi, żeby stanąć tuż przy szpitalnym łóżku, które wydaje się śmiesznie małe dla tak potężnego mężczyzny, jakim był, gdy widziałam go po raz ostatni.

Gdy Paul włącza chłodne światło, wstrzymuję oddech. Rozległe stłuczenia zdążyły zmienić barwę z bordowej na intensywny fiolet, a białe opatrunki miejscami nasiąkłe krwią wydają się niezmiennie, odkąd je założono. *Jestem tu*, powtarzam w myślach. Chcę, żeby mnie słyszał, lecz mimo usilnych starań nie odnajduję głosu w swoim gardle. Dłoń mojej przyjaciółki wciąż napiera na moje łędźwie, więc mechanicznym krokiem podchodzę do Paula i wczepiam palce w jego przedramię.

– Zostawić was samych? – pyta White, nie dając po sobie poznać dyskomfortu wywołanego paznokciami wbijanymi w skórę.

Podnoszę na niego ciemnoniebieskie oczy, po czym odpowiadam krótkim kiwnięciem głowy. I nie wiem kogo bardziej dziwi moja twierdząca odpowiedź, pozostałych, czy mnie samą, ale teraz nie mogę zmienić zdania.

– Nie spiesz się – rzuca Paul przez ramię na odchodnym, przepuszczając Nancy pierwszą, po czym zamyka drzwi.

Siadam na skraju łóżka, mimo że najchętniej wyskoczyłabym przez to duże okno za owiniętą bandażem głową Rhysa.

– Cześć – udaje mi się wychrypieć, ale mój głos jest ledwie słyszalny. Delikatnie oplatom palcami jego dłoń, która w porównaniu do tej strony ciała wygląda, jakby ucierpiała najmniej. – Ale bagno, co? – Odczekuję kilka sekund, a kiedy nie uzyskuję żadnej odpowiedzi, ciągnę dalej: – Jeśli z tego wyjdiesz, kończysz z tym, rozumiesz? Zwijasz rodzinny interes albo przekazujesz pałeczkę komuś innemu. Wyjedziemy. Będę witać cię na tej pieprzonej werandzie, pisząc wiersze każdego dnia, tak jak planowaliśmy. Chciałbyś mieć kiedyś dzieci? Wiem, że nigdy cię o to nie pytałam, bo sama nigdy ich nie chciałam, ale wiem, że byłbyś wspomniał ojcem...

Ignorując fakt, że głos w mojej głowie nieustannie krzyczy, że coś jest nie tak, opieram czoło o chłodną skórę jego dłoni. W żaden sposób nie reaguje na moją obecność, a z jego gardła, w które włożono rurkę intubacyjną, nie wydobywa się nawet najmniejszy dźwięk.

– Rhys?

Prostuję się, mocniej ściskając jego rękę. Ten zapach... Zupełnie inny niż zapamiętałam. Albo zaczynam tracić zmysły, albo nie pamiętam już, jak pachnie mężczyzna, którego kocham. Patrzę na niego i nie czuję nic poza współczuciem. Dlaczego, do cholery, nie odnajduję w sobie tych znajomych uczuć? Tego przyciągania, które towarzyszyło nam, kiedy znajdowaliśmy się blisko siebie. Przyciągania, któremu nie potrafiliśmy się zbyt długo opierać. Cholera, czy to możliwe... Jeszcze raz przyglądam się mężczyźnie pogrążonemu w śpiączce. Uważnie śledzę opuchliznę, która skutecznie rozmywa przystojne rysy twarzy. Niepewnym ruchem zsuwam nieco kołdrę, którą jest przykryty, odsłaniając nagą skórę na brzuchu.

– Ja pierdołę – mamroczę, podrywając się ze szpitalnego łóżka.

Zataczam się do tyłu, tracąc równowagę, ale się nie przewracam. Ponownie zbliżam się do śpiącego bruneta, a mój wzrok wypala dziurę w jego skórze tuż nad opatrunkiem, na której widnieje tatuaż. Cienkie linie tuszu układają się w geometryczną, robiącą wrażenie głowę wilka, której ślepie odpowiadają mi odważnym, wyniosłym spojrzeniem. Już wiem, dlaczego nic nie czuję. Wiem, dlaczego nie potrafię płakać nad tym bezwładnym ciałem. Nie potrafię przywołać żadnych większych emocji, ponieważ mężczyzna, który tutaj umiera, nie jest Rhyssem.

Rozdział 11

Drżą mi dłonie, gdy wyjmuję telefon po to, żeby puścić sygnał mojej przyjaciółce czekającej na korytarzu.

– Wiedziałaś, że to nie on – zarzucam Paulowi na wstępie, kiedy w towarzystwie Nancy wchodzi do sali. Podnosi na mnie jasnyniebieskie oczy, a na jego twarzy maluje się prawdziwe zdziwienie. – To nie jest Rhys – powtarzam, wbijając wzrok w siną twarz. – Jest do złudzenia podobny, ale ma tatuaż. – Wskazuję na niego ruchem brody. White w mgnieniu oka pokonuje odległość między drzwiami a łóżkiem. Mrużąc oczy, wpatruje się w wytatuowanego wilka. – O co w tym wszystkim chodzi? – pytam, zachowując pozorny spokój.

– Nie daj po sobie poznać, że się zorientowałaś – poleca cichym głosem, opierając dłonie o łóżko. – Kamera nie rejestruje dźwięku, ale ktoś, kto jeszcze ma dostęp do obrazu, który transmituje, uważnie śledzi wszystko, co się tutaj dzieje.

Przełykam ślinę, zerkając na Johnson, która wygląda na równie przestraszona, co ja.

– Co mam robić?

– Usiądź i udawaj, że nic się nie zmieniło.

– Ale...

– Po prostu siedź i czekaj! – unosi się nieco, więc szybko wykonuję jego polecenie. – Zabiję go – cedzi przez zaciśnięte zęby, ruszając do wyjścia. – Przysięgam, że zatłukę go gołymi rękoma.

Zostaję sama z Nancy i nieznajomym, który z jakiegoś powodu udaje mojego Motyla. *Kim jesteś?*, zastanawiam się w duchu, patrząc na bezwładną dłoń, która tak bardzo różni się od dobrze mi znanej ręki. Dlaczego od razu nie zwróciłam na to uwagi? Przecież linie papilarne Rhysa na trwale odcisnęły metaforyczny ślad na moim ciele. Znam je na pamięć, a mimo to w ogóle nie dostrzegłam tak znaczących różnic.

Nancy okrąża łóżko, po czym siada po drugiej stronie naprzeciw mnie.

– To są, kurwa, jakieś żarty – mówi, niższąc głos do szeptu. – Zwijajmy się stąd, zanim same będziemy w takim stanie jak on.

– Przynajmniej wiemy, dlaczego Cecilio tak bardzo nie chciał, żebym przyleciała – myślę głośno, pozostawiając bez odpowiedzi słowa przyjaciółki.

Mam w głowie totalną pustkę. Nie wiem, co sądzić o tym, że przez ostatnie dni oplakiwałam zupełnie obcego mi mężczyznę. Morze łez, nieprzespane noce, ten cały pieprzony ból, który czułam za każdym razem, gdy myślałam o Motylu, to wszystko na nic. Katowałam się zupełnie niepotrzebnie. A jeżeli obok mnie leży ktoś, kto tylko udaje Rhysa, to gdzie w takim razie jest ten prawdziwy? Moje myśli mnożą się, płacząc ze sobą, przez co mam wrażenie, że od ich nagłego nadmiaru za moment wybuchnie mi czaszka. Przynajmniej wiem jedno: niepotrzebnie boję się wrogów Mariposy, skoro to on jest dla mnie jedynym prawdziwym zagrożeniem.

Wychodzimy z sali zaraz po tym, jak dostaję wiadomość od Paula, że czeka przed kliniką. Nancy niemal biegnie, zaciskając palce dłoni na moim nadgarstku i ciągnąc mnie za sobą. Skutecznie stawiam jej opór, pamiętając, że nie mogę wzbudzać niczyich podejrzeń swoim dziwnym zachowaniem. Przed wyjściem pocałowałam nieznajomego w czoło, chcąc wypaść bardziej wiarygodnie, gdyby ktoś niepożądany nam się przyglądał. Przez to moim ustom wciąż towarzyszy chłód jego wilgotnej skóry, więc przecieram je wierzchem wolnej dłoni, po czym na dobre opuszczam ten budynek, którego mury przesiąknięte są niewypowiedzianym bólem i kłamstwami.

Już sama nie wiem, czy pocę się z nerwów, czy przez zdecydowanie wyższą temperaturę panującą wokół, ale czuję, że biały T-shirt klei mi się do pleców. Kiedy przyjaciółka puszcza moją rękę, zdejmuję czarną bluzę z kapturem przez głowę i wsiadam do samochodu, za którego kierownicą siedzi White. Zajmuję miejsce pasażera, a Johnson bez słowa siada na tylnej kanapie. Jej wrodzony upór i zaciętość uleciały gdzieś po tym, co odkryłam. Stała się cichym obserwatorem, co niewiele ułatwia, ale też nie utrudnia i nie przedłuża rozmów.

– Gdzie kierowca? – pytam, zapinając pas.

Samochód płynnie rusza z miejsca, wjeżdżając na niemal puste ulice miasta.

– Pozbyłem się go – odpowiada Paul, na co Nancy ze świstem wciąga powietrze. – Spokojnie, nie zabiłem go – zwraca się do niej, patrząc w lusterko wsteczne. – Sądziłem, że masz o mnie lepsze zdanie.

– W co ja się wpakowałam? – mamrocze pod nosem, w ogóle nie odnosząc się do prowadzonej konwersacji.

Zadaję sobie to samo pytanie, odkąd związałam się z Rhysem, myślę w duchu, doskonale ją rozumiejąc. Nie odzywam się jednak ani słowem, wiedząc, że żadne rady w tej chwili jej nie pomogą. Musi oswoić się z nowo zdobytymi informacjami, przejść żałobę po swoim dawnym życiu, ponieważ obecne już nigdy nie będzie takie jak dawniej.

Nie pytam, dokąd jedziemy, dlatego że w tej chwili obchodzi mnie to najmniej. Ufam przyjacielowi Motyla, bo on mu ufał i wiem, że przy nim jestem bezpieczna. Cokolwiek postanowił i dokądkolwiek zmierza, dostarczy mnie do docelowego miejsca w jednym kawałku. Nieustannie zadaję sobie jedno pytanie: *gdzie jest Mariposa?*, a strach o jego życie paraliżuje mnie, wyłączając niemal wszystkie zmysły.

Przestaję słyszeć dźwięk silnika i muzyki wydobywającej się z głośników. Białe linie namalowane na jezdni rozmazują się, a wkrótce po tym zupełnie znikają. Przed moimi oczami pojawia się obraz przystojnej, nieskazitelnej twarzy, tak realny, jakby Rhys stał zaledwie metr ode mnie. I choć wiem, że to tylko wytwór mojej wyobraźni, przez chwilę udaję, że naprawdę przede mną stoi. Wciągam w płuca znajomy zapach, dzięki czemu jakimś cudem opanowuję strach.

Kręcę głową, wracając do realnego świata. Paul zatrzymuje samochód przed bramą o sporych rozmiarach, a następnie wpisuje kod otwierający przez specjalną aplikację w telefonie. Gdy drzwi się rozsuwają, wjeżdżamy na równą, wysypaną kamyczkami drogę. Jest tak ciemno, że widoczność ogranicza się jedynie do dwóch metrów przed nami, i to tylko dzięki włączonym

reflektorom. Niecierpliwie się, kiedy kręta droga wcale się nie kończy, a przez serpentyny, po których jedziemy, czuję, że za moment zwymiotuję. Odsuwam szybę, wpuszczając trochę świeżego powietrza i przeklinając w duchu chorobę lokomocyjną, która jak widać, wcale mnie nie opuściła, choć byłam przekonana, że stało się to dobrych kilkanaście lat temu.

Przedziwna woń dostająca się z zewnątrz zupełnie odwraca moją uwagę od nieproszonych mdłości. Zaciągam się nią głęboko raz za razem, zastanawiając się, dlaczego tak pozytywne wrażenie wywołuje na mnie zapach, który początkowo trudno określić konkretnym słowem. To jakby mieszanka zapachu zielonej herbaty, wilgotnej ziemi oraz czegoś, co przypomina mi najlepsze chwile w moim życiu.

Ożywiam się nagle, prostując się, kiedy jakieś pięćset metrów przed nami wyrasta okazała, nowoczesna budowla oświetlona ze wszystkich stron. Piękna willa, której wybudowanie musiało kosztować miliardy dolarów, przyciąga mnie do siebie, budząc niewątpliwy podziw. Architekt, który ją projektował, musi być mistrzem w swoim fachu. To już nie jest zwykła architektura. To artyzm w czystej postaci.

Wysiadam, zanim Paul zdąży wyłączyć silnik i z otwartymi ustami przyglądam się rezydencji Mariposów przypominającej nowoczesną, niezwykle stylową wersję okazałych dworów sprzed ubiegłych stuleci. Nancy gwizdże z uznaniem, dołączając do mnie i z takim samym podziwem wgapia się w dom, z którego mimo późnej godziny dobiegają dźwięki wielu głosów i muzyki. Zanim którekolwiek z nas zdąży się odezwać, na okazałym tarasie pojawia się dwóch mężczyzn ubranych w eleganckie garnitury. Przyjaciółka przywiera do mnie niemal całym ciałem, klnąc siarczyście pod nosem na widok skierowanych w naszym kierunku luf pistoletów.

– Jak się tu dostałyście? – pyta jeden z nich w ojczystym języku Rhysa, ten wyższy i o wiele szerszy od swojego niepozornie wyglądającego towarzysza.

– Są ze mną – odpowiada za nas Paul, na co goryle zatrzymują się w pół kroku.

– Panie White. – W głosie niższego mężczyzny pobrzmiwa należyty szacunek. – Nie spodziewaliśmy się pana tutaj, w dodatku w tak pięknym towarzystwie. Przepraszamy.

Obaj ochroniarze opuszczają broń, lecz nie chowają jej.

– Sam nie spodziewałem się, że ponownie będę zmuszony tutaj przyjechać. – Paul nawet nie stara się ukryć wyraźnej niechęci do tego miejsca, przez co mimowolnie zastanawiam się, co jest jej przyczyną.

Potrząsam nieznacznie ręką, żeby dać Nancy do zrozumienia, że może przestać wbijać paznokcie w moje ramię, bo na razie nic nam nie grozi. Na szczęście natychmiast rozumie, czego oczekuję i staje o własnych siłach, ale wciąż bardzo blisko mnie. Ja też nie czuję się najlepiej w zaistniałej sytuacji. Właściwie sama do końca nie wiem, co czuję. Trochę, jakbym śniła na jawie, ponieważ wszystko, co mnie otacza, wydaje się niczym innym jak senną fantazją.

– Macie jakieś bagaże?

– Tylko to, co widzisz. – Paul unosi dwie sportowe torby, po czym z niesamowitą lekkością rzuca je Hiszpanowi.

Ten sprawnie chwyta obie jedną ręką i kładzie u swoich stóp, żeby starannie sprawdzić ich zawartość. Po kilku sekundach prostuje się, a po jego twarzy błąka się półuśmiech.

– Zna pan zasady, panie White – odzywa się grubym głosem. – Proszę oddać broń.

White wzdycha, sięga pod szarą marynarkę, po czym posłusznie oddaje jedyny pistolet, jaki mamy ze sobą, tym samym pozbawiając nas szans na ewentualną obronę.

– A one? – Niższy mężczyzna wskazuje ruchem brody, nie zaszczycając nas ani jednym spojrzeniem.

– Gwarantuję, że są czyste.

– Oczywiście – prycha Hiszpan. – Zaprowadzę was do szefa.

Przywołuje nas gestem dłoni, ale my nie ruszamy się z miejsca. Dopiero kiedy Paul zrównuje się z ochroną, wyprzedzając nas, chwytamy się z Nancy za ręce i bez pośpiechu podążamy za mężczyznami. Serce tłucze się w mojej piersi jak szalone w momencie, w którym przekraczamy próg szerokich, rozsuniętych, szklanych drzwi. Jestem tak zdenerwowana, że nie mogę skupić się na niczym poza patrzeniem na swoje stopy i kontrolowaniem rytmicznych kroków. Kiedy się zatrzymujemy, muzyka zupełnie cichnie, a gdy podnoszę wzrok, napotykam nieco zdziwione spojrzenie wuja Rhysa. Siedzi za dębowym biurkiem, które wygląda, jakby było starsze niż on sam, przez co zupełnie nie pasuje do nowoczesnego wystroju gabinetu.

– Co ona tu robi? – zwraca się Cecilio do Paula, jednocześnie odsyłając swoich pracowników gestem dłoni. Spoglądam przez ramię, zauważając, że ochrona wcale nie wychodzi, a jedynie staje przy zamkniętych drzwiach.

Mówiąc *ona*, ma na myśli mnie. Ani trochę nie podoba mi się to, że zupełnie mnie ignoruje. Krzyżuję ręce na piersi, zadzierając brodę tak, żeby wyglądać na pewną siebie i cierpliwie czekam na moment, w którym będę mogła się odezwać.

– Wiem, że zabroniłeś nam tu przyjeżdżać – zaczyna White, dzielnie znosząc przenikliwe spojrzenie Cecilio – ale to jest mój przyjaciel. Nie mogłem dłużej siedzieć z założonymi rękami i czekać.

– Wciąż nie odpowiedziałeś na moje pytanie – zauważa, opierając łokcie o blat biurka i łącząc ze sobą dłonie.

– Byliśmy w szpitalu – wypalam, nie mogąc dłużej się powstrzymać.

Cecilio przenosi na mnie spojrzenie, a z jego twarzy nie da się niczego wyczytać. Zastanawiam się, czy wiedział, że „wilk” ze szpitala nie jest jego siostrzeńcem. Był z Rhysem w trakcie zamachu. Widział, jak do niego strzelają.

Przynajmniej tak twierdził.

– I?

Oddycham głęboko.

– Kiedy miałeś zamiar poinformować nas, że facet, którego wszyscy oplakujemy od kilku dni, tak naprawdę jest nam zupełnie obcy?

Cholera, za szybko! To wszystko przez to, że powoli zaczyna buzować we mnie złość. Mówię coś, a dopiero później myślę. Cecilio podrywa się z fotela na dźwięk moich słów, opiera dłonie o blat, po czym pochyła się w moją stronę, mrużąc oczy.

– Co ty sugerujesz? – syczy, a żyła przechodząca przez jego czoło staje się bardziej widoczna.

– Melody, wystarczy – ostrzega przyjaciel Rhysa.

Lecz w tej chwili jest już za późno na to, żebym zamilkła. Puszczam we mnie jakąś niewidzialną barierę, o której istnieniu sama nie zdawałam sobie sprawy. Otwieram usta, a słowa dosłownie się z nich wylewają:

– Oszukałeś nas, Cecilio. Wmówiłeś nam, że on umiera. Roztrzaskałeś nasz świat na milion kawałków, udając pogrążonego w rozpacz. – Robię krok do przodu, opieram o drugą stronę biurka i zbliżam twarz do jego twarzy. – Przewodzisz tym niebezpiecznym światem, ale nie mną. Nie boję się ciebie. Musisz wiedzieć, że nie wyjdę stąd, dopóki nie dowiem się, gdzie on się podziewa.

Powietrze wokół nas gęstnieje tak bardzo, że można by kroić je nożem. Mierzę starszego mężczyznę wzrokiem, a on ani trochę nie pozostaje mi dłużny. Żadne z nas nie chce odpuścić, a złość kipi dosłownie każdym porem mojej skóry. Jeśli zaraz nie uzyskam odpowiedzi na zadane przeze mnie pytanie, zacisnę palce wokół jego gardła i dosłownie wytrząsnę z niego odpowiedź.

– Wyjdiesz o własnych siłach albo cię wyniosą. – W cichym głosie pobrzmiwa groźba tak realna, że mimowolnie się wzdrygam. – Wybór należy do ciebie.

Jedno spojrzenie w jego oczy wystarczy, żeby dotarło do mnie, że wcale nie próbuje mnie nastraszyć. Po prostu informuje, co może się stać, jeśli go nie posłucham.

– Cecilio, błagam – interweniuje Paul, odciągając mnie od biurka. – Ja się nią zajmę, dobrze?

Kiedy stawiam opór, bierze mnie na ręce i szarpiąc się na wszystkie strony wynosi z gabinetu wuja Rhysa, który przed chwilą dyskretnie oznajmił mi, że nie będzie miał żadnego problemu w pozbyciu się mnie raz na zawsze.

– Puszczaj – warczę, wciąż się szarpiąc, gdy przechodzimy przez długi, ciemny korytarz, a następnie wychodzimy po schodach na piętro. Tutaj także wszystko jest doskonale wytłumione, ponieważ wokół panuje niczym niezmacona cisza.

– Czy ciebie do reszty popieprzyło?! – White unosi głos, odstawiając mnie na podłogę. – Cecilio zabija szybciej, niż oddycha!

Ze złością poprawiam koszulkę, która w całej tej szamotaninie podjechała mi do góry, odsłaniając połowę brzucha.

– Mam to w dupie – odszczekuję jak nastolatka, bo w tej chwili właśnie tak się czuję. Jakby cały świat obrócił się przeciwko mnie i żadna ludzka istota nie była w stanie zrozumieć mojego bólu, którego przyczyna leży głęboko zakorzeniona w najciemniejszych zakamarkach mojej duszy.

– Będiesz miała w dupie, jak Mariposa Senior odstrzeli ci łeb – wtrąca Nancy, stając przede mną. – Posłuchaj mnie przez chwilę. Tutaj dzieje się coś naprawdę dziwnego. Uwierz mi, że tak samo jak ty chcemy dowiedzieć się, o co tu chodzi, ale awanturowaniem się nic nie wskórasz. Nie z takimi ludźmi. Ochłoń, poszukaj w sobie rozsądnej Melody. Dobrze wiem, że gdzieś tam jest.

Mrugam kilka razy, wpatrując się w pociągłą twarz przyjaciółki – mojego głosu rozsądku, który czuwa, pozwala mi być sobą, a jednocześnie doskonale wie, w którym momencie wkroczyć do działania.

– Jestem wściekła – wyznaję, nie mając siły dłużej stać. Osuwam się delikatnie na kolana, czując, jak z mojego ciała uchodzi nieco napięcia. – Wszyscy tutaj grają. Cecilio wydawał się tak wiarygodny w swojej rozpacz i strachu o Rhysa, że od razu mu uwierzyłam. Powiedz mi, Johnson, naprawdę jestem tak naiwna, jak mi się teraz wydaje?

Dołącza do mnie, siadając naprzeciwko.

– Paul też mu uwierzył. Co prawda miał wiele wątpliwości, ale nie brał pod uwagę, że Senior nas okłamał. I nie jesteś naiwna, Mel. Chyba po prostu za mocno wierzysz w dobre intencje ludzi, którymi się otaczasz.

Uśmiecham się smutno z wdzięcznością. Cieszę się, że jest ze mną szczerą.

Tak, Nancy to chyba jedyna osoba w moim życiu, która od początku jest ze mną szczerą. Nie oszukuje, nie kręci, nie ukrywa niczego. Czasami przemilczy coś, co powinna powiedzieć, ale robi to tylko dla mojego dobra lub dlatego, że uważa coś za mało istotne, żeby w ogóle o tym wspominać. Rozglądam się po jasnej antresoli, bo nagle zrobiło się jakoś dziwnie pusto.

– Gdzie twój kochaś? – pytam, marszcząc brwi.

White zniknął, choć nie mam pewności w którym momencie.

– Nie nazywaj go tak – prosi przyjaciółka, wzdychając. – Naprawdę nie zamierzamy się ze sobą wiązać. Ledwie się znamy, żadne z nas nie ma czasu na miłość. Niedługo skończę praktyki, zdam ostatni egzamin i rzucę się w wir szpitalnej pracy. Poza tym nie mogę być tu z wami w nieskończoność. W końcu będę musiała wrócić do swojego życia, a stanie się to prędzej niż później.

Zasepiam się, ponieważ wcale nie chcę, żeby wyjeżdżała. Jej powrót do domu jest dla mnie czymś odległym, na tę chwilę nierealnym, więc skupiam się na tym, że na razie wciąż tu jest i wspiera mnie w tym szalonym dla mnie czasie.

– Jak myślisz, co się z nim stało? – pytam cicho, skubiąc skórki przy paznokciu kciuka.

– Z twoim gangsterem? – upewnia się. Odpowiadam kiwnięciem głowy. – Nie wiem, mała. Moja intuicja po raz pierwszy od dawna nie podpowiada mi zupełnie niczego. Jedyna nadzieja w Paulu. Zna tych ludzi najlepiej, ale wydaje mi się, że nie darzy ich ani tego miejsca szczególną sympatią. Może uda mu się nakłonić Cecilio do wyznania prawdy.

– Wątpię. – Krzywię się, widząc wypływającą kroplę krwi na palcu. – Cecilio wcale nie wygląda na skorego do zwierzeń.

– Nie zaszkodzi spróbować – zauważa, zakładając za ucho jasny kosmyk, który wymknął się z jej kucyka. – I tak utknęłyśmy tu nie wiadomo na jak długo, więc spożytkujmy ten czas w sposób dla nas najkorzystniejszy.

Otwieram usta, żeby odpowiedzieć, lecz zamykam je na widok Paula wchodzącego po schodach. Nie jest sam. Towarzyszy mu jeden z ochroniarzy, którzy przywitali nas na samym początku. Obie wstajemy z podłogi, kiedy zatrzymują się przy nas.

– Co się stało? – pytam, zauważając na policzku White'a intensywnie czerwony ślad.

Ewidentnie ktoś musiał go uderzyć.

– Santos odprowadzi nas do miejsca, w którym mamy zaczekać, aż Cecilio nas wezwie.

– Żartujesz, prawda? – Nie dowierza Nancy. – Nie żartujesz – odpowiada sama sobie, widząc jego spojrzenie.

Santos, bo tak nazwał go Paul, odwraca się na pięcie, po czym szybkim krokiem schodzi po schodach, a my tuż za nim. Pokonujemy tę samą trasę, którą niósł mnie Paul. Następnie ochroniarz otwiera ogromne, podwójne, ukryte drzwi i do naszych uszu dobiega głośne dudnienie muzyki. Kiedy wchodzimy do pomieszczenia otwartego na niemal całe prawe skrzydło domu, jakiś inny pracownik podbiega do nas. Zatrzymuje naszego przewodnika, żeby o czymś mu powiedzieć, dzięki czemu mam szansę na dyskretną obserwację. Wszędzie wokół przewijają się ludzie. Mam wrażenie, jakbym nagle znalazła się w klubie, a nie w salonie prywatnego domu. Zdecydowana większość towarzystwa to elegancko ubrani mężczyźni w różnym wieku. Nikt z obecnych nie tańczy. Rozmawiają ze sobą, zachowując poważne wyrazy twarzy, a w ich dłoniach spoczywają szklanki z bursztynowym płynem.

– Myślisz, że mają tu lochy? – szepcze Nancy, nachylając się w moją stronę. – No wiesz, dla takich niepożądanych gości jak my.

Uśmiecham się nerwowo, mimo że jej żart wcale mnie nie rozbawił. Ponownie ruszamy z miejsca, lecz kilka kroków później staję jak wryta, przestając oddychać. Albo zwariowałam, albo na ogromnej czarnej kanapie kształtem przypominającą literę C siedzi Motyl w towarzystwie dwóch kobiet, a każda z nich znajduje się zdecydowanie zbyt blisko niego. Nie widzi mnie, pogrążony w rozmowie, piękny i zupełnie zdrowy. Mrugam kilka razy, pozwalając, żeby obraz, który widzą moje oczy, dotarł do mózgu. Jeden bodziec wysłany przez mój układ nerwowy wystarcza, by czas ponownie zaczął biec swoim normalnym rytmem.

– Ty skurwysynie – mówię cicho pozbawionym emocji głosem, a mimo to dźwięki wokół milkną i wszyscy skupiają uwagę na mnie.

Rhys także.

Ktoś chwyta mnie za przedramię i mocno ciągnie, lecz moje stopy jakby wtopiły się w lśniąca, jasną podłogę, a oczy przewiercają opaloną twarz Mariposy, szukając odpowiedzi na miliony pytań, z których najważniejsze brzmi: *dłaczego?* Motyl wstaje powoli, odganiając się od rozochoconych dłoni ładnych brunetek, omija stolik o złotych nogach, na którego blacie rozłożono tace z białym proszkiem uformowanym w krótkie linie i podchodzi do nas, zatrzymując się niebezpiecznie blisko mnie. Cofam się o kilka kroków, gdy chce dotknąć mojej twarzy, a jedyne, na co mam ochotę, to rozszarpać go na strzępy. Sprawić, żeby cierpiał tak jak ja, kiedy myślałam, że go straciłam.

– Nienawidzę cię – cedzę przez zaciśnięte zęby, bo w tej chwili czuję wyłącznie przepełniającą mnie nienawiść, która wycieka dosłownie każdym porem mojej skóry.

Mruży oczy na dźwięk moich słów, lekko przekrzywiając głowę w swoją prawą stronę. Nic nie mówi, po prostu mierzy mnie wzrokiem, w którym nie widać grama poczucia winy.

– Spadajmy stąd! – Gdzieś z oddali dociera do mnie głos przyjaciółki. – Prince, on nie jest tego wart, słyszysz?!

Z trudem odrywam wzrok od karmelowych tęczęwek, po czym patrzę na wszystkie obce mi twarze wpatrzone we mnie, jakbym była jakimś ciekawym okazem w zoo. Nancy ma rację. On

nie jest tego wart. *Jeszcze tylko jedno*, zachęca głos z tyłu głowy. Tym razem ochoczo go słucham. Podchodzę do Motyla i patrząc mu prosto w oczy, wymierzam siarczasty policzek, po czym odwracam się na pięcie z zamiarem zostawienia tego całego gówna za sobą, lecz wtedy słyszę głucho łupnięcie z tyłu głowy, a ułamek sekundy później spowija mnie ciemność.

Rozdział 12

Jest mi gorąco, a wszechobecny zapach zielonej herbaty i wilgotnej ziemi przyprawia mnie o mdłości. Moja słabość do niego skończyła się szybciej, niż zaczęła. Doprawdy nie wiem, co takiego początkowo mnie w nim urzekło. Leżę bokiem na czymś miękkim, nakryta po samą brodę ze skrzyżowanymi rękami na klatce piersiowej i mocno ściskam dłońmi własne ramiona. Zupełnie, jakbym mówiła *kocham cię* w języku migowym. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz spałam w ten sposób, ale zawsze, gdy tak robię, jest mi źle.

Stało się coś złego, wiem o tym. Jednak w porę otoczyłam się szczelną, ochronną bańką, blokując wspomnienia, które nieustannie drapią ostrymi szponami jej ściany. Tak długo, jak moje powieki pozostają zamknięte, jestem bezpieczna, dlatego zaciskam je z całych sił, trwając w swoim wymyślnym świecie.

Zastanawiam się, dlaczego miłość potrafi tak bardzo zmienić człowieka. To skomplikowane, niezwykle złożone uczucie tak bardzo różni się na wszystkich płaszczyznach życia. Od pierwszych chwil istnienia pragniemy jej, Ignąc do drugiego człowieka, przekonani, że w jego objęciach zastaniemy ukojenie i bezpieczne schronienie. To, jak kochamy w dorosłym życiu, w dużej mierze zależy od tego, w jakim stopniu obdarzyli nas miłością rodzice, ponieważ to w ich rękach spoczywa obowiązek pokazania nam, czym ona jest. A przecież kocha każdy z nas. Nie ma ludzi bez serca.

Z miłości z pasją oddajemy drugiej osobie to, co mamy najcenniejsze – swoje ciało. Śmiejemy się i płaczemy. Skaczemy z radości i zagryzamy wargi do krwi z bólu, jaki ze sobą przyniosła. Miłość uskrzydla, lecz w rękach nieodpowiednich osób podcina nasze skrzydła, przez co niekiedy już nigdy nie uczymy się na nowo latać. Jest długą, nudną nauką o nas samych, naszych słabościach i nieudolnościach, jakie każdy nosi w sobie.

Odsłania nasze największe słabe punkty, a my pozwalamy na to, przyglądając się wszystkiemu z boku. Rozpaczliwie pragniemy jej w swoim życiu, zapraszając ją ochoczo. Przymykamy oko na minusy, jakie niesie ze sobą jej obecność. W spokoju patrzymy, jak warstwa po warstwie rozbiera nas ze wstydu, bolących wspomnień, braku wiary w siebie i wydaje się nam, że jednym uśmiechem czy spojrzeniem ukochanej osoby tworzy nas na nowo.

Spotkałam miłość tak silną, że jej płomień parzył mnie boleśnie, lecz przyciągał i wabił swoim pięknem oraz hipnotyzującym karmelowym spojrzeniem. Niejednokrotnie włożyłam rękę w sam jego środek, udając, że nie czuję bólu, który mi sprawia. Obiecałam sobie, że nie spłonę i dzielnie trwałam w tym postanowieniu przez ostatnie kilka miesięcy.

Miłość Motyla nie podcięła mi skrzydeł, wręcz przeciwnie. Chwilami czułam, że niesiona jej mocą dryfuję wysoko w chmurach, a jego ciepłe i silne dłonie sprawiały, że bez protestów wracałam na ziemię. Dzisiaj śniło mi się, że jestem bardzo wysoko, lecz kiedy spojrzałam w dół, nie czekały na mnie niczyje ramiona. Przerazona rozglądałam się, spadając niżej i na powrót podrywając się w ich poszukiwaniu, lecz nigdzie nie mogłam ich wypatrzeć. Byłam sama, a

moje skrzydła z sekundy na sekundę słabły coraz bardziej. W końcu całkiem zniknęły i zaczęłam spadać.

Moje kruche ciało roztrzaskałoby się o ziemię, ale budzę się tuż przed uderzeniem z okruciami jego imienia na ustach. Nie daję znać, że już nie śpię, choć wiem, że on wciąż jest przy mnie. Czuję jego obecność, zapach jego ciała, przesywający wzrok na swoim ciecie.

W myślach błagam Boga, żeby mnie zabrał. Marzę o tym, by rozpuścić się w powietrzu, zwyczajnie przestać istnieć. Wiem jednak, że to niemożliwe. Otwieram oczy, pozwalając rzeczywistości uderzyć we mnie z siłą rozpędzonej ciężarówki.

– Dzień dobry, Melody.

Wiedziona nieznanym impulsem siadam, podciągając kolana pod siebie. Cieszy mnie, że wciąż mam na sobie swoje ubranie, oczywiście poza sportowymi butami, które zauważam przy białych, zamkniętych drzwiach. Łóżko, na którym siedzę, jest normalnych rozmiarów, a muślinowa pościel w ciemnoszarym kolorze nieziemsko przyjemna w dotyku. Gładzę dłonią jej nierówną strukturę, zastanawiając się, co robią na ścianach namalowane przeze mnie w ostatnich miesiącach obrazy. Wiszą naprzeciw mnie w różnych odległościach od siebie, a patrząc na nie, czuję wszystkie emocje, które przelałam na płótno za pomocą pędzla. Nie są pozytywne, ale dzięki temu wydają się prawdziwsze.

– Ten z płonącymi skrzydłami lubię najbardziej – słyszę. – Idealne zobrazowanie tego, co ze mną robisz.

Odnajduję karmelowe oczy i wpatruję się w nie, próbując odnaleźć w nich coś, co jeszcze przez chwilę pozwoli mi go nie nienawidzić.

– Moja głowa – szepczę ledwie słyszalnie, kładąc rękę na potylicy tuż nad karkiem.

Ten ból towarzyszył mi przez cały czas, czy dopiero teraz się pojawił?

W oczach Rhysa pojawia się smutek.

– Santos nie przywykł do tego, że kobieta rzuca się na mnie z pięściami. Trochę go poniosło. Przepraszam.

Pieprzony Mariposa i jego wierni goryle!

– Nie rzuciłam się na ciebie – zauważam obojętnie, masując delikatnie mocno stłuczone miejsce. – Właściwie żałuję, że tego nie zrobiłam. Powinieneś zapłacić za wszystko, co mi, nam – poprawiam się, przypominając sobie, że Paul także został oszukany – zrobiłeś.

Opuszczam stopy na podłogę wyłożoną miękką wykładziną w kolorze écru, po czym wstaję z łóżka. Ubieram bluzę leżącą przy obitym granatowym welwetem zagłówku. Muszę odszukać Nancy i Paula. Jestem pewna, że żadne z nich nie ma ochoty tu dłużej przebywać, tak samo jak ja.

– Dokąd idziesz? – pyta Motyl, podnosząc się z fotela w momencie, w którym wsuwam stopy w buty.

Prostuję się, stając do niego przodem i z opuszczonymi wzdłuż ciała rękami. Wyglądam na zrezygnowaną i złamaną. Pozbawioną chęci do wszystkiego, łącznie z życiem, ale nie jest mi z tego powodu specjalnie smutno. Nie odnajduję również żadnych łez, dzięki którym mogłabym wypłakać to, co mnie boli.

– Odchodzę. – Jedno słowo kończące wszystko, co z wysiłkiem budowaliśmy przez ostatnie miesiące. – Mam dość. Związek z tobą przypomina jazdę rollercoasterem. Potrafisz wznieść mnie na wyżyny szczęścia; pozwalasz poczuć mi prawdziwą nirwanę, tylko po to, by później zniszczyć mnie kłamstwami. Manipulujesz mną od samego początku, ale nie winię cię za to. Ochoczo oddałam się w twoje ręce, stając się plasteliną, żebyś mógł tworzyć mnie taką, jaką sobie wymarzyłeś. Byłam szczęśliwa, wiedząc, że w ten sposób daję ci siebie w stu procentach. Ale nie zniosę tego dłużej. Tym, co zrobiłeś, przekroczyłeś jedną z granic, które były nie do ruszenia. Pozwoliłeś, żebym cierpiała, myśląc, że cię tracę. Opłakiwałam twój stan, marząc, żeby umrzeć i przestać czuć ten rozrywający duszę ból. To koniec, Rhys. – Głos mi się łamie w chwili, w której wypowiadam ostatnie zdanie.

Ani na moment nie odrywam wzroku od pociemniałych tęczówek Motyla, których mrok przywołuje mnie, chcąc mnie pochłonąć. Nie ruszamy się z miejsca, a między nami powoli, cegielka po cegielce, tworzy się mur i nie robimy nic, by to powstrzymać. Jeśli w porę nie zareagujemy, będzie nie do przeskoczenia.

– Myślisz, że pozwolę ci odejść? – W jego głosie pobrzmiewa wyraźnie słyszalna nuta grozy. – Jesteś dla mnie zbyt cenna. Zrobię wszystko, żeby cię przy sobie zatrzymać.

Jego bezpośredniość świadczy o determinacji, ale w tej chwili nie robi ona na mnie żadnego wrażenia.

– Potrzebowałam cię. Tak bardzo byłeś mi potrzebny, kiedy dowiedziałam się o tym, co ukrywają Amelie i Hudson. Mój świat się zawalił, a ty w tym czasie wciągałeś kokainę w towarzystwie tych wszystkich lasek, doskonale się bawiąc. Zdradziłeś mnie, prawda?

Nic nie poradzę na to, że pozwoliłam zazdrości wedrzeć się głęboko w moją głowę i rozgościć na dłużej. Przypominam sobie te maślane oczy wlepione w mojego ukochanego jak w chodzący kawał niezwykle apetycznego mięsa i krew w moich żyłach zaczyna buzować ze złości. Rhys zbliża się kilka kroków, ale wciąż dzieli nas spora odległość.

– Nigdy bym tego nie zrobił – mówi, zaciskając dłonie w pięści. – Byłaś, jesteś i będziesz najważniejszą kobietą w moim życiu. Dobrze o tym wiesz.

Próbuję się zaśmiać, ale udaje mi się tylko wykrzywić nieznacznie twarz w karykaturalnym uśmiechu. Nie wierzę mu. Nie wierzę w ani jedno jego słowo. Wyglądał, jakby świetnie się bawił, czule gładząc udo jednej z nich. Niedobrze mi na samo wyobrażenie, że teraz miałyby dotykać mnie.

– Gdyby tak było, nie pozwoliłbyś, żebym uwierzyła, że tym zmalretowanym mężczyzną jesteś ty. Nie wiem, kim on jest i jaki miał w tym cel, ale dał się dla ciebie skatować. Pewnie odda za ciebie życie, bo nigdy z tego nie wyjdzie. – Nabieram powietrza, po czym ciągnę dalej: – Mam nadzieję, że wyrzuty sumienia będą ci towarzyszyć do końca życia, choć nie wiem, czy takowe posiadasz. Jesteś wyprany z jakichkolwiek ludzkich uczuć, dlatego nie wierzę, że mnie kochasz. Jesteś potworem bez serca, Rhys.

Na dźwięk moich słów doskakuje do mnie, zaciskając dłonie na moich przedramionach. Moja głowa jest tak blisko jego klatki piersiowej, że bez trudu słyszę mocne, szybkie bicie serca. A może to moje serce wali tak głośno, że jestem w stanie słyszeć tylko jego dźwięk? Nie wiem. Z

roztargnieniem patrzę w oczy, w których ułamek sekundy wcześniej widziałam czyste szaleństwo, po którym w tej chwili nie ma ani śladu.

– Jesteś takim samym potworem jak ja – cedzi przez zaciśnięte zęby, wwiercając się wzrokiem w moją duszę. – A teraz się zamknij i posłuchaj mnie przez chwilę. Musiałem sprawić, żebyś uwierzyła, że umieram. Wiem, że to okrutne, ale to jedyny sposób, żeby cię chronić. Przypadkiem dowiedziałem się, że śledzą każdy mój ruch. Udało im się nawet zainstalować podsłuchy w moim mieszkaniu. Podjąłem decyzję o przyjeździe tutaj, żeby odciągnąć ich jak najdalej od ciebie. Założyłem, że wykorzystają pierwszą okazję do pozbycia się mnie. Jak widać, nie myliłem się.

Odtwarzam w głowie jego słowa, niczego z nich nie rozumiejąc.

– Przecież jesteś tu, cały i zdrowy – zauważam z wyrzutem.

– Na lotnisku Cecilio wsiadł do samochodu z kimś bardzo podobnym do mnie, a nasze przypuszczenia szybko pokryły się z rzeczywistością.

Wyszarpuję się z jego uścisku, po czym cofam o kilka kroków, aż moje plecy napotykną opór chłodnej ściany.

– I tak po prostu siedziałeś gdzieś indziej, w spokoju przyglądając się temu, jak ktoś za ciebie ginie? – Nie dowierzam. – Jesteś bardziej popieprzony, niż myślałam.

Kręci ze zrezygnowaniem głową.

– Nie masz pojęcia, jak funkcjonuje świat, w którym żyję. Jeśli pozwoliłbym się zabić, wszystko, na co pracował mój dziadek, moi rodzice, przepadłoby rozszarpane przez hieny, które tylko czekają na moją śmierć. Moja matka strzeliła sobie w usta, bym mógł stać się tym, kim jestem i pilnować całego dobytku. Nieraz musiałem siedzieć i patrzeć, jak ludzie giną za mnie i nie mogłem zrobić nic, żeby to powstrzymać. Owszem, jestem popieprzony, ale kocham cię do szaleństwa, a wszystko, co robię, ma na celu zapewnienie ci bezpieczeństwa bez względu na konsekwencje, jakie te działania ze sobą niosą.

Tak długo ludziłam się, że do siebie pasujemy. Myślałam, że miłość przezwycięży wszystkie przeciwności, które los stawia na naszej drodze, lecz teraz całą sobą czuję, że muszę to zrobić, muszę odejść. W tym dziwnym świecie nie ma miejsca dla ludzi takich jak ja. Żadna miłość, choćby nie wiem jak silna, nie pomoże tego przeskoczyć.

– Kocham cię – odpowiadam, jak to zwykle miałam w zwyczaju, zaciskając mocno powieki.

Kiedy ponownie je unoszę, Rhys czyta z moich oczu, jak z otwartej księgi. Wie, co postanowiłam. Chcę prosić go, żeby nie przedłużał i po prostu pozwolił mi odejść, ale głos więźnie mi w gardle. Motyl od razu wykorzystuje chwilę mojego zawahania, przyciąga mnie do siebie, po czym wpija się w moje usta. Spinam się lekko zaskoczona, lecz po chwili zaczynam odwzajemniać pocałunek, oplatając język wokół jego gorącego i nieustannie napierającego języka. Wiem, że to jego sposób na pokazanie, że wciąż jestem jego własnością. Zawsze używał ciała, żeby pokazać mi, jak bardzo należę do niego. Lubiłam to i niejednokrotnie prowokowałam go, żeby mi o tym przypominał.

Uczucie, które towarzyszy temu namiętnemu pocałunkowi, staje się jeszcze bardziej intensywne, gdy wkładam w niego całą siebie, jeszcze mocniej przywierając do Rhysa.

Obejmuję dłońmi jego gładką twarz, wczepiam palce w przydługie włosy, ocieram się ciałem o jego ciało. Nasze zęby raz po raz uderzają o siebie, a ja uwalniam wszystkie złe emocje; cały ból i rozczarowanie, ale także miłość, którą obdarzyłam go tak szybko. Za szybko.

Oddaję mu ją, wcale nie chcąc tego robić, ale wiem, że muszę. Zbyt dużo wydarzyło się między nami. Zbyt dużo kłamstw wypowiedziały jego usta i zbyt wiele tajemnic przemilczały. Z trudem odrywam się od niego, dysząc ciężko. Jeszcze przez chwilę patrzymy na siebie, uspokajając oddechy. Błądzą wzrokiem po jego twarzy, starając się zapamiętać każdy szczegół, choć wiem, że nigdy jej nie zapomnę, ponieważ wryła się głęboko w moją duszę i pozostanie ze mną tak długo, jak długo będę oddychać. Będzie pojawiać się przed moimi oczami, kiedy będę zasypiać i będzie ze mną po tym, jak się obudzę.

– Nie zmienisz zdania. – Jego głos jest tak cichy, że muszę mocno się wysilić, żeby odróżnić słowa, które wypowiada.

Kręcę głową, patrząc w karmelowe oczy, w których maluje się prawdziwy ból. Odwracam wzrok, nie mogąc znieść tego, że ranię niewątpliwie najważniejszą osobę w moim życiu. Chciałabym podziękować mu za wszystkie piękne chwile, którymi wypełnił moje życie, ale nie odnajduję w sobie żadnych mądrych słów. Właściwie wcale nie dociera do mnie to, co zamierzam zrobić. Odwracam się, zanim się rozmyślę. Naciskam klamkę i wychodzę, czując palące spojrzenie wbite w moje plecy.

Przemierzam korytarze patrząc w podłogę i powłócząc nogami. W jej lśniącej powierzchni odbija się moja pozbawiona wyrazu twarz. Czuję się, jakbym dostała obuchem w czaszkę. *Dostałaś rączką pistoletu*, przypomina złośliwie głos z tyłu głowy, lecz ignoruję go. W uszach słyszę jedynie szum krwi i mocne bicie własnego serca.

Dokąd teraz mam iść? Rozglądam się wokół, lecz wszystko w tej ogromnej rezydencji wygląda tak samo. Zgubiłam się i nie wiem, gdzie mam szukać moich przyjaciół. Tak, Paul stał się moim przyjacielem w zaledwie kilka dni. Ale czy czas jest wyznacznikiem czegokolwiek? Możemy znać kogoś całe życie i nie stworzyć z nim żadnej mocniejszej więzi, a czasem dopuszczamy kogoś do siebie tylko na moment, by chwilę później nie wyobrażać sobie bez niego życia.

Dlaczego wszędzie jest tak pusto? Nie zatrzymuję się nawet na moment, wciąż przechodząc do kolejnych pomieszczeń, a jeszcze nikogo nie spotkałam. Gdzie Cecilio? Gdzie Santos i jego wierny towarzysz? Gdzie te piękne kobiety i znudzeni, poważni mężczyźni? Nigdzie nie ma żywej duszy. Czyżby Rhys wszystkich wyrzucił? Kręcę głową, zatrzymując się. *Nie myśl o nim*, nakazuję sobie w myślach. *Nie teraz. Nie kiedy wciąż tak dzielnie się trzymasz.*

Odwracam się gwałtownie na dźwięk czyichś kroków. Chyba mam więcej szczęścia, niż przypuszczałam, ponieważ to Paul zmierza w moim kierunku. Zaciska usta w wąską kreskę, gdy spojrzeniem próbuję opowiedzieć mu, co się stało.

– Chodź tutaj – mówi, otwierając ramiona.

Bez namysłu zbliżam się do niego, chowając twarz w jego bluzie. Oddycham głęboko, walcząc z palącymi łzami gromadzącymi się pod powiekami.

– Paul, zabierz mnie stąd, błagam.

Pozwalam mu wziąć się na ręce i wynieść z domu, w którym bezpowrotnie umiera cząstka mojej duszy. Wciąż nie dociera do mnie, że odtąd będę musiała żyć bez Motyla.

Tuż po tym, jak Paul mnie odnalazł, we troje pojechaliśmy prosto na lotnisko, mimo że samolot mamy dopiero za kilka godzin. Półśłówkami odpowiadam na zadawane mi przez przyjaciół pytania, lecz sama się nie odzywam. W mojej głowie pojawiła się pustka, dzięki czemu nie czuję żadnych większych uczuć. Z radością witam obojętność wypełniającą mnie od palców stóp po mieszki włosowe na czubku głowy. Już od czterdziestu minut siedzimy w niewielkiej restauracji na terenie lotniska, ale nikt z nas nie ma apetytu. Wpatrując się w talerze, raz na jakiś czas przeżywamy coś apatycznie i z niecierpliwością wyczekujemy na upragniony powrót do domu.

– Tylko że ja nie mam dokąd wrócić – mamrocę niewyraźnie sama do siebie.

– Co? – pyta Nancy, obracając w palcach ekologiczny widelec.

Opieram łokcie o blat okrągłego, niedużego stołu, po czym chowam twarz w dłoniach.

– Nic – odburkuję niemilo. – Po prostu właśnie dotarło do mnie, że równie dobrze mogę tu zostać.

– Co ty pleciesz, Prince? – irytuje się przyjaciółka.

Wszyscy jesteśmy dość nerwowi przez zaistniałą sytuację. Poprosiłam White'a, żeby zabrał mnie jak najdalej od Rhysa i teraz myślę, że zachowałam się bardzo egoistycznie. Postawiłam go pod ścianą, nieświadomie każąc wybierać między mną a jego najlepszym przyjacielem. Wiem, ile dla siebie nawzajem znaczą, jak cenna jest dla nich ich wieloletnia relacja, a mimo to w tamtej chwili skupiałam się tylko na tym, żeby za wszelką cenę stamtąd uciec.

Prostuję się, wykrzywając twarz w niewyraźnym grymasie.

– Mówię, że nie mogę wrócić do mieszkania Rhysa, a Amelie i Hudson... Nieważne. – Lekceważąco macham ręką. – Coś wymyślę.

Na szczęście babcia przed swoją śmiercią zabezpieczyła moją przyszłość, zostawiając mi naprawdę pokaźną sumę pieniędzy, dzięki którym teraz bez trudu sobie poradzę. Od kilku lat zastanawiałam się, po co Helen przekazała mi tyle kasy w tajemnicy przed swoim mężem i córką. Całkiem niedawno domyśliłam się, co nią kierowało, choć wydaje mi się, że od tamtego felernego dnia, w którym poznałam tajemnicę moich najbliższych, minęły wieki. Nie mogła przewidzieć, że zginie z rąk dwóch najważniejszych w jej życiu osób, ale na pewno czuła, jak złymi są ludźmi. Wiedziała, że jeżeli coś jej się stanie, a ja otworzę oczy na skrywane sekrety, zostaną na lodzie i zatroszczyła się o mnie.

– Nie wygłupiaj się. Żadne z nas nie pozwoli ci na bycie bezdomną. Wrócisz do mnie, znajdziemy ci pracę i jakoś będziemy żyć dalej. Będziemy upijać się do nieprzytomności i zajadać czekoladowymi lodami, mając w dupie tych podłych sukinsynów, którzy niszczą nam życie. Przepraszam – dodaje Nancy, napotykając spojrzenie lekarza. – Ty nie jesteś sukinsynem.

Patrząc sobie w oczy, wymieniają między sobą przelotne uśmiechy, więc taktownie odwracam wzrok, czując się, jakbym wkraczała w prywatną, intymną przestrzeń należącą tylko do nich.

– Obiecałem, że dopilnuję, żeby Melody nie spadł włos z tej ślicznej głowy i obawiam się, że przez to nie będę mógł zgodzić się na waszą degreoladę.

Prycham. Oczywiście, że obiecał. Dlaczego Rhys wciąż się mną interesuje? Miał mnie w dupie, kiedy siedział zamknięty w tej pięknej rezydencji na wzgórzu, otoczony morzem alkoholu, kilogramami kokainy oraz kobietami gotowymi zrobić wszystko na każde skinienie jego palca. Czy myślał o mnie, kiedy jedna po drugiej ocierały się o niego swoimi chętnymi ciałami? Czy choć przez chwilę przeszło mu przez myśl, że powinien jak najszybciej zakończyć to mało śmieszne przedstawienie i zadzwonić do mnie? Nawet nie przeprosił za swoje zachowanie. Jest zbyt dumny. To słowo nie przeszłoby mu przez gardło.

– Może jednak się zgodzisz? – szepcze konspiracyjnie Nancy, trzepocząc rzęsami. – Potrafię być bardzo przekonująca.

Zaciskam powieki w chwili, w której Paul łapie pod stołem jej nogę sunącą w wiadomym kierunku.

– Nie – odpowiada krótko i stanowczo. – Wziąłem odpowiedzialność za wasze życie. Odpowiedzialność – podkreśla. – Jako przyszły lekarz powinnaś znać definicję tego słowa.

– Palant – prycha Nancy.

Ponownie unoszę powieki, kopiąc ją w kostkę. Krzywi się, posyłając mi pytające spojrzenie. *Ciągniesz nie za tę strunę, co powinnaś!*, krzyczą moje oczy, lecz nie odzywam się ani słowem. Paul w żaden sposób nie pokazuje, że obelga wypowiedziana w jego kierunku z ust mojej przyjaciółki zrobiła na nim najmniejsze wrażenie. Po prostu wraca do jedzenia swoich nachosów. Kolejny raz podziwiam go za cierpliwość, której pokłady zdają mu się nie kończyć. Głos z tyłu głowy podpowiada mi, że uczył się jej bardzo długo, a nauka ta naznaczona była wieloma ranami, po których zostały jedynie złe wspomnienia i blizny. Naprawdę wiele blizn.

Odprawa trwa krócej niż zazwyczaj albo tylko tak mi się wydaje, ponieważ od kilku godzin pogrążona jestem we własnych myślach i wspomnieniach, które nie mają nic wspólnego z Motylem. Dotyczą mnie. Wszystkiego, co ze mną związane sprzed kilku, może nawet kilkunastu lat. Ciekawi mnie, w którym momencie swojego życia straciłam nad nim kontrolę, stając się marionetką, którą każdy z łatwością mógł sterować. Czy byłam nią również przez cały okres studiów? Nie. Ale tylko dlatego, że nie otaczałam się ludźmi, którzy chcieli, żebym nią była.

W chwili, w której opieram głowę o niewygodny zagłówek fotela, przeszywa mnie tępy ból, przypominając o urazie, który miał być nauczką za podniesienie ręki na Rhysa. Chyba jeszcze nigdy nikogo nie uderzyłam. To był mój pierwszy raz i zapewne zapamiętam go do końca życia. Nigdy też nie zapomnę beznamietnego, pustego spojrzenia, którym Motyl patrzył na mnie tuż po tym. To wpływ narkotyków, które zażywał, czy swoim zachowaniem uwolniłam w nim kolejne nieznanne mi oblicze? Nie wiem. Totalnie nic nie wiem i już nie chcę wiedzieć.

To chyba ten moment w moim życiu, w którym czuję ulgę, odpuszczając nieustanną walkę o miłość, w której z góry byłam na przegranej pozycji. Wciąż jestem oszołomiona, nie do końca

dociera do mnie, że od teraz będę musiała iść sama przez życie, ale obojętność, której teraz jest we mnie w nadmiarze, koi moje pogruchotane serce. Wiem, że ból przyjdzie później, bo nie można przestać kochać z dnia na dzień. To powolny i żmudny proces naznaczony morzem łez. Przejście żałoby po osobie, która wciąż żyje i gdzieś tam chodzi po tej samej planecie, ale nie potrzebuje już ciebie, jest trudne. Przeżyłam to już raz po rozstaniu z moim pierwszym chłopakiem, Carterem.

Tylko czy relację, którą z nim stworzyłam, można porównać do więzi, która połączyła mnie z Mariposą? Kochałam Cartera, a przynajmniej tak mi się wtedy wydawało. Teraz kiedy o tym myślę, wydaje mi się to śmieszne, ponieważ siła tego uczucia nijak ma się do miażdżącej, obsesyjnej miłości, jaką obdarzyłam Rhysa.

W końcu pozwalam powiekom opaść, ale nie zasypiam. Jakimś cudem nie jestem zmęczona. Po prostu siedzę nieruchomo pogrążona w ciemności i mroku własnej duszy, który na moment wyrwał się z zamknięcia. Cierpliwie czekam na powrót do miasta, w którym po raz kolejny próbuję odnaleźć swoje własne miejsce na ziemi.

Łądujemy o równej piątej rano czasu lokalnego. Tym razem także mamy szczęście i udaje nam się sprawnie opuścić samolot. Po tym, jak wychodzimy przed lotnisko, Paul odchodzi kilka kroków, telefonując do kogoś. Drapiąc czubkiem białego adidasa po betonowej nawierzchni, nawet nie próbuję wsłuchiwać się w strzępy rozmowy, jakie dobiegają do moich uszu. Wrodzona ciekawość Nancy chyba też gdzieś uleciała, ponieważ ta zwraca się do mnie:

– Jak ty się teraz czujesz?

Wzruszam ramionami, wbijając wzrok w pustą przestrzeń przed sobą.

– Poza tym, że boli mnie głowa, okej.

– Przestań, Mel – prosi cicho. – Nie o to pytam.

Zamykam na chwilę oczy, a gdy je otwieram, obraz wokół staje się nieco rozmazany.

– To straszne, co powiem, ale chwilami wydaje mi się, że wołałabym, żeby tym mężczyzną w szpitalu naprawdę był on – wyznaję drżącym głosem. – Wołałabym, by naprawdę umarł.

To, że mnie to absolutnie przeraża, zostawiam dla siebie. Mimo to po wypowiedzeniu tych słów głośno czuję się nieco lepiej. Powierzam kolejną tajemnicę w ręce Nancy Johnson, przekonana, że u niej będzie bezpieczna.

– Rany, patrząc na twoją anielską buzię, nikt nie uwierzyłby w to, jak jesteś popaprana.

Obejmuje mnie delikatnie, jakby się bała, że pod wpływem jej dotyku rozpadnę się jak rozmokła książka. Nancy ma rację. Jestem popaprana. Rhys również ją miał, mówiąc, że jestem takim samym potworem jak on. Świadomość tego wywraca moimi wnętrznościami, których i tak lądowanie zbyt mało oszczędziło.

– Nie wiem, co dokładnie zaszło między wami, ale poczekam, aż sama o wszystkim mi opowiesz – ciągnie po chwili milczenia, odsuwając się ode mnie. – Dla odmiany ja ci coś powiem. Właściwie nie wiem, czy w ogóle powinnam to robić ani czy chcesz tego słuchać, ale

po tym, jak ten przerośnięty goryl jednym machnięciem prawie wysłał cię na tamten świat, Rhys wpadł w szal. Nigdy nie widziałam czegoś takiego. Przyznaję ze wstydem, że z otwartą buzią gapiłam się, jak gołymi pięściami robi miazgę z jego twarzy.

– Boże – jęczę, nie będąc pewna, czy znośę wiadomość o śmierci kolejnej osoby, która potraktowała mnie w niewłaściwy sposób.

– Żałuj, że tego nie widziałaś. Na pewno ucieszyłby cię ten widok tak samo jak mnie. To wszystko było tak nierealne, że czułam się jak na planie naprawdę dobrego filmu sensacyjnego. Wszyscy zaczęli krzyczeć, kiedy Mariposa znikąd wyjął tego swojego Glocka i wbił gorylowi pod brodę. I albo ten był tak odporny na ból, że nawet nie drgnął, albo już dawno utopił się we własnej krwi, której było więcej, niż widziałam w całym swoim życiu, a uwierz mi, że było tego sporo. I co jak co, ale temu twojemu gangsterowi nie można odmówić klasy i tej niewymuszonej nonszalancji, którą emanuje każdy jego ruch, nawet kiedy zabija. Poważnie, gość zrobiłby wrażenie nawet na figurze woskowej królowej angielskiej.

Patrzę na nią oczami okrągłymi jak spodki.

– Co się stało z Santosem? – pytam, obawiając się najgorszego.

Spogląda na mnie, wydymając wargi w niezadowoleniu.

– Nic – odpowiada. – Zjawił się Cecilio i zaczął wrzeszczeć coś po hiszpańsku. Nie rozumiałam ani słowa, ale trzeba być totalnym idiotą, żeby nie wywnioskować, że pokłócili się tak bardzo, że prędko nie stukną się butelką piwa, oglądając football.

Santos żyje i ma się dobrze, przynajmniej tyle.

O ile można mieć się dobrze z twarzą potraktowaną bezlitosnymi pięściami Rhysa.

– Cieszę się, że go nie zabił – wyrzywa mi się.

Nancy patrzy na mnie jak na idiotkę.

– Czasami myślę, że jesteś jak Harry Potter – stwierdza z niesmakiem.

– Jeszcze kilka minut temu twierdziłaś, że jestem popaprana – przypominam, patrząc przez ramię.

Paul wciąż rozmawia przez telefon, gestykułując żywo wolną ręką.

– Bo jesteś – upiera się, wzrokiem podążając za moim. – Ale za tym całym popieprzeniem, którego chwilami trochę się boję, jest też dobro i chęć zbawienia świata. Myślisz, że rozmawia z Rhysem? – Wskazuje ruchem głowy na przystojnego lekarza.

Nie myślę, odpowiadam w myślach. Jestem tego pewna.

Mogę się założyć, że ta rozmowa nie ma nic wspólnego z miłą pogawędką.

– Nie wiem – kłamię. – Nie obchodzi mnie to.

– Chcesz o nim...

– Nie – odpowiadam nieco zbyt ostro, ucinając rozmowę.

Po kilku długich minutach Paul wraca do nas, niedbale wrzucając telefon do torby przewieszanej przez ramię, po czym odszukuje w niej klucze do samochodu, którym tu przyjechaliśmy. Jedno spojrzenie w jego oczy wystarczy mi, żebym wiedziała, że jest wkurzony, żeby nie powiedzieć wściekły.

– Zabiorę was do siebie – mówi, raz po raz przenosząc spojrzenie ze mnie na Johnson. – Później wymyślimy, co dalej.

Biorę kilka głębokich oddechów, zanim zbieram się na odwagę, a następnie mówię tylko dwa słowa:

– Nie mogę.

Oboje wbijają we mnie jasne spojrzenia, więc uciekam wzrokiem, nie mogąc znieść żadnego z nich.

– Naprawdę mocno dostałaś w głowę – prycha Nancy.

– Daruj sobie – poucza ją White, stając przede mną. Wsuwa palec wskazujący pod mój podbródek, po czym delikatnym ruchem zmusza mnie, żebym na niego spojrzała. – O co chodzi, Melody? – pyta, kiedy odnajduję wzrokiem jego niebieskie tęczówki.

Odsuwam się, robiąc krok do tyłu.

– Dziękuję ci za wszystko, co dla mnie zrobiłeś – zaczynam niepewnie, nerwowo przestępując z nogi na nogę. – Jestem mu wdzięczna, że dzięki niemu mogłam cię poznać. – Zamykam na chwilę oczy, czując wzbierające we mnie emocje. To pożegnanie również boli i to o wiele bardziej, niż początkowo zakładałam. Unoszę powieki, szukając w głowie odpowiednich słów, lecz szybko dochodzę do wniosku, że w tej sytuacji takowych nie ma. – Zabierz Nancy do siebie, a jeśli zechce, odeślij ją do domu. Tutaj nasza wspólna przygoda się kończy. Już w niczym nie jesteście w stanie mi pomóc. Sama muszę dojść do siebie.

– Nie myśl, że którekolwiek z nas zostawi cię tu samą, Prince. Zapomnij.

– Ona ma rację, Melody. – Paul popiera moją przyjaciółkę. – Nie powinnaś być teraz sama.

Uśmiecham się do nich z wdzięcznością.

– Nie jestem małą dziewczynką. Przecież nie żegnam się z wami na zawsze. – Śmieję się krótko, wymuszenie. – Dziękuję wam za wszystko.

Przytulam Nancy, na której twarzy maluje się konsternacja, po czym szybko i niepewnie obejmuję Paula, wspinając się na palce. Dźwięk klaksonu samochodu rozbrzmiewa w chwili, w której moje stopy z powrotem dotykają betonowej nawierzchni. Niemal biegiem ruszam do taksówki, którą zamówiłam zaraz po wylądowaniu w tajemnicy przed przyjaciółmi.

– Melody! – woła White, gdy otwieram drzwi i jedną nogą jestem już w pojeździe. Posyłam mu pytające spojrzenie. – Łap! – RzUCA niedużym, czarnym urządzeniem, które udaje mi się bez problemu złapać jedną ręką.

Wsiadam do samochodu, po czym trochę za mocno zatrzasnę drzwi. Zapinam pas, obracając w palcach pilotem, bez którego nie można otworzyć drzwi apartamentu Mariposa, w którym wciąż znajduje się większość moich rzeczy osobistych.

– Dokąd? – pyta kierowca, ruszając z miejsca.

– Po prostu pozwiedzajmy trochę miasto, dobrze? – mówię, wsuwając pilot do tylnej kieszeni dzinsów.

Zapewne będę musiała go użyć, ale jeszcze nie dzisiaj.

– Jak sobie pani życzy.

Wbijam wzrok w boczną szybę, obserwując nieco niewyraźny świat za nią. Mimo wczesnej pory ruch jest dość spory. Zastanawiam się, dokąd ci wszyscy ludzie tak biegną. Poświęcają niemal całe życie pracy, zaniedbując swoje dzieci, żony, mężów i kochanków, a ich codzienność jest jednym wielkim wyścigiem, w którym nagrodą jest bytność na tym okrutnym dla wielu świecie.

Czy moje życie też by tak wyglądało, gdybym nie urodziła się w zamożnej rodzinie? Może wyszłabym za mąż za normalnego mężczyznę, z pewnością z miłości. Urodziłabym mu dwójkę dzieci: chłopca i dziewczynkę i oddałabym się ich wychowaniu bez reszty, obdarzając tak ogromną i silną miłością, jakiej ja nigdy nie zaznałam. Żylibyśmy spokojnie, szanując się, mimo że czasem zapominalibyśmy, ile dla siebie znaczymy, przytłoczeni ciężkimi obowiązkami życia codziennego.

I nagle dociera do mnie, że nie chcę już żyć życiem, które prowadziłam dotychczas. Chcę stać się kimś zupełnie innym, lepszym. Uśpić potwora, który we mnie szaleje. Gdy wjeżdżamy na zakorkowany most, mój wzrok napotyka wesołe spojrzenie nastoletniego chłopaka w samochodzie obok. Macha do mnie, mrugając jednym okiem. Uśmiecham się do niego, stawiam kropkę i przewracam stronę.

Czas napisać zupełnie nową historię.

Rozdział 13

W małym sklepiku nieopodal hotelu, w którym wynajęłam pokój, kupuję paczkę papierosów. Sprzedawca przygląda mi się podejrzliwie, jakby się zastanawiał, czy osiągnęłam już odpowiedni wiek, aby móc korzystać z tego typu używek, ale na szczęście nie domaga się żadnego potwierdzenia z mojej strony. Nie mam przy sobie nawet prawa jazdy, gdyby takowe chciał zobaczyć. Płacę gotówką, po czym wychodzę, natychmiast odpalając papierosa i zaciągam się głęboko. Ku mojemu rozczarowaniu nikotyna nie działa na mnie kojąco, wręcz przeciwnie. Po wypaleniu drugiego papierosa kręci mi się w głowie i czuję tylko narastające rozdrażnienie.

Niedbale wyrzucam niedopałek na chodnik, po czym ruszam naprzód, powłóczęc nogami. Gdy mijam witrynę piekarni, mój brzuch niemal błaga o to, żebym do niej wstąpiła. Waham się przez chwilę, przestępując z nogi na nogę. Przez makabryczne wydarzenia ostatnich dni nie czułam głodu tak długo, że teraz jest to dla mnie uczucie wręcz abstrakcyjne. W końcu decyduję się wejść do środka. Cichy, przyjemny dla uszu dźwięk dzwoneczka oznajmia o przybyciu klienta. Trochę się krępuję, kiedy oczy wszystkich zwracają się ku mnie, lecz nikt nie okazuje większego zainteresowania. W rzeczywistości jest tu o wiele więcej osób, niż wydawało mi się, gdy stałam na zewnątrz. Zajmuję miejsce w długiej kolejce, spuszczać wzrok na czubki swoich butów.

– Melody?

Drętwieję na dźwięk głosu Jima. Jakim cudem wpadam na niego właśnie tutaj? Wybrałam hotel na drugim końcu miasta, żeby nie natknąć się na nikogo znajomego. Chciałam oczyścić głowę w miejscu, w którym nikt nie będzie przypominał mi o tym, kim jestem. Prostuję się, napotykać zielone tęczęwki, w których ku mojemu zdziwieniu maluje się wesołość.

– Cześć – odzywam się, nie wiedząc, co więcej mogłabym powiedzieć.

Uciekam spojrzeniem. Nasze ostatnie spotkanie nie należało do najprzyjemniejszych. Nie jestem pewna, czy mam ochotę na kolejne pretensje z jego strony. Co prawda, w ostatniej wiadomości, jaką od niego dostałam kilka dni temu, nie było żalu, a jedynie współczucie. Przynajmniej tak odczytałam jego słowa, przymykając oko na to, że nazwał Rhysa skurwielem.

– Jak się czuje...

– Lepiej – kłamię, wchodząc mu w słowo.

Wciąż unikam jego wzroku, błagając w myślach, żeby sobie poszedł, a kolejka przede mną, jak na złość, się nie zmniejsza. Jakaś starsza pani okupuje ladę, rozwodząc się nad wspaniałym smakiem rogali z marmoladą. Muszę bardzo ze sobą walczyć, żeby nie wepchnąć się przed siedem osób przede mną i uwolnić biednego sprzedawcę od upierdliwej staruszki, a siebie od Jeffreya.

– Cieszę się. – Tym razem to on kłamię. – Co więc tu robisz?

Starsza pani wybiera ostatnie trzy drożdżówki, dzięki czemu w końcu przesuwam się o metr do przodu. Wiem, że mogłabym po prostu wyjść, ale naprawdę muszę coś zjeść. Poza tym, jeśli

teraz wyjdę, Jim robi to samo, a nie chcę tego. Muszę jak najszybciej go spławić, ale na razie wydaje się niewzruszony tym, że ewidentnie nie mam ochoty na jego towarzystwo.

– Próbuję kupić coś do jedzenia – odpowiadam sarkastycznie. Kolejny klient opuszcza sklep. *No dalej*, popędzam w myślach bieg zdarzeń. – A ty co tu jeszcze robisz? Zdaje się, że zaopatrzyłeś się we wszystko, czego potrzebowałeś, więc nie będę cię dłużej zatrzymywać. Miło było cię widzieć.

Brzmie jak wariatka czy tylko mi się wydaje?

– Mel, wszystko w porządku?

Nie wydaje mi się.

– Jak najbardziej w porządku – zapewniam.

Od lady dzielą mnie zaledwie dwie osoby.

Jim staje jeszcze bliżej mnie, naruszając moją osobistą przestrzeń, przez co muszę mocno się powstrzymywać, żeby go nie odepchnąć.

– Znam cię, Mel, i widzę, że coś się stało.

Gównu widzisz, myślę, przewracając oczami.

Nie mam wyjścia. Chyba muszę powiedzieć mu wprost, żeby się odwalił i dał mi spokój. Nie robię tego jednak, bo nadchodzi moja kolej na zakupy. Szpakowaty sprzedawca daje mi chwilę na zastanowienie się, kiedy przyglądam się słodkościom, na których widok zaczyna mi lecieć ślinka. Jest tego tak dużo, że nie wiem, na czym skupić wzrok.

– Poproszę coś, co według pana jest tak pyszne, że nie będę żałować ani jednego kęsa – mówię w końcu, nie mogąc się zdecydować na nic konkretnego.

Mężczyzna w średnim wieku uśmiecha się szeroko, a w kącikach jego oczu pojawiają się wyraźne zmarszczki.

– Bardzo jesteś głodna?

Potwierdzam skinieniem głowy z nieśmiałym uśmiechem.

Sprzedawca odsuwa szklane drzwiczki witryny, a następnie do papierowej torby pakuje cztery albo pięć rodzajów słodkich bułeczek. Przestałam liczyć, kiedy dzwoneczek drzwi rozbrzmiał w chwili, w której Jim dał za wygraną, bez słowa opuszczając piekarnię.

– Dziękuję – mówię, odbierając torbę, po czym płacę, jak na moje oko, mocno zaniżoną cenę i udaję się powoli w stronę drzwi.

Gdy wychodzę na zewnątrz, rozglądam się wokoło, aby upewnić się, że Jim nie czeka na mnie nigdzie za rogiem i z ulgą stwierdzam, że go nie ma. Siadam na betonowym schodku, wydaję jedną drożdżówkę, a następnie zatapiam zęby w grubej warstwie lukru, za którym kryje się puszyste ciasto z pysznym borówkowym nadzieniem. Dopiero teraz dociera do mnie, jak głodna jestem.

Pochłaniam trzy bułki z rzędu w ekspresowym tempie, ignorując niepewnie posyłane w moją stronę spojrzenia przechodniów i klientów sklepu. Zupełnie, jakby się zastanawiali, czy wszystko ze mną dobrze, tylko bali się zapytać, czy nie potrzebuję pomocy. Nie winię ich za to. Mogę się tylko domyślać, jak żałośnie wyglądam, siedząc tak i pożerając trzy czwarte zawartości

sporej, papierowej torby. Spoglądam do niej, zastanawiając się, czy zdołam wepchnąć w siebie ostatnią drożdżówkę, lecz wtedy mój żołądek błaga o litość. Podnoszę się więc, czując, że za moment pękne i wolnym krokiem kieruję w stronę hotelu.

Jest mi ciepło, ale nie na tyle, żeby zdjąć bluzę. Patrzę na ekran telefonu, który niemal nieustannie znajduje się w mojej dłoni, kiedy urządzeniem wstrząsają silne wibracje i odrzucam połączenie od Nancy. Nie przesadzę, mówiąc, że to już setny telefon od niej. Wiem, że się martwi, ale jestem trochę zła, że nie potrafi uszanować mojej prośby o kilka dni spokoju.

Budynek, przed którym stoję, jest dość okazałych rozmiarów, jak na tę spokojną część miasta, a właściwie jego obrzeża. Sięgam po papierosy, by od razu odpalić jednego. Wypuszczając dym z płuc, odchylam głowę do tyłu i niewidzącym wzrokiem patrzę na ośmiopiętrową budowlę podzieloną na trzy kolumny, w których prawie nie ma okien, a przynajmniej tak to wygląda z miejsca, w którym moje stopy dotykają ziemi.

– Wierzysz w przeznaczenie?

– Ja pierdole – mamrocze pod nosem, zaciskając powieki tak mocno, aż czuję ból.

Oto ja, Melody Prince, zwyciężczyni w konkursie na najbardziej pechową istotę wszechświata!

– Możesz powtórzyć? – pyta Jim. – Wybacz, ale nie dosłyszałem.

Otwieram oczy, zastanawiając się, ile mam dróg ucieczki.

– Co tu robisz? – cedzę przez zęby, zaciągając się raz za razem.

– Mieszkam – odpowiada jak gdyby nigdy nic. Kolejny raz przewracam oczami, wrzucając niedopałek do metalowej popielnicy. – Otwieram w tej okolicy kolejną kawiarnię, a od kilku dni negocjuję warunki z wyjątkowo trudnymi kontrahentami. Mam po dziurki w nosie ich irracjonalnych wymagań, które według nich muszę spełnić, dlatego dzisiaj postanowiłem się zrelaksować.

Po tych słowach unosi dwie butelki martini, które trzyma w dłoniach, uśmiechając się szeroko. Zawsze lubiłam ten jego uśmiech, bo z nim jest jeszcze przystojniejszy niż normalnie. Jednak teraz jego uroda nie wywiera na mnie większego wrażenia. Może dlatego, że nie wmawiam sobie, że za nim szaleję, a może przez to, że związek z Mariposą wyprał mnie ze wszystkich uczuć, jakie kiedyś posiadałam, zostawiając miejsce obsesji, która mocno mnie zniszczyła.

– Miłej zabawy – bąkam, wykrzywiając twarz w sztucznym uśmiechu.

Odpowiada mi również nieciekawym grymasem, po czym rusza do hotelu. Wypuszczając powietrze z płuc, z ulgą spoglądam na tył jego pleców oddalających się coraz bardziej. Doprawdy nie wiem, jak mając do wyboru tyle miejsc i tak wiele tysięcy hoteli, wybrałam ten, w którym dziwnym zbiegiem okoliczności zatrzymał się mężczyzna, który podobno planował się ze mną ożenić. Znika za obrotowymi drzwiami, nie odwracając się za siebie.

Odpalam jeszcze jednego papierosa, tym razem z radości, że nie muszę dłużej znosić jego towarzystwa.

– Pomyślałem, że może jednak zechciałabyś mi towarzyszyć.

Krztuszę się dymem na dźwięk jego słów.

Dopiero kiedy ponownie mogę normalnie oddychać, z niedowierzaniem spoglądam na Jeffreya, który z kolei patrzy na mnie z nieskrywaną nadzieją w zielonych oczach.

– To chyba nie jest najlepszy pomysł – mówię, czując pieczenie w gardle.

Wciąż pamiętam, jak mocno go zraniłam, odchodząc. Jeśli kochał mnie tak bardzo, jak twierdził, nie wierzę, że w tak krótkim czasie udało mu się ze mnie wyleczyć.

– Daj spokój – rzuca, uśmiechając się, jakby czytał mi w myślach. – Naprawdę pogodziłem się z tym, że wybrałaś mojego kumpla. W ramach rewanzu proponuję, żebyś dzisiaj się ze mną upiła, a jutro zapomnimy o całej sprawie. Możemy nawet udawać, że się nie znamy. Nie daj się prosić. Spędź ze mną ostatni wieczór jako moja przyjaciółka.

Kochałam go jak przyjaciela, którym niewątpliwie był. Pojawił się w moim życiu tuż po tym, jak Motyl się mną zabawił i kazał spadać. Pomógł mi stanąć na nogi, uporać się z upokorzeniem, którego nie mogłam znieść i rozpaczą rozdzierającą każdy mój najmniejszy nerw. Naprawdę wiele mu wtedy zawdzięczałam. Chyba powinnam się zgodzić.

W ramach rewanzu, jak to ujął.

– Okej – kapituluję, uśmiechając się nerwowo. Sprawnie pokonuję kilka schodów, przeskakując po dwa stopnie. – Do zobaczenia za pół godziny w pokoju numer dwadzieścia siedem – dodaję, wymijając go i znikając za drzwiami.

Wciąż nie wiem, jak to się stało, że zaczęłam czuć nienawiść do Jima. Chyba tak bardzo chciałam usprawiedliwić przed samą sobą swoje zachowanie, że podświadomie zaczęłam postrzegać go jako zło wcielone, które o włos nie zrujnowało mi życia. Dopiero teraz uświadamiam sobie, jakie to dziecinne i głupie. Zamykam się w swoim niedużym pokoju, w którym mimo pozorów okno jest całkiem spore, po czym idę prosto do klaustrofobicznej łazienki.

Jim ponownie zjawia się w moim życiu w najgorszym jego momencie. Albo zjawia się w nim w jakimś konkretnym celu, albo nadzwyczajny zbieg okoliczności znowu skrzyżował nasze drogi. Wiem, że miałam pisać zupełnie nowy rozdział, ale najpierw oddam mu ten ostatni wieczór, ostatni wers, a później na dobre zniknę z jego życia.

Po szybkim prysznicu wkładam ubrania, które wcześniej miałam na sobie. Nie jestem z tego powodu zachwycona, ale wolę to, niż wrócić po swoje ubrania do mieszkania Rhysa, w którym na każdym metrze kwadratowym kryje się masa wspomnień. Tych dobrych, ale także i gorszych, w których siła jego miłości mocno mnie przytłaczała. Lecąc do Alicante, Nancy spakowała kilka moich rzeczy, ale wszystkie zostawiłam w jej torbie, chcąc jak najszybciej odjechać, zanim przyjaciele zdążą przekonać mnie, żebym została. Mam nadzieję, że jutro znajdę siłę, by pojechać do centrum handlowego po nowe ubrania.

Rozczesując poplątane włosy, moje myśli uciekają do babci i zdjęć, które znalazłam. Przez ostatnie dni z wiadomych powodów nie poświęcałam tej sprawie zbyt wiele czasu, żeby nie powiedzieć, że w ogóle. Helen nie żyje i nic nie może tego zmienić. Najpierw powiedziano mi, że ktoś ją zamordował. Kilka lat później zjawia się Rhys i mówi, że popełniła samobójstwo. Teraz ja znajduję zdjęcia, na których widać, jak moja mama i dziadek towarzyszą babci w jej ostatnich chwilach, co ewidentnie wskazuje na to, że oboje przyczynili się do jej śmierci.

Do tej pory nie udało mi się dłużej zastanowić nad tą sprawą, a co dopiero zdobyć więcej dowodów na winę moich bliskich. Teraz myślę, że to głupie. Po co mama i dziadek mieliby zabijać Helen? Kochali ją tak samo mocno, co ja. Przecież nie tak dawno obejrzałam film, w którym babcia się ze mną żegnała, co świadczy o tym, że to Rhys mówił prawdę. Zaciskam powieki, wciągając nosem wilgotne powietrze. Najbliższe dni poświęcę na rozwiązanie tajemniczej śmierci mojej babci. Rozłożę zdjęcia, które znalazłam, na najmniejsze piksele i raz na zawsze skończę ze wszystkimi tajemnicami, jakie owijają się wokół mnie niczym kokon, odcinając dopływ tlenu.

Kiedy wychodzę z zaparowanej łazienki, rozlega się ciche pukanie. Podchodzę do drzwi, a następnie otwieram je, gestem zapraszając Jima do środka. Kolejna cecha, która nas łączy: lepiej przyjść godzinę wcześniej, niż spóźnić się pięć minut. To zabawne, ponieważ kiedy go poznałam, spóźniał się notorycznie. Dopiero znajomość ze mną nauczyła go punktualności. Co prawda, Jim zjawia się po piętnastu minutach, odkąd zostawiłam go pod hotelem, ale nie przeszkadza mi to. Przynajmniej nie będę miała czasu na zadreczanie się myślami, które w ciągu kilkunastu kolejnych minut mogłyby zająć naprawdę daleko, do miejsca, w które nie chciałabym się teraz zapuszczać.

Jeffrey przechodzi przez całe pomieszczenie, po czym siada na małej, dwuosobowej kanapie, obitej wyjątkowo brzydkim materiałem w ciemnozielonym kolorze. Zamykam drzwi, idąc w jego ślady i siadam po turecku na łóżku, które stoi zaledwie metr od kanapy. Milczymy przez chwilę, unikając swoich spojrzeń, oboje mocno skrępowani zaistniałą sytuacją. Zupełnie jakby nasza pewność siebie została na zewnątrz budynku wraz z moimi niedopalonymi papierosami.

W końcu podnoszę się na kolanach, pochylam w jego stronę i zabieram z jego ręki butelkę martini, po czym otwieram ją i przystawiam do ust.

– Myślałem, że zamówimy lód, ale widzę, że wcale go nie potrzebujesz.

Oddaję martini Jimowi, krzywiąc się na paskudny, słodko-ziołowy smak, który schłodzony z pewnością smakowałby o wiele lepiej. Jednak mam świadomość tego, że czekanie na lód tylko przedłużyłoby niezręczną ciszę, dlatego wolę od razu poczuć rozluźniające działanie alkoholu, choćby nie wiem jak mi nie smakował.

– Nie patrz tak na mnie, tylko pij – popędzam, wiedząc, że żadne z nas nie będzie czuć się dobrze w swoim towarzystwie, dopóki będziemy trzeźwi.

I tak w zupełnej ciszy, przekazując sobie butelkę i pijąc na przemian, opróżniamy większe pół jej zawartości. Zmieniam pozycję, kładąc się na boku, a następnie opieram się na łokciu, posyłając wyczekujące spojrzenie Jimowi. Sam nalegał na to spotkanie, a teraz milczy jak zakłęty. W dodatku przygląda mi się z dziwną tęsknotą, którą zapewne uwolnił w nim alkohol.

– Wciąż nie powiedziałaś mi, co tu robisz – zauważa, upijając kolejny łyk.

Wzruszam ramionami.

– Mieszkam – odpowiadam, naśladując go.

Nigdy nie powiem mu, co spotkało mnie w ostatnich dniach. Nie mogę dać mu tej satysfakcji. Ostrzegiał mnie, a ja nie chciałam go słuchać. Właściwie nie słuchałam nikogo poza własnym sercem i sama nie wiem, co powinnam sądzić o swoim zachowaniu. Skłamałabym, mówiąc, że

żałuję, chociaż gdybym wiedziała, jak to się skończy, nie wpuściłabym Motyla do swojego życia. Rany na mojej poparzonej duszy jeszcze długo nie pozwolą mi o nim zapomnieć.

– Nie jestem idiotą, Mel.

– Nie powiedziałam, że nim jesteś.

– Ale tak myślisz. – Kręcę głową, kiedy podsuwa mi pod nos martini, nie zaprzeczając jego słowom. – Sam jestem sobie winien. Tak bardzo chciałem wypaść dobrze w twoich oczach, że na długo stałem się kimś zupełnie innym. Może gdybym pokazał ci prawdziwego siebie, nie odeszłabyś.

Ponownie siadam, zastanawiając się, jak mogłam uwierzyć mu, że nie kryje do mnie urazy. Wystarczyła zaledwie niewielka ilość alkoholu, żeby przestał ukrywać swoje myśli. Po tym wszystkim, co mnie spotkało, powinnam być bardziej rozważna, a tymczasem nieustannie popełniam te same błędy. Jeśli teraz nie postawię na szczerą rozmowę, kolejny raz narobię strasznego zamętu, a i tak tkwię w gównie po same koniuszki uszu.

– Odeszłabym – zaczynam, niepewnie zerkając na jego zaróżowioną twarz. – Zakochałam się w Rhysie na długo przed poznaniem ciebie. Przez cały czas wypierałam to uczucie, starając się o nim zapomnieć i w jakiś sposób zmusić do obdarzenia tym uczuciem ciebie.

Krzywi się na dźwięk moich słów, jakby właśnie dostał w twarz. Cholera, chyba faktycznie nie brzmiało to najprzyjemniej... Niemniej nie przepraszam za swoją wypowiedź ani nie mówię niczego, co mogłoby naprowadzić rozmowę na inne tory. Po prostu ze stoickim spokojem czekam na reakcję Jeffreya, wiedząc, że poprzednim razem nasze pożegnanie nie wyglądało tak, jak powinno. Nie wyjaśniliśmy sobie wszystkiego, pozostawiając wiele spraw w zawieszeniu. Nie zostałam ukarana za mentalne zabójstwo, jakiego dokonałam na naszym związku i być może to jest powodem, przez który Jim nie może mi wybaczyć i pójść dalej.

– Powiedz. Jesteś z nim szczęśliwa? – pyta pełnym emocji głosem.

Jeszcze tylko tego brakuje, żeby mi się tutaj rozkleił...

Policzkuję się w myślach za każdym razem, gdy przypominam sobie, że dobrowolnie zaprosiłam go do swojego pokoju. Gdybyśmy siedzieli u niego, w każdej chwili mogłabym wyjść, tłumacząc się nagłym bólem głowy, załatwieniem pilnej sprawy czy miesiączką, której swoją drogą nie widziałam u siebie od co najmniej dwóch miesięcy.

– Jim, proszę cię, zostawmy ten temat – niemal błagam. – Sam widzisz, ile cię to wszystko kosztuje. Dlaczego świadomie sprawiasz sobie ból, zadręczając się myślami o nas?

Mówiąc *nas*, mam na myśli siebie i Rhysa, a słowo to brzmi wyjątkowo obco w moich ustach. Jakbyśmy nigdy nie istnieli, a cała nasza historia, naznaczona bólem i od początku skazana na niepowodzenie, była jedynie senną fantazją.

Nerwowo obracam w palcach telefon, spoglądając na ekran, na którym wciąż widnieje przystojna twarz Motyla. Chyba powoli zaczyna do mnie docierać, że to naprawdę koniec.

– Przepraszam – bąka Jim, przystawiając butelkę do ust. Za jednym razem opróżnia ją do dna.
– Wciąż nie mogę sobie poradzić z uczuciem do ciebie, które z biegiem czasu tylko rośnie na sile. Spokojnie – dodaje szybko, widząc, że chce coś powiedzieć – zadowolę się przyjaźnią.

Zasepiam się, nie wiedząc, co myśleć o jego słowach. Z jednej strony go rozumiem. Kochał mnie, był w stanie zrobić dla mnie naprawdę dużo, zapewne więcej niż kiedykolwiek zrobiliby Rhys. Miałam z nim zamieszkać, a mimo to zostawiłam go, niszcząc jego świat, tak jak zniszczyłam swój, odchodząc od Mariposy.

Nagle to wszystko wydaje mi się bardzo dziwne: negocjowanie warunków z kontrahentami, zatrzymanie się w tym samym hotelu, jego spojrzenie, w którym wypity alkohol poza tęsknotą uwolnił także żądzę posiadania mnie, która aż iskrzy, próbując uwolnić się z coraz słabszego zamknięcia w jego ciele.

– Śledziłeś mnie – szepczę, czując, jak z mojej twarzy odpływa cała krew.

Wykrzywia twarz w grymasie, upuszczając pustą butelkę na podłogę.

– Po naszym ostatnim spotkaniu postanowiłem mieć cię na oku – mówi, jakby to była najbardziej oczywista i zarazem najnormalniejsza rzecz na świecie. – Kosztowało mnie to wiele wysiłku i zaniedbania wielu spraw zawodowych, ale wiedziałem, że robię to dla twojego dobra. Udało mi się zainstalować kilka pomocnych urządzeń w waszym gniazdku. Niemal codziennie oglądałem cię z bliska, słuchałem twojego głosu i wyobrażałem sobie, że jesteś przy mnie. Przy okazji dowiedziałem się, kim naprawdę jest ten pieprzony oszust.

Żółć podchodzi mi do gardła, a serce tak mocno tłucze się w piersi, że jestem pewna, że Jim również bez problemu słyszy jego bicie, znajdując się cały metr ode mnie.

– Boże, o czym ty mówisz? – pytam oszołomiona jego słowami.

– Pomyślałem, że to świetna okazja, żeby się na nim zemścić za to, że mi ciebie odebrał, zrobił pranie mózgu, splamił i zbrukał twoje nieskazitelne ciało – ciągnie, jakby w ogóle nie słyszał zadanego przeze mnie pytania. – Louis pomógł mi dotrzeć do ludzi, którzy życzą mu tak samo źle jak ja. Udostępniłem im wszystkie nagrane przez moje urządzenia rozmowy, daty dostaw, szczegóły wywozów. W zamian za to postanowili wyświadczyć mi przysługę i pozbyć się mojego przyjaciela raz na zawsze. Sam nie wiem, kogo bardziej ucieszy wiadomość o jego śmierci: mnie czy ich. Pewne jest natomiast, że jest ona nieunikniona i nie ukrywam, że wyczekuję jej z niecierpliwością.

Podrywam się z miejsca, chcąc znaleźć się jak najdalej od tego psychopaty, lecz on najwyraźniej nie ma zamiaru mi na to pozwolić. Wstaje równie szybko, co ja i zanim zdążę zrobić chociaż krok, boleśnie zaciska palce dłoni na moim przedramieniu. Otwieram usta, poruszając nimi jak ryba wyjęta z wody, bo mój głos pochłania przerażenie, które w tym momencie wypełnia niemal każdą komórkę w moim ciele.

– Po jego śmierci zaopiekuję się tobą najlepiej, jak potrafię – cedzi przez zaciśnięte zęby, wolną dłonią sunąc po mojej szyi w górę i w dół, by tuż po tym zacisnąć palce wokół niej.

Jego dłoń jest tak duża, że bez trudu obejmuje całą jej powierzchnię. Drżę ze strachu, patrząc w jego niewidzące oczy ogarnięte szaleństwem.

– Puść mnie – szepczę ledwie słyszalnie.

Uśmiecha się szeroko, ale nie jest to ten sam uśmiech, co zawsze. To uśmiech wariata; kompletnego świra, którym był przez całe swoje życie, ale skutecznie to ukrywał. W momencie,

w którym zbliża twarz do mojej, owiewa mnie słodko-ziołowy zapach jego oddechu, przez co czuję, że wszystkie słodkie bułeczki, jakie dzisiaj zjadłam, za moment na nim wylądują.

– Nic z tego, Mel – syczy prosto w moje usta, coraz mocniej zaciskając palce na mojej szyi.

Czy on... O Boże, dopiero teraz sobie o tym przypominam!

Jim pragnie nie tylko śmierci Rhysa, ale także mojej. *To koniec...*

W nadziei, że ktoś mnie usłyszy, otwieram usta, żeby wołać o pomoc, lecz Jeffrey automatycznie puszcza moją rękę i kładzie dłoń na mojej twarzy. Mój krzyk ginie, zanim w ogóle zdąży rozbrzmieć. To sprawia, że po moich policzkach zaczynają płynąć gorące łzy, które są jedynym dowodem strachu, który już na zawsze pozostanie niemy.

Rozdział 14

Duszę się, walcząc o każdy oddech, lecz długie palce zaciskają się na mojej krtani z zaskakującą siłą. *Jeszcze chwila i będzie po wszystkim*, myślę, ale nie czuję ulgi, którą zakładałam, że poczuję, kiedy nie będę musiała znosić bólu po miłości, z której sama zrezygnowałam. Patrzę w pozbawione jakichkolwiek emocji zielone oczy Jima, które tak wiele razy patrzyły na mnie z czułością i dochodzę do wniosku, że tak naprawdę chcę żyć. Mimo tego całego syfu, który mnie otacza, chcę przejść przez ten świat z godnością i wysoko uniesioną głową.

Tylko dlaczego dociera to do mnie w chwili, w której zaledwie kilka oddechów dzieli mnie od utraty życia? Jeśli zaraz czegoś nie zrobię, bezpowrotnie będzie po wszystkim. Cichy charkot wydobywa się z mojego gardła, co na ułamek sekundy rozprasza ogarniętego żądzą mordy Jeffreya. Instynktownie wbijam kolano prosto w jego podbrzusze tuż nad kroczem. Z jego ust wrywa się stłumiony okrzyk bólu. *Teraz albo nigdy!*, mój wewnętrzny głos dodaje mi odwagi.

Siła drugiego kopniaka jest tak duża, że Jim zgina się wpół, a ja wyrrywam się, łapczywie łapiąc powietrze. Ignorując rozsadzający gardło ból, biegnę prosto do łazienki, bo wiem, że nie zdążyłabym pokonać odległości między łóżkiem a drzwiami wyjściowymi. Przekręcam klucz, w uszach słysząc jedynie szum własnej krwi oraz mocne bicie serca. Odwracam się i padam na kolana. Kurczowo chwytam się sedesu, czując, że zaraz zwymiotuję. Kiedy po kilku sekundach nic takiego się nie dzieje, opieram czoło o dłonie, nie zmieniając pozycji. Oddycham spokojnie, starając się zebrać w całość rozbiegane myśli.

Nie wiem, dlaczego za drzwiami zrobiło się zupełnie cicho, ale nie obchodzi mnie to tak długo, jak długo ten pieprzony psychol pozostaje po ich drugiej stronie, a ja jestem bezpieczna, zamknięta w łazience, której ściany z każdą sekundą zbliżają się do mnie, jakby chciały mnie zmiażdżyć. Jednak to, co zrobił Jim, dominuje w mojej głowie na tyle, że szybko udaje mi się zapomnieć o klaustrofobii, o której istnieniu wcześniej nie miałam pojęcia. I wcale nie myślę teraz o tym, że chciał mnie zabić. Swoją drogą zapewne wciąż chce i robi to, jeśli szybko nie wymyślę, jak się stąd wydostać lub sprowadzić kogoś, kto mógłby mi pomóc.

Chodzi mi o tę cholerną intrygę, którą wymyślił, żeby zemścić się na Motylu. Zdradził jednego ze swoich najlepszych przyjaciół, świadomie skazując go na śmierć i z ekscytacją czekał na jej nadejście. Właściwie nadal czeka, ponieważ nie ma pojęcia, że Rhys jest cały i zdrowy, a zupełnie niewinny człowiek zapłacił najwyższą cenę za popełnione przez niego grzechy. Teraz, gdy znam prawdę i wiem, że przynajmniej po części jestem odpowiedzialna za to, co się stało, nagle sobie uświadamiam, że do końca życia będzie mnie zżerać sumienie.

Jim postradał zmysły przez to, jak podle go potraktowałam. Gdybym nie odeszła, moglibyśmy stworzyć szczęśliwy związek. Może go nie kochałam, ale przecież dziewięćdziesiąt procent par do końca życia łączy nie miłość, a kredyt hipoteczny. Wybieramy życiowego partnera, kierując się rozsądkiem i jeśli jest nam z kimś najzwyczajniej w świecie dobrze, to trzymamy się go, nie szukając jakichś głębszych uczuć.

Jednak ja niestety należę do tych pozostałych dziesięciu procent, które żeby osiągnąć pełne spełnienie, potrzebują tej iskry, która rozpala się, a jej ogień podsyca to jedno wyjątkowe spojrzenie oczu, które chce się oglądać każdego dnia do ostatniego oddechu. Gdyby nie ja, życie tylu osób nie zostałoby narażone na śmiertelne niebezpieczeństwo...

Daj spokój! Na wyrzuty sumienia przyjdzie czas później, ganię się w myślach i w tym samym momencie coś uderza o drzwi. Aż podskakuję, przerażona tym, co za chwilę się stanie, ponieważ jestem pewna, że drewno długo nie wytrzyma tak natarczywego ataku rozszalałych pięści Jeffreya. Wczepiam palce we włosy, osuwając się na chłodne płytki, po czym zwijam się w kłębek, nie mając pojęcia, co mam teraz zrobić.

Nie pozostaje mi nic innego, jak czekać i liczyć na cud. Nancy zawsze twierdziła, że się zdarzają, tylko trzeba mocno w nie wierzyć. Jednak ja zdaję sobie sprawę, że ziemia nagle nie rozstąpi się pode mną i nie pochłonie mnie, chroniąc przed najgorszym. Wiem też, że nie zjawi się żaden rycerz w srebrnej zbroi, żeby uratować mnie z opresji. Najpewniej umrę w tej maleńkiej łazience bez okien, z dala od ludzi, dla których moja śmierć będzie w mniejszym lub większym stopniu bolesna.

Jim uderza w drzwi jeszcze siedem razy, a po każdym uderzeniu mam wrażenie, że stoi tuż nade mną.

– Melody, kochanie, otwórz drzwi – rozlega się z oddali, co oznacza, że wciąż nie udało mu się wdrzeć do środka.

Siadam, tłumiąc cichy szloch, który mimowolnie wyrывa się z mojego obolałego gardła. Myślałam, że prawdziwy strach jest lodowaty; że przychodzi znienacka i mrozi krew w żyłach, zatrzymując bicie serca. Tymczasem on parzy dotkliwiej niż uczucie, którym obdarzył mnie Motyl. Mam wrażenie, że łyzy spływające po moich policzkach zostawiają na skórze paskudne, głębokie blizny. *O ile uda ci się z tego wyjść,* ponownie odzywa się mój głos rozsądku. Podnoszę się na drżące nogi, biorąc się w garść, a następnie podchodzę do drzwi. Dotykam dłońmi ich chropowatej powierzchni i zbliżam do niej twarz.

– Jim – zaczynam, nie rozpoznając własnego głosu. – Jim, błagam, przestań. Boję się ciebie, kiedy taki jesteś. – Kompletnie nie wiem, czy to, co mówię, odniesie jakikolwiek skutek, ale muszę przynajmniej spróbować. – Jim? – Do moich uszu dobiega cichy szmer, co wskazuje na to, że Jeffrey wciąż tam jest i uważnie mnie słucha. Biorę głęboki oddech, po czym kontynuuję: – Muszę ci się do czegoś przyznać. Już z nim nie jestem. Odeszłam, kiedy zorientowałam się, że wcale go nie kocham; że on nie chce mojego dobra. – Nadal cisza. – Odeszłam, ponieważ nieustannie porównywałam go do ciebie.

Gdy jego pięści ponownie z hukiem odbijają się od drzwi, odskakuję do tyłu.

– Zmusiłaś mnie, żebym taki był. – Głos mu się łamie. – To twoja wina.

Zamykam oczy, walcząc z nawracającymi mdłościami.

– Wiem. – Ze wszystkich sił staram się, żeby moje słowa brzmiały głośno i wyraźnie, lecz rosnąca gęstwa w gardle wcale mi tego nie ułatwia. – Wiem i przepraszam cię za to. Byłam głupia, otumaniona, nie widziałam niczego poza nim, ale to dlatego, że owinął mnie sobie wokół palca. Podawał narkotyki i manipulował mną, żeby jak najdłużej zatrzymać przy sobie. – Brzmię jak

kompletna wariatka, ale moje słowa, choć głupie i niemające nic wspólnego z prawdą, odnoszą zamierzony skutek. Zainteresowały go, dzięki czemu zyskuje kilka, może kilkanaście niezwykle cennych minut. – Dopiero teraz dotarło do mnie, że masz całkowitą rację, ale nie wyjdę, dopóki się nie uspokoisz. Przestraszyłeś mnie.

Jim wydaje z siebie przeciągły jęk, brzmiąc przy tym jak zranione, dzikie zwierzę. Już nie uderza pięściami w drzwi, chcąc dostać się do środka. Po prostu płacze, a mnie ogarnia jeszcze większy strach. Jego szaleństwo przeraża mnie tak bardzo, że na chwilę zapominam, że powinnam mówić cokolwiek, byle tylko odciągnąć jego uwagę od zamierzonego celu i sprawić, żeby się uspokoił.

Oddychając głęboko, opieram się plecami o drzwi, po czym zsuwam się na podłogę. I wtedy mój wzrok pada na niewielkie, prostokątne urządzenie. Przykładam dłoń do ust, żeby stłumić okrzyk ulgi, którego nie jestem w stanie powstrzymać. W mgnieniu oka pokonuję na czworakach odległość między mną a moim telefonem i biorę go w dłonie. Przez cały ten czas zupełnie o nim zapomniałam. Nawet nie wiedziałam, że wciąż trzymałam go w dłoni, kiedy tu uciekałam. Musiałam go upuścić w momencie, w którym myślałam, że z przerażenia zwrócę całą zawartość żołądka.

Pierwszym, co chcę zrobić tuż po odblokowaniu ekranu, jest wybranie numeru Nancy albo Paula. Rozmyślam się jednak szybko, ponieważ uświadamiam sobie, że Jim nie może usłyszeć, że z kimkolwiek rozmawiam.

– Jesteś tam, kochanie? – pytam spokojnym, opanowanym głosem, żeby w żaden sposób nie wzbudzać jego podejrzeń.

Wchodzę w wiadomości od przyjaciółki i jestem zaskoczona ilością tych nieprzeczytanych. Tak długo ignorowałam nieustające wibracje, że w końcu całkiem przestałam zwracać na nie uwagę. Cholera, mogłam się domyślić, że niepotrzebnie nie atakowałyby mnie ciągłymi telefonami. Przewijam palcem do góry, żeby odczytać pierwszą z nich:

Odbierz ten pieprzony telefon! PILNE!!!

– Zastanawiam się, czy mogę ci wierzyć – odzywa się w końcu Jeffrey. Może i jest szalony, ale także inteligentny. Jeśli chcę sprawić, żeby mi uwierzył, muszę być bardziej przekonująca. – Bardzo chcę znowu ci zaufać, ale skąd mam wiedzieć, czy kolejny raz mnie nie oszukasz? Skąd mam mieć pewność, że nie odejdziesz do niego przy pierwszej lepszej okazji?

Najszybciej jak potrafię przebiegam wzrokiem po ekranie telefonu, aż docieram do ostatniej wiadomości, którą wysłała mi przyjaciółka:

Przypadkiem dowiedziałam się, że Rhys wsiadł w swój prywatny samolot jeszcze przed naszym wylotem! Jestem pewna, że nie wyleguje się teraz na Malediwach, tylko czeka na twój powrót. Uważaj na siebie, bo ani trochę mi się to nie podoba i, do cholery, odezwij się jak najszybciej!

Zamieram na moment po odczytaniu tych kilku zdań, ignorując głos z tyłu głowy, który namawia mnie do utrzymywania konwersacji z Jimem.

– Mel?

Kręcę głową, wracając na ziemię.

Odchrząkuję, po czym mówię:

– Dobrze wiesz, że on z tego nie wyjdzie – zauważam, pamiętając, że Jeffrey wciąż nie wie, kto tak naprawdę leży w szpitalu. – Nawet ci nie pogratulowałam świetnego planu. Załatwiłeś go tak, że już więcej nie będzie nas niepokoił. Będziemy mogli żyć spokojnie, tylko ty i ja. Co ty na to?

Jesteś teraz z Paulem?, wystukuję szybko na klawiaturze i wysyłam.

Na szczęście zasięg tutaj jest doskonały, dzięki czemu nie mam żadnych problemów z siecią. Przechodzą mnie ciarki, kiedy Jim zaczyna się śmiać. Jest to tak bezduszny dźwięk, że mrozi mi krew w żyłach, a każdy włoszek na moim ciele staje dęba.

– Dziękuję – mówi, nie kryjąc dumy. – Muszę przyznać, że Lou na początku nie pochwalał mojego pomysłu. Właściwie długo mnie od niego odwodził, ale w końcu udało mi się go przekonać. Nie powiem ci, w jaki sposób mi się to udało, bo było to nieco okrutne, ale najważniejsze, że odniosło zamierzony skutek. Nie ma rzeczy, której bym dla ciebie nie zrobił. Mam nadzieję, że to docenisz.

Przełykam głośno ślinę. Czy Louisowi stało się coś złego? Słowa Jima brzmią mocno podejrzanie, ale na razie nie mogę zapytać go o to wprost. Jeszcze nie uwierzył w moje nagłe „nawrócenie”, a swoją dociekliwością mogłabym tylko wszystko zepsuć.

Patrzę na telefon: *tak*, wyświetla się odpowiedź Nancy.

– Nawet nie wiesz jak bardzo. – Niemal każde słowo sprawia mi fizyczny ból. – Jestem pod ogromnym wrażeniem twojego planu, a to, że byłam twoim motorem napędowym do działania niesamowicie mi schlebia i sprawia, że przez to kocham cię jeszcze bardziej.

Potrzebuję pomocy, Johnson. Jestem zamknięta w hotelowej łazience i próbuję zrobić wszystko, żeby Jim mnie nie zabił. Nie żartuję!!! Pokaż tę wiadomość Paulowi. Może on wpadnie na pomysł, jak mi pomóc. Zaraz wyślę ci dokładny adres. Naciskam wyślij i tuż po tym wpisuję szybko adres hotelu, który także szybko wysyłam.

– Kochasz mnie – mówi Jim, jakby testował te dwa słowa. – Wcześniej też tak twierdziłaś, a mimo to odeszłaś. Jest tylko jeden sposób, żebyś mogła to udowodnić.

Po zablokowaniu ekranu odkładam telefon na podłogę.

Boję się zadać to nieuniknione pytanie, ale muszę to zrobić:

– Jaki? – Nie potrafię ukryć drżenia głosu, mimo że bardzo się staram. Mam tylko nadzieję, że Jeffrey jakimś cudem tego nie słyszy i nie domyśla się, jak bardzo mijam się z prawdą, karmiąc go tymi wszystkimi kłamstwami.

– Otwórz drzwi i wróć do mnie – mówi dokładnie to, czego najbardziej się obawiam.

Cholera, i co teraz? Mój instynkt samozachowawczy nakazuje mi pozostać tu, gdzie jestem i nie wystawiać czubka nosa poza granice mikroskopijnych rozmiarów łazienki. Naprawdę chciałabym to zrobić: zostać tu, przeczekać sztorm, który nieświadomie rozpętałam. Wiem jednak, że tak się nie da. Nie uda mi się zwodzić go w nieskończoność, czekając na ratunek, który w ogóle może nie nadejść. W końcu Jim straci cierpliwość. Jestem pewna, że wyważenie drzwi nie sprawi mu dużej trudności, a gdy to się stanie, dokończy dzieła, które zaczął. Oczywiście nie mam żadnej pewności, że nie zrobi tego tuż po tym, jak stąd wyjdę, ale nie mam innego wyjścia. Kładę dłoń na kluczu, a chłód stali dosłownie parzy moją skórę. Trzy głębokie

oddechy, a później rozlega się donośny zgrzyt przekręcanego klucza w zamku i drzwi się otwierają.

Niepewnie spoglądam na stojącego w nich Jima, z ulgą przyjmując fakt, że w jego czerwonych od płaczu zielonych oczach nie widać już obłądu. Wzdrygam się, gdy wyciąga dłoń w moją stronę, spodziewając się najgorszego, ale on tylko przyciąga mnie do siebie, po czym zamyka w mocnym uścisku. Wciąga w nozdrza mój zapach, jedną dłonią gładząc plecy, a drugą mocno przyciska moją głowę do swojej klatki piersiowej. Raz po raz całuje moje włosy, mamrocząc coś niezrozumiale. A ja tkwię w jego uścisku całkowicie sparaliżowana i nie jestem w stanie wykonać nawet najmniejszego ruchu. Zaciskam mocno powieki, zapominając o tym, że powinnam oddychać. Umysł podpowiada mi, że mogłabym wykorzystać chwilę, w której Jim znów jest sobą i wiać najdalej jak się da, ale moje ciało w ogóle mnie nie słucha.

Jeffrey cofa się, wciąż trzymając mnie w ramionach, a moje stopy bezwładnie suną po podłodze. Jeśli w jakikolwiek sposób przeszkadza mu moja bierna postawa, to ani trochę tego nie okazuje. Czuję, jak się obracamy, a po chwili moje plecy dotykają miękkiego materaca łóżka. Chcę zwinąć się w kulkę, lecz Jim jest tak blisko mnie, że skutecznie mi to uniemożliwia. Przywiera do mnie całym ciałem, obsypując pocałunkami moją twarz. Mimowolnie wykręcam się, błagając w myślach, żeby przestał, ale wtedy boleśnie chwyta kciukiem i palcem wskazującym moją twarz na wysokości ust i ściska mocno. Otwieram szeroko oczy pod wpływem bólu, który rozchodzi się po moich policzkach i napotykam przenikliwe spojrzenie zmatowiałych tęczęwek.

– Dlaczego płaczesz? – pyta, po czym przygryza mocno moją dolną wargę.

Dopiero teraz uświadamiam sobie, że całe policzki mam mokre od łez. Nawet nie pamiętam, w którym momencie spłynęła pierwsza z nich. Nie mam zielonego pojęcia, co mu odpowiedzieć. Uwalnia moją twarz z uścisku, kiedy bezgłośnie poruszam ustami.

– Przepraszam. – Czuję w ustach metaliczny posmak własnej krwi. – To z emocji.

Ile czasu może zająć Paulowi dotarcie tutaj? Próbuję przypomnieć sobie, jak długo mi to zajęło, ale w tej chwili nie jestem w stanie tego zrobić. Pamiętam tylko, że jeździłam taksówką po całym mieście niemal cały dzień, w ciszy rozglądając się za odpowiednim miejscem, w którym mogłabym zatrzymać się na jakiś czas. Po tym, jak wjechaliśmy w tę dzielnicę, podziękowałam taksówkarzowi, zapłaciłam horrendalnie wysoką kwotę, której oczywiście się spodziewałam i zameldowałam się w hotelu. W tamtej chwili najmniej ważny był dla mnie czas czy pokonana odległość, żeby tu się znaleźć. *Rozmawiaj z nim*, mój wierny, wewnętrzny głos przywołuje mnie do porządku. Tylko jak mam to zrobić, skoro każdą komórką ciała czuję, że nie uda mi się wyjść z tego cało?

– Mel – jęczy prosto w moje usta, wpijając się w nie.

Jego wargi są ohydne i zimne. Napierają na moje, domagając się odwzajemnienia, którego nie jestem zdolna z siebie wykrzesać. Stać mnie jedynie na minimalne rozchylenie ust. To wystarcza, żeby jego język wdarł się do środka. Wpycha go tak głęboko, że niemal się dławię i całą siłą woli powstrzymuję się, żeby mu go nie odgryźć. Odrywa się ode mnie, po czym warcząc, zdejmuje mi przez głowę bluzę razem z T-shirtem, pod którymi nie mam nic, ponieważ

po kąpieli nie mogłam się zmusić do założenia brudnej bielizny. Wciąż liczę na to, że za chwilę zjawi się ktoś, kto mnie uratuje, dlatego pozwalam mu robić ze sobą, co mu się podoba.

Wszystkie uczucia, złość, strach, wstyd, obrzydzenie i upokorzenie, odsuwam najdalej, jak potrafię. Leżę bezwładnie, w spokoju przyglądając się, jak długie palce Jeffreya suną od moich nagich piersi przez brzuch, aż zatrzymują się przy guziku spodni. Pokrywa mnie gęsia skórka i nagle robi mi się potwornie zimno. Przez moją głowę przelatuje myśl, czy nie kazać mu przestać i najzwyczajniej poprosić, żeby mnie zabił. Nie chcę, by moim ostatnim wspomnieniem był seks z mężczyzną, który jest ucieleśnieniem czystego zła. Nie robię tego jednak, dając sobie ostatnie dziesięć minut

To takie zabawne. Miałam pisać nową historię, a tymczasem każda upływająca sekunda odbiera mi nadzieję na szczęśliwe zakończenie, które dla siebie wymyśliłam. *Nancy i Paul się pojawiają*, powtarzam w myślach jak mantrę. Muszę tylko zagrać czasem najlepiej, jak potrafię. Jęk rozpaczony wyrywa się z moich ust w tym samym momencie, w którym Jim rozpiną guzik moich spodni, a następnie zsuwa mi je z bioder. On jednak odbiera go jako coś zupełnie innego i mruczy z zadowoleniem, dotykając mnie. Przetrwam to, mimo że mam ochotę zwymiotować prosto na jego twarz. Jego dotyk brzydzi mnie do tego stopnia, że skóra boli mnie w miejscach, w których łąduje jego dłoń. W końcu nie chcąc pozwolić mu zajść za daleko, podnoszę się i wciągam spodnie na tyłek, ale dla niepoznaki guzik pozostawiam rozpięty.

Jim patrzy na mnie pociemniałym z pożądania wzrokiem i pozwalając mi przejąć kontrolę, obraca się na plecy. Siadam na nim okrakiem, rozglądając się uważnie w poszukiwaniu przedmiotu, którym mogłabym unieszkodliwić go przynajmniej na kilkanaście sekund. Niestety nic takiego tutaj nie ma, żadnej lampki na stoliku nocnym czy wazonu z kwiatami. Pochylam się, unikając jego wzroku i z czułością, na jaką tylko mnie stać, gładzę jego klatkę piersiową, wsuwając dłonie pod niebieską koszulę. Sunę ich wewnętrzną stroną w dół, całując go nieustannie. Właściwie nie można tego nazwać całowaniem. Po prostu przykładam nieruchome usta do jego, pozwalając mu myśleć, że w ten sposób daję mu nad sobą górować.

Guzik po guziku rozpinam jego koszulę i robię to tak wolno, jak tylko mogę. Unosi głowę, więc ja odchylam swoją, dając mu dostęp do swojej szyi. Dłońmi mocno ściska moje piersi, a językiem sunie w górę i w dół po moim ciele. Zaciskam usta w wąską kreskę, tłumiąc okrzyk bólu w chwili, w której jego zęby ponownie przecinają moją skórę. Mam ochotę go zabić. Sprawić, żeby przestał istnieć i nigdy więcej go nie oglądać. Znowu zaczyna mnie całować, omijając miejsce, z którego zaczyna sączyć się krew.

Otwieram oczy i wtedy ją zauważam. Stoi na podłodze zaledwie pół metra ode mnie. Jest tak blisko, na wyciągnięcie ręki.

– Nie spiesz się, kochanie – szepczę prosto w jego usta. – Chcę się tobą nacieszyć.

Powolnymi ruchami ściskam udami jego biodra, zmuszając go, żeby przesunął się bliżej krawędzi materaca. Jedną dłonią chwytam jego nadgarstek, po czym zsuwam jego rękę na swoje krocze, ignorując wstręt, jaki czuję w chwili, gdy zaczyna wykonywać ruchy mające na celu doprowadzić mnie do ekstazy. Wydaję z siebie ciche, udawane jęki przyjemności, a wolną ręką sięgam za materac.

Kiedy udaje mi się chwycić szyjkę pustej butelki, nie waham się ani przez chwilę. Od razu podnoszę ją wysoko w górę i z całą siłą uderzam w zszokowaną twarz Jima. Wydaje z siebie ogłuszający krzyk bólu, lecz ku mojemu zdziwieniu wcale nie traci przytomności. Wierzga podę mną, próbując zrzucić mnie z siebie, więc uderzam jeszcze dwa razy, a grube szkło z głuchym odgłosem odbija się raz od jego policzka i raz od czoła. Udaje mi się go ogłuszyć.

Przestaje się ruszać, więc zeskakuję z niego, wyrzucając butelkę. Chwytam w locie bluzę, po czym biegnę do drzwi, nie dbając o to, że nie mam na sobie butów, a mój telefon został w łazience. Nie zabieram także żadnych dokumentów, ponieważ w tej sytuacji każda sekunda jest dla mnie na wagę złota. Wyciągam rękę w stronę klamki, ale nie udaje mi się jej chwycić. Długie, męskie palce boleśnie zaciskają się na moich ramionach i odciągają do tyłu, odwracając do siebie.

– Ty suko! – krzyczy Jim, a jego napuchnięta twarz przypomina czerwony balon. – Ty kłamliwa suko!

Wrywam się z jego uścisku, cofając o kilka kroków. Już nie próbuję uciekać, bo dobrze wiem, że ostatnia szansa na ratunek przepadła bezpowrotnie. *To koniec*. Uśmiecham się na myśl, co się stanie z Jeffreyem po tym, jak Rhys dowie się, co mi zrobił. Jestem pewna, że należycie mnie pomści, a ja z satysfakcją będę przyglądać się wszystkiemu z góry, popijając mojito w towarzystwie babci.

– Pierdol się, Jim! – wyrzucam pod wpływem emocji, wiedząc, że już nie mam nic do stracenia. – Naprawdę tak bardzo chcesz prawdy? – pytam, patrząc mu prosto w oczy. Już się go nie boję. Nie czuję nic poza współczuciem dla tego zniszczonego wraku człowieka, jakim się stał. – Jesteś słaby. Żaloszny i słaby. Wcale nie zostawiłam cię dla Rhysa. Odeszłam od ciebie, bo nigdy nie dałbyś mi tego, czego pragnęłam. Gdybyś tylko wiedział, jak bardzo cię w tej chwili nienawidzę, nie byłbyś w stanie tego udźwignąć. Nienawidzę cię, Jim. Nienawidzę cię. Nienawi...

Urywam, kiedy jego pięść odbija się od mojej twarzy, a siła uderzenia jest tak duża, że moja głowa obraca się w drugą stronę. Chwieję się na nogach, próbując utrzymać równowagę, ale w końcu upadam na podłogę. Dopiero teraz czuję ból rozchodzący się wzdłuż mojej szczęki przez szyję aż do kości ogonowej. Wciąż przyciskam bluzę do nagiej klatki piersiowej, a moim jedynym marzeniem jest to, żeby ją po prostu włożyć.

– Nienawidzę cię – powtarzam z przekonaniem przygotowana na kolejne ciosy.

Te jednak nie nadchodzą. Jeffrey widzi, że nie mam zamiaru z nim walczyć, widzi, że się poddałam. Z krzywym uśmiechem klęka naprzeciw mnie, a jego dłonie kolejny już raz zaciskają się na mojej szyi. Wydaje mi się, że teraz jego twarz jest jeszcze bardziej spuchnięta, o ile w ogóle to możliwe.

– To się świetnie składa – cedzi przez zęby ubrudzone ciemnoczerwoną krwią – bo ja nienawidzę cię jeszcze bardziej.

Z ogromną siłą zaciska palce wokół mojej krtani. Otwieram usta, poddając się temu straszemu uczuciu, jakie mi towarzyszy. Czuję się jak więzień we własnym ciele. Wszystko we mnie krzyczy: „oddychaj!”, ale nie potrafię tego zrobić. To boli. Nie spodziewałam się tego, że

będę czuć tak dotkliwy, fizyczny ból. Moje ciało drga kilka razy, kiedy mózg przekazuje mi impuls, że ma walczyć, lecz w końcu ono także się poddaje. Powoli odpływam. Zaczyna spowijać mnie ciemność. Ostatnim, co słyszę, jest donośny huk dobiegający zza moich pleców. A może tylko go sobie wyobrażam? Nie wiem. Zamykam oczy i po prostu zasypiam, a moje usta układają się w cztery litery, które wryły się w moje serce jak tatuaż w skórę i po których rany nigdy nie zdążą się zagoić.

– Rhys – szepczę, umierając z imieniem ukochanego na ustach.

Rozdział 15

Moje bezwładne ciało mocno uderza o podłogę. Nie czuję bólu. Słyszę, że ktoś krzyczy. Jakiś mężczyzna. Znam go, lecz choć bardzo próbuję sobie przypomnieć, kim jest, mój mózg odmawia posłuszeństwa. Czyjeś dłonie dotykają mojej twarzy. Są delikatne i przyjemnie chłodne, przez co od razu przypomina mi się Helen, która co wieczór układała mnie do snu, w podobny sposób, gładząc moje policzki. *Oddychaj!*, wrzeszczy głos z tyłu głowy. Nie słucham go, chociaż czuję, że za moment moje płuca dosłownie wybuchną.

Nie wiem, gdzie się podział Jim, ale jego palce nie miażdżą już mojej krtani. Jest tak strasznie głośno, że jeszcze chwila i tego nie wytrzymam. Wiem, że jeszcze nie umarłam, mimo że od śmierci dzieli mnie jedynie kilka minut. Czuję to całą sobą i mam ochotę przywitać ją jak starą przyjaciółkę, oddając się w jej ręce. Jednak wtedy słyszę czyjś rozdzierający krzyk, a tuż potem dwa wystrzały z pistoletu. I kiedy uświadamiam sobie, że ten krzyk należy do mojej przyjaciółki, mimowolnie otwieram usta, gwałtownie wypełniając płuca powietrzem.

Nagle wszystko wokół cichnie, a ja powtarzam czynność jeszcze kilka razy, ale mam wrażenie, jakby Jim wciąż zaciskał dłonie wokół mojej szyi, odcinając dopływ tlenu. Zaczynają wstrząsać mną drgawki, nad którymi nie potrafię zapanować. Jestem więźniem własnego ciała, który za wszelką cenę chce przerwać ten koszmar.

– Spokojnie, Mel – słyszę kojący głos Nancy. Jej dłonie wsuwają się pod moje pachy, po czym z niezwykłą łatwością podciągają mnie do góry, układając moją głowę na szczupłych udach. – Już go nie ma. Oddychaj, po prostu oddychaj.

Tak bardzo skupiam się na jej słowach, że po samym sposobie ich wypowiedzania z łatwością rozpoznaję, jak bardzo jest zdenerwowana. Delikatnie gładzi moje włosy, ale jej ruchy są mechaniczne, jakby wykonywała je zupełnie nieświadomie, a myślami była daleko stąd. Nawet nie wiem kiedy udaje mi się uspokoić oddech, ale jestem wdzięczna, że nie muszę już o niego walczyć. Ktoś trzyma mnie za dłoń, więc próbuję nią poruszyć, ale nie udaje mi się to. Nawet nie mam siły, żeby unieść powieki. Wokół wciąż jest cicho. Słyszę jedynie szybkie oddechy otaczających mnie ludzi.

– Musimy ją stąd zabrać – mówi Paul. Czuję, jak się do mnie zbliża. Gdy płynnym ruchem ręki odchyła moją głowę do tyłu, wydaję z siebie cichy jęk bólu, który nagle rozchodzi się po moim gardle, promieniując w dół do klatki piersiowej. – Najlepiej do szpitala.

Mam ochotę zaprotestować, ale na szczęście ktoś inny robi to za mnie.

– Wykluczone – odzywa się mój dziadek. – Zabieram ją do domu.

Co tu robi Hudson? To jego głos usłyszałam jako pierwszy po tym, jak zamek drzwi został rozstrzelany po to, żeby dostać się do środka. To on mnie uratował. Wydaję z siebie kolejny jęk, lecz tym razem nie jestem do końca pewna, z jakiego powodu. Próbuję zabrać dłoń, ponieważ już wiem, kto ją trzyma. W efekcie udaje mi się tylko nieznacznie poruszyć palcami.

– Musi zobaczyć ją lekarz – oponuje White. – Spójrz na nią, potrzebuje fachowej opieki.

Dziadek mocniej ściska moją rękę, co jest jedyną oznaką tego, że wszystko w nim buzuje, bo kiedy się odzywa, jego głos pozostaje spokojny i opanowany:

– To moja wnuczka. Wierz mi, że zapewnię jej najlepszych specjalistów, jakich tylko uda mi się znaleźć. Poza tym dostałeś ode mnie tyle pieniędzy, że nie powinno być dla ciebie problemem dogłębienie jej, dopóki nie ściągnę ich do siebie.

– Naturalnie, ale...

– Nie pozwolę ci jej zabrać – niespodziewanie mówi Nancy, przerywając lekarzowi. – Nie po tym, co jej zrobiliście.

Zwraca się do Hudsona i jest przy tym tak stanowcza i pewna siebie, że naprawdę mi imponuje. Po tym, jak ją traktowałam, kiedy próbowała mi pomóc, mogłaby powiedzieć, że ma tego dość i wrócić do swojego życia, zostawiając mnie w bałaganie, którego narobiłam przez swoje nieodpowiedzialne decyzje. Ona jednak wciąż trwa przy moim boku, walcząc o mnie jak lwica.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz, dziecko. A teraz odsuń się i pozwól mi zabrać ją tam, gdzie będzie bezpieczna. Chyba wszyscy tego dla niej chcemy, prawda? Spójrzcie tylko, co z nią zrobiliście. To, co się stało, jest waszą winą. Nie dopilnowaliście jej, mimo że oboje przyjęliście spore sumy, żeby mieć ją na oku. Zaczynam podejrzewać, że wcale nie zależało wam na niej, a na pieniądzach.

O czym ty mówisz?, chcę zapytać.

Dziadek zapłacił Nancy i Paulowi za to, żeby mnie pilnowali? Karuzela uczuć rozkręca się we mnie na dobre. Złość, smutek i rozczarowanie przeplatają się ze sobą, tworząc monochromatyczną, ciemną mozaikę przed moimi oczami. Wcale nie mam za złe Hudsonowi, że wpadł na tak idiotyczny pomysł. Za wszelką cenę chciał mieć kontrolę nad moim życiem, pozwalając mi myśleć, że jest zupełnie na odwrót, że się uwolniłam. Jest osobą, która nie znosi, gdy się ją lekceważy. Mogłam się po nim spodziewać takiego zachowania. Nie rozumiem tylko, jak moi przyjaciele mogli się na to zgodzić.

– Ty...

Zdradzili mnie tak łatwo, wyceniając naszą znajomość na parę tysięcy dolarów. Powierzyłam im większość sekretów, odsłaniając spory kawałek swojej duszy, a oni tak łatwo dali się omamić człowiekowi, który w ostatnim czasie wyrządził mi tyle krzywdy.

– Nancy – upomina Paul, zanim ta posunie się za daleko.

Podnosi się wzburzona, zsuwając moją głowę z powrotem na twardą podłogę, a mi w końcu udaje się otworzyć oczy.

– On robi to specjalnie, Paul – wyrzuca z siebie. – Wie, że ona nas słyszy. Chce, żeby nas znienawidziła. Doskonale wiesz, co przez niego przeszła i chcesz pozwolić mu zabrać ją z powrotem do tego piekła.

Pomieszczenie wypełnia tak ostre światło, że mija kilka, może nawet kilkanaście sekund, zanim mój wzrok zacznie rozpoznawać kontury osób, następnie ich twarze. Przyglądam się w ciszy każdemu z osobna, w ogóle nie dając o sobie znać.

– Przestań wciąż zarzucać mi, że robię jej krzywdę! – unosi się dziadek. Puszczając moją dłoń, po czym wsuwa rękę pod moje kolana, a drugą pod plecy i z łatwością wstaje ze mną w objęciach. – Nigdy nie zrobiłbym nic, co by jej zaszkodziło – dodaje już nieco spokojniej. – Zabieram ją do domu.

Zróbcie coś!, błagam w myślach, wciąż nie mogąc wydobyć z siebie głosu.

Hudson rusza do drzwi, nad którymi widnieją dwie dziury po kulach, na co Nancy natychmiast wyskakuje przed nas, blokując drogę.

– Nie pozwolę ci jej zabrać – powtarza, rozkładając ręce i kładzie dłonie po obu stronach ramy.

Posyłam jej spojrzenie pełne wdzięczności, ale wtedy odzywa się Paul, a każde z jego słów jest dla mnie jak policzek wymierzony przez niego osobiście:

– Prince ma rację. – Jego głos jest zrezygowany, brzmi zupełnie, jakby się poddał. – To koniec, Nancy. Nic więcej nie możemy dla niej zrobić.

Pozwalam jednej łzie wymknąć się z oka, spłynąć po skroni i na dobre zginąć w ciemnych włosach. Niespokojnie poruszam głową, a z mojego gardła wydobywa się niezrozumiały nawet dla mnie samej charkot. Już nie wiem, czy jestem tak bardzo ranna, czy zapomniałam, jak się mówi, ale nie mogę pogodzić się z tym, że z taką łatwością rezygnują ze mnie ludzie, którzy mieli trwać przy moim boku bez względu na wszystko.

– W takim razie jadę z wami. A swoje brudne pieniądze – zwraca się Nancy bezpośrednio do prawnika – dostaniesz z powrotem co do centa.

– Błagam – udaje mi się jakimś cudem wychrypieć, nieznacznie unosząc przy tym głowę – przestańcie.

Ich kłótnie w niczym mi nie pomagają, wręcz przeciwnie. Muszę je zakończyć, zanim dowiem się kolejnych rzeczy, o których nikt nigdy wcześniej mi nie wspomniał.

– Przepraszam – szepcze Nancy, przelotem dotykając ustami mojego chłodnego czoła. – Obiecuję, że wszystko ci wytłumaczę.

Zamykam oczy, wczuwając się w rytmiczne bujanie, w jakie wprawiają moje ciało kroki Hudsona. Czuję na sobie wzrok obcych osób, kiedy pokonujemy znaczną odległość. Nikt o nic nie pyta. Nikt nic nie mówi. Piekło, które zgotował mi mój były facet i w którego centrum się znalazłam, skończyło się. Przestało istnieć, a trwało dobrych kilka godzin. Dwie, może trzy... Nie wiem dokładnie. Dla mnie była to wieczność. Wciąż nie dociera do mnie, że jest już po wszystkim. Jestem bezpieczna. Otulona ramionami człowieka, którego się boję, ale który zrobiłby dla mnie naprawdę dużo. Słyszę dźwięk otwieranych drzwi samochodu, a chwilę później Hudson sadza mnie na fotelu. W chwili, w której ostrożnie zapina mój pas, na moją dłoń spada ciepła kropla wody. Nie, to nie woda. To...

– Jesteś bezpieczna – mówi cicho dziadek, dyskretnie pociągając nosem.

...łza. Hudson Prince płacze.

Otwieram szeroko oczy, żeby móc widzieć jego twarz, lecz już go nie ma. Zatrzaszkuje drzwi, po czym zajmuje miejsce za kierownicą obok mnie, a Nancy siada na tylnej kanapie, kładąc dłoń

na moim ramieniu. Jestem do cna wyczerpana. Zamykam oczy i zasypiam, zanim zdążymy nawet ruszyć z miejsca.

Budzę się z urywanym krzykiem, siadając gwałtownie. Rozglądam się po swojej dziecięcej sypialni w domu Hudsona, jakbym nie pamiętała, co tu robię. Jednak doskonale wszystko pamiętam. Każdy szczegół, każde słowo, każde uderzenie. Swoim odejściem zniszczyłam psychikę Jima. Stworzyłam potwora. A może był nim dużo wcześniej, tylko jak zwykle niczego nie widziałam? Podciągam kolana pod brodę, chowając twarz w dłoniach. Cała jestem złana zimnym potem, a dłonie i usta drżą mi z zimna, które czuję, mimo że przykrywa mnie kołdra. Kiedy ją odchylam, zauważam, że mam na sobie inne ubranie: miękki, wygodny dres, który z pewnością należy do mojej matki. Przecieram oczy, po czym przyglądam się cienkiemu, przyjemnemu w dotyku materiałowi w liliowym kolorze.

– Tak strasznie ostatnio schudłaś, że tylko to na ciebie pasowało – odzywa się Nancy z kąta pokoju, w którym ostatnim razem, gdy tu byłam, stały kartony.

Powoli odwracam głowę w jej stronę, posyłając jej nieśmiały uśmiech.

– Zdecydowanie zbyt często musisz oglądać mój goły tyłek. – Teraz słowa przychodzą mi o wiele łatwiej niż tuż po tym, jak postanowiłam, że jeszcze trochę powalczę o własne życie.

Johnson również się uśmiecha.

– Zdecydowanie – potwierdza, podnosząc się. Podchodzi do łóżka, po czym siada na jego brzegu. – Wyglądasz jak siedem nieszczęść. Proszę. – Wyciąga w moją stronę dłoń, na której spoczywa mój telefon. Kładzie go na kołdrze, ponieważ nie spotyka się z żadną reakcją z mojej strony. – Gdy znalazłam go w tej łazience, pomyślałam, że przechowam go dla ciebie, zanim wpadnie w niepowołane ręce.

– Co z Jimem? – pytam, wbijając wzrok w swoje dłonie ułożone na udach.

– Nie wiem, Mel. Zabrali go. Mam nadzieję, że sukinsyn zdycha w męczarniach. Żałuję, że nie udało mi się go zabić.

Przypominam sobie dwie dziury po kulach wbitych w ścianę w hotelowym pokoju.

– Naprawdę chciałaś go zastrzelić – nie dowierzam, podnosząc na nią wzrok i się uśmiecham.
– Jesteś niesamowita.

Na dźwięk moich słów zaciska usta w wąską kreskę. Jest coś, o czym mi nie mówi. Coś, co nie pozwala jej patrzeć mi prosto w oczy bez skrzępowania. Zastanawiam się, czy powinnam zapytać o to wprost, czy zaczekać, aż będzie gotowa, żeby mi to wyznać.

– To był impuls – mówi, uciekając wzrokiem gdzieś ponad moje ramię. – Jak dojechaliśmy na miejsce, wszędzie roilo się od policji. W ogóle nie chcieli nas wpuścić, ale Paulowi jakoś udało się ich przekonać. Nie mieliśmy pojęcia, w którym miejscu znajduje się ten przeklęty pokój dwadzieścia siedem, nie było czasu, żeby kogokolwiek o to pytać. Biegłam instynktownie, ale szybko cię odnalazłam. Jeffrey leżał na podłodze, skuty kajdankami i rzucał się na wszystkie strony jak dzikie zwierzę. Policjanci kazali nam przejść na drugą stronę pokoju, żeby w spokoju

mogli wyprowadzić tego psychopatę, który na widok Paula dostał jakiegoś szału. Boże, ten obłąkany wyraz twarzy zapamiętam chyba do końca życia... Zrobiliśmy, co kazali i wtedy cię zobaczyłam. Leżałaś na podłodze przykryta wielką, męską marynarką i się nie ruszałaś. Nie wiem, dlaczego założyłam, że nie żyjesz, ale właśnie tak pomyślałam. Coś we mnie pękło. Tak szybko wyrwałam broń Paulowi, że nawet nie zdążył zaprotestować. Strzeliłam temu sukinsynowi w plecy. Szkoda tylko, że tak spektakularnie chybiłam. Nie miałam pojęcia, że to takie trudne...

Żle się czuje z tym, że o mały włos nie zabiła drugiego człowieka, podczas gdy przyrzekała chronić i robić wszystko, żeby ratować życie. Mówi mi to wszystko, ponieważ pragnie rozgrzeszenia, którego nie jestem w stanie jej dać. Nie w tej chwili. Sama chciałabym wpakować kilka naboji Jimowi prosto w twarz.

– Hudson już tam był, kiedy się zjawiliście? – Potwierdza skinieniem głowy. – Jak to się stało, że się tam znalazł?

Wzdycha zrezygnowana, chowając twarz w dłoniach.

– Przepraszam – mamrocze zniekształconym głosem. – Musiałam powiedzieć mu, gdzie jesteś, gdybyśmy nie zdążyli. – Podnosi na mnie zielone oczy, w których maluje się skrucha. – Musiałam tak postąpić. Po prostu musiałam...

Zastanawiam się, komu jeszcze dała znać o tym, co się dzieje. Czy powiedziała także jemu? Jeśli tak, to dlaczego nigdzie go nie ma? W ogóle nie rozumiem tego, co zrobiła Nancy...

Jednak czy mogę ją winić za to, że chciała jedynie uratować mi życie? Nancy i Paul zjawiliby się o kilka minut za późno. Gdyby nie Hudson, najpewniej nie byłoby mnie już tu. Kładę się, wypuszczając powietrze z płuc. Staram się jak najmniej przełykać, bo ta czynność sprawia mi dotkliwy ból.

– Długo spałam? – pytam, wpatrując się w sufit.

Na razie postanawiam odpuścić wszystkie bolesne tematy, o których chcę jedynie zapomnieć.

– Nie – zaprzecza moja przyjaciółka, patrząc na ekran telefonu, który nagle jaśnieje. – Kilka godzin. Jest czwarta rano, właściwie mogłabyś jeszcze trochę pospać.

Kiwam głową, zamykając oczy, chociaż wiem, że i tak nie zasnę. Boję się snów, w których mój koszmar wydaje się nie kończyć. Boję się, że się z niego nie obudzę. Czuję, jak Nancy układa się obok mnie, a chwilę później jej oddech staje się spokojny i głęboki, co oznacza, że zasnęła. Zawsze powtarzała, że zanim odpłynie, mijają długie godziny i miała tak od dziecka. Teraz musiała być mocno wyczerpana, skoro udało jej się to w zaledwie kilka minut. Odczekuję jeszcze trochę, po czym podnoszę się z łóżka i nie robiąc zbędnego hałasu, idę prosto do łazienki. Na wszelki wypadek przekręcam klucz w zamku dwa razy. Wiem, że to głupie, bo Jim jest daleko stąd, najprawdopodobniej zamknięty w areszcie, z którego nie może zrobić mi krzywdy, ale działam instynktownie.

Staję przed lustrem, lecz zanim spojrzę na swoje odbicie, upewniam się, czy nikt za mną nie stoi. Mam nadzieję, że moja paranoja jest tylko chwilowa; że minie z czasem, ponieważ nie wyobrażam sobie żyć z ciągłym strachem o własne życie. Lekko rozchyłam usta, gdy spotykam własne spojrzenie intensywnie błękitnych oczu. Wyglądam o wiele lepiej, niż początkowo

zakładałam. Co prawda lewą część twarzy mam mocno opuchniętą, ale siniak na szczęście się nie pojawił. Na dolnej wardze widnieje brunatny, niemal czarny ślad w miejscu, w którym zęby Jeffreya przecięły moją skórę. Odgarniam kasztanowe włosy, zarzucając je na plecy i na chwilę wstrzymuję powietrze, przypominając sobie siłę, z jaką duże dłonie miażdżyły moje gardło. Rozległe, sine ślady rozlewają się niemal na całej powierzchni szyi, ginąc za liliowym materiałem bluzy, a tuż nad jej delikatną lamówką widnieje okrągły ślad zębów, po którym najpewniej zostanie blizna, która już zawsze będzie przypominać mi o tym, co się stało.

Zdejmuję ubranie, chcąc jak najszybciej zmyć z siebie ohydny zapach, jaki pozostawił po sobie Jim. Włączam wodę, następnie wchodzę pod jej lodowaty strumień, który niemal boleśnie uderza w moją nagą skórę pleców. Po chwili przyzwyczajam się na tyle, że prostuję się, odchylając głowę do tyłu i pozwalam, żeby zimna woda obmyła moją twarz z kropelek krwi Jeffreya, którymi opryskał ją, kiedy mówił, jak bardzo mnie nienawidzi.

Wciąż obwiniam się, że nie uderzałam butelką wystarczająco mocno lub o kilka razy więcej, żeby unieszkodliwić go na dłużej. Miałabym więcej czasu na ucieczkę. Może gdyby mi się udało, moja psychika nie ucierpiałaby tak mocno. *Daj sobie czas*, uspokajam się w myślach.

Odsuwam się spod strumienia, by dokładnie namydlić całe ciało, w niektórych miejscach szorując tak mocno, że omal nie ścieram sobie naskórka. Niestety nawet po tym, jak spłukuję z siebie pianę, chłód warg i dotyk niemal lodowatych dłoni Jima nieustannie mi towarzyszy, dlatego ponownie wyciskam na siebie połowę opakowania żelu i dokładnie myję każdy centymetr skóry. Uznając, że jestem wystarczająco czysta, wchodzę pod strumień wody, lecz przed tym ocieplam nieco jej temperaturę. Czuję się trochę lepiej, ale nie chcę jeszcze stąd wychodzić. Tutaj jestem bezpieczna. Wyobrażam sobie, że szyba, której właśnie dotykam obiema dłońmi, jest szczelną tarczą, która jest w stanie ochronić mnie przed dosłownie całym złem tego świata.

Zamieram, gdy zza drzwi łazienki dobiegają podniesione głosy. Przez szum wody nie jestem w stanie odróżnić padających słów, ale też nie potrafię się ruszyć, żeby ją wyłączyć. Przerazenie na nowo bierze nade mną górę i czuję, że zaraz zemdleję. Mój oddech jest szybki i płytki, kiedy głosy stają się wyraźniejsze, a ich posiadacze zbliżają się coraz bardziej. *Zamknęłaś drzwi na klucz*, przypomina mi głos z tyłu głowy. Nikt nie dostanie się do środka, chyba że... Odskakuję do tyłu, przywierając plecami do chłodnych kafelków w chwili, w której drzwi wypadają z futryny, a z moich ust nie wydobywa się nawet najmniejszy dźwięk.

Może moja tarcza jest w stanie ochronić mnie przed całym złem tego świata, ale nie przed nim. Odrywam się od ściany, stając pewnie na nogach i napotykam spojrzenie, z którego nawet z tej odległości odczytuję wszystkie malujące się w nim uczucia. Ze wszystkich przeważa jednak wściekłość tak silna, że wycieka niemal każdym porem jego ciała. Ale są też inne, widzę je wyraźnie, ponieważ po raz pierwszy odsłonił się przede mną całkowicie. Widzę miłość, pożądanie, czułość i znowu miłość.

Naszą miłość.

Rozdział 16

Pokonuje dzielącą nas odległość tak szybko, że nie jestem w stanie nawet mrugnąć okiem. Odsuwa drzwi, po czym wchodzi pod prysznic, nawet nie zdejmując ubrań. Chwyta moją twarz w dłonie, przesuwając kciukiem po krwawym śladzie na mojej dolnej wardze i uważnie śledzi każdy jej centymetr, a woda spływa po jego ciemnych włosach, twarzy oraz barkach, mocząc czarną koszulę. Niepewnie chwytam go dłońmi za nadgarstki, szukając wzrokiem jego spojrzenia, lecz on odchyła moją głowę do tyłu, przyglądając się zasinieniom, które zostawiły dłonie jego przyjaciela. Zamyka oczy na kilka długich sekund, a kiedy ponownie unosi powieki i nasze spojrzenia się krzyżują, nie jestem w stanie nic z nich wyczytać.

Żadne z nas się nie odzywa, mimo że w mojej głowie pojawiają się tysiące pytań. Po prostu stoimy, patrząc na siebie, a nasze klatki piersiowe unoszą się i opadają w tym samym tempie. Puszczam jego jedną rękę i kładę dłoń po lewej stronie jego torsu. Zauważam, że nie tylko nasze oddechy synchronizują się ze sobą, ale także bicie serc. Chcę zapytać, gdzie był przez ten cały czas. Chcę wiedzieć, dlaczego nie zjawił się, żeby mi pomóc. Skoro Nancy poinformowała o wszystkim Hudsona, Rhys także musiał wiedzieć, co się dzieje. Gdzie był przez te wszystkie godziny, kiedy ten psychopata więził mnie i swoim dotykiem bezpowrotnie niszczył moją psychikę, uśmiercając kolejne jej części jedna po drugiej?

Wiem, że w tej chwili czyta ze mnie jak z otwartej księgi. Otwiera usta, żeby coś powiedzieć, ale rozmyśla się w ostatniej chwili i tylko zbliża twarz do mojej. Nie całuje mnie jednak, jakby czekał na pozwolenie z mojej strony. Nie waham się ani chwili. Nieznacznie unoszę brodę, przesuwając dłonie na jego szyję. Nasze usta łączą się delikatnie, niepewnie.

Rhys jest wycofany, jakby się bał, że swoją bliskością mógłby zrobić mi krzywdę. A ja właśnie tylko tej bliskości potrzebuję, by ukoić ból rozdzierający moją duszę. Potrzebuję dźwięku bicia jego serca, dotyku ust, ciepłych dłoni na swoim ciele. Potrzebuję zapewnienia, że wszystko będzie w porządku. Pogłębiając pocałunek, próbując pokazać mu, że nic się nie zmieniło, ale on odsuwa mnie od siebie delikatnym, acz stanowczym ruchem, bo przecież tak naprawdę zmieniło się dosłownie wszystko.

Już nawet nie jesteśmy parą. Zerwaliśmy, a właściwie to ja zerwałam. Ponownie patrzę w te jego piękne, miodowe tęczówki i widzę w nich czyste współczucie oraz ból i coś we mnie pęka. Zaczynam płakać, pozwalając popłynąć gorącym łzom. Odsuwam się na tyle, na ile to możliwe w chwili, w której Rhys wyciąga rękę w moją stronę.

– Wyjdź – nakazuję pełnym od emocji głosem.

Nie chcę, żeby widział mnie w takim stanie. Jestem naga, pokiereszowana fizycznie i psychicznie, a on nie ma już prawa oglądać mnie w tak intymnych chwilach.

– Nie zostawię cię teraz. – W jego głosie jest coś, co sprawia, że jeszcze bardziej zalewam się łzami.

– Wyjdź, Rhys – powtarzam, tym razem bardziej stanowczo, zasłaniając ręką nagie piersi.

Patrzy na mnie z góry, jakby w ogóle nie rozumiał tego, co do niego mówię.

I nagle czuję złość, która natychmiast musi znaleźć ujście. Złość wywołaną jego obecnością. Do szału doprowadza mnie odległość między nami. To, że żadne z nas nie potrafi jej zmniejszyć. Jest we mnie tyle sprzecznych emocji. Chcę, żeby wyszedł tak samo mocno, jak znaleźć się w jego bezpiecznych ramionach, które nie tak dawno uważałam za swoje miejsce na ziemi. Za dom, z którego sama się wyprowadziłam. Czuję, że nienawidzę go tak samo jak siebie, a ułamek sekundy później mi wstyd, bo przecież kocham go całą sobą. Jeśli zaraz czegoś nie zrobię, wybuchnę.

I kiedy Motyl nie rusza się z miejsca, rzucam się na niego, okładając pięściami jego klatkę piersiową. Kilka ciosów jest tak silnych, że ten nieznacznie odchyła się do tyłu, ale jego stopy pozostają przyklejone do kafelków. Nie robi dosłownie nic, żeby powstrzymać atak moich pięści. Po prostu stoi ze spuszczoneymi wzdłuż ciała rękami i czeka, aż skończę, ani na moment nie spuszcza wzroku z mojej twarzy.

Czuję ulgę dopiero kilkanaście uderzeń później, lecz mimo to jeszcze parę razy walę z całych sił prawą pięścią w miejsce, w którym powinno znajdować się jego serce – narząd, nad którego istnieniem zastanawiałam się tak wiele razy. Bo chociaż słyszałam jego bicie, kiedy wtulałam się w jego właściciela, to często wydawało mi się, że jest po prostu zwykłym kawałkiem mięsa niezdolnym do żadnych ludzkich uczuć. Tymczasem wydaje mi się, że ono czuje o wiele intensywniej niż moje i chce kochać, ale jedynie na swój sposób. Zatrzymuję rękę w powietrzu, tracąc nagle całą energię, a kolana uginają się pode mną.

Opieram dłoń o pokrytą kropelkami wody szybę i znowu zaczynam płakać. Wtedy Rhys przyciąga mnie do siebie. Nie wiem, dlaczego opieram się temu, szarpiąc się na wszystkie strony, bo przecież tylko tego pragnę. W końcu poddaję się, pozwalając zamknąć swoje drobne ciało w jego silnych ramionach i roztrzęsiona szlocham w jego przyklejoną od nadmiaru wody koszulę. Przywieram do niego tak bardzo, żeby naszych ciał nie dzieliły nawet milimetry i zaciągam się głęboko jego kojącym zapachem. Oddycha głęboko, opierając się o ścianę, po czym zsuwa na podłogę, ani na moment nie wypuszczając mnie z objęć. Podciągam kolana, układając się pomiędzy jego udami i chowam twarz w zagłębieniu między jego szyją a obojczykiem.

– Kochanie, to boli – szepczę, połykając palące łzy. – To tak cholernie boli.

– Wiem – mówi równie cicho, co ja, zupełnie nie zwracając uwagi na strumień jednej z deszczownic spływający prosto na jego lewą stronę twarzy. – Być może już zawsze będziesz go czuć. Jeśli zechcesz, nauczę cię, jak sobie z nim radzić, żeby zbyt często nie dawał o sobie znać. Wybór należy do ciebie.

Całuje mnie we włosy, gładząc dłońmi nagą skórę moich pleców. Nie odpowiadam, chłonąc ukojenie płynące z jego ciała. To nie jest najlepszy moment na dokonywanie jakichkolwiek wyborów. Po prostu skupiam się na chwili obecnej, bo to jedyna słuszna rzecz, jaką mogę teraz zrobić. Zapomnieć na moment i kraść chwile złudnego szczęścia, jakie daje mi Motyl.

Nie wiem, jak długo siedzimy tak przytuleni, ale kiedy poruszam się niespokojnie, zauważam, że już nie płaczę. Jestem spokojna, a wszystkie złe emocje zniknęły jak za dotknięciem

czarodziejskiej różdżki. Rhys kolejny raz sprawił, że odciąłam się od wszystkich najbardziej bolesnych wspomnień, a zrobił to, nie czyniąc nic poza trzymaniem mojego kruchego ciała w ramionach. Oczywiście zdaję sobie sprawę, że one wrócą. Zapewne stanie się to szybciej, niż mi się wydaje, ponieważ sprawa jest zbyt świeża, ale Kocham go za to, że jest moim lekiem, którego na szczęście nie da się przedawkować.

– Wychodzimy? – pytam nieco ochryłym głosem, prostując się.

Wzrusza ramionami, a w jego miodowych oczach błyskają wesołe iskierki, na których widok moje serce przyspiesza bicie.

– Ty decydujesz – odpowiada, rzucając mi nieme wyzwanie, które od razu podejmuję.

Siadam na nim okrakiem, chwytając w dłonie jego twarz, następnie opuszczam poranione usta na jego wargi, a moje ruchy są powolne i delikatne. Nie spieszę się, czerpiąc jak najwięcej przyjemności ze smaku i dotyku jego pełnych ust. Zsuwam dłonie po jego szyi na klatkę piersiową, gdzie guzik po guziku rozpinam czarną koszulę. Pozbywam się tej części garderoby jeszcze po krótkiej walce z rękawami, które pod wpływem wody nie chcą zejść z umięśnionych przedramion. Nasze usta wciąż trwają w powolnym, namiętym tańcu. Jest to jeden z najpiękniejszych pocałunków, jakie przeżyłam z Motylem.

– Dotykaj mnie – proszę nieśmiało, wiedząc, że tylko jego dotyk jest w stanie wymazać z mojej pamięci natarczywe dłonie Jeffreya.

Rozpinam pasek jego spodni, a następnie guzik i zamek, po czym zsuwam je nieco, kiedy unosi biodra. Sunie dłońmi po moich łądkach w dół, zatrzymuje je na pośladkach, zaciskając na nich palce. Delikatna fala przyjemności zalewa moje ciało, kiedy bez ostrzeżenia wsuwa we mnie jeden palec i porusza nim boleśnie wolno. Mój jęk ginie w jego ustach, co jeszcze bardziej wzbudza moje pożądanie i sprawia, że za wszelką cenę muszę poczuć go w sobie. Odrywam się od niego na moment, a on, doskonale wiedząc, czego chcę, zabiera dłoń i z powrotem kładzie ją na moim pośladku. Biorę w ręce jego twardą męskość, po czym opuszczam się na nią, wypełniając się do ostatniego centymetra. Zaczynam poruszać biodrami nieporadnie i chaotycznie, jakbym zapomniała, jak to się robi.

– Spójrz na mnie – mówi półszepcetem Motyl, obejmując moją talię.

I kiedy moje błękitne spojrzenie napotyka jego pociemniałe z pożądania tęczę, odnajduję właściwy rytm oraz tempo, zaciskając się wokół niego coraz mocniej. Przyspieszam, czując, jak nasze poranione dusze łączą się w jedną całość i wymieniają wzajemnie swoim mrokiem, który jest w nas tak głęboko zakorzeniony. Z moich ust wydobywa się przeciągły pomruk przyjemności, wywołany nadchodzącym orgazmem. Rhys również jest blisko. W chwili, w której czuję ciepło spływające pomiędzy naszymi ciałami, on jednym sprawnym ruchem podnosi się na nogi, opierając mnie plecami o ścianę i tym razem to on zaczyna poruszać biodrami. Czuję go znacznie intensywniej, mimo że jego ruchy nie są szalenie mocne. Wbijam paznokcie dłoni w skórę na jego łopatkach, pragnąc, żeby przyjemność, którą mi daje, nigdy się nie kończyła. Jestem tak blisko, balansuję na krawędzi nieba.

– Kocham cię, Melody.

Poddaję się mu, a te trzy słowa doprowadzają mnie do ostateczności. Orgazm jest tak silny, że wstrząsa całym moim ciałem, a mój krzyk zostaje stłumiony dłonią Motyla, którą nie wiem nawet, kiedy na mnie położył. Porusza biodrami jeszcze kilka razy, po czym z sykiem wypełnia mnie swoim podnieceniem, opierając dłoń o ścianę tuż obok mojej głowy. Przykłada czoło do mojego mokrego od potu czoła, muskając ustami czubek mojego nosa. Oddycha równie szybko, co ja.

– Teraz możemy wyjść – mruczy, całując mnie, po czym wysuwa się ze mnie.

Opuszczam zdrętwiałe nogi na podłogę, zaplatając dłonie za jego szyję. Tak bardzo chciałabym powiedzieć, że także go kocham. Nie zrobię tego jednak, ponieważ byłoby to niczym innym, jak tylko pokazaniem mu, że wszystko, co zrobił, przestało mieć jakiegokolwiek znaczenie. Nie zrobię tego, dopóki raz na zawsze nie skończy ze wszystkimi kłamstwami, których napiętrzyło się między nami tak dużo, że sami zaczęliśmy się gubić w ich labiryncie.

– Gdzie Amelie i...

– Zamknęci w bezpiecznym miejscu – przerywa mi, odsuwając się ode mnie, po czym wciąga bokserki i spodnie.

Obmywam twarz ciepłą wodą, a następnie sięgam po ręcznik przewieszony przez przesuwne drzwi.

– Bardzo śmieszne – mówię, owijając się miękkim materiałem. Miałam rację. Jego dotyk wymazał z mojej pamięci wszystko, co związane z bliskością Jima, na którą musiałam pozwolić, żeby zwiększyć swoje szanse na zwycięstwo w walce z góry skazanej na porażkę. – Powinam załatwić ci jakieś ubranie, ale wątpię, żeby cokolwiek z rzeczy Hudsona na ciebie pasowało.

Rhys jest o wiele wyższy od dziadka i zdecydowanie lepiej zbudowany, ale może uda mi się znaleźć jakiś dres, w którym nie będzie wyglądał, jakby urwał się prosto z kreskówki o przerośniętym farmerze w słomkowym kapeluszu i za krótkich spodniach.

– Ja nie żartuję. – Odsuwa dużą szybę i pokazuje gestem, żebym szła pierwsza. – Dzięki, ale zawsze staram się mieć w samochodzie kilka rzeczy na zmianę, gdyby sytuacja tego wymagała.

Prycham, przekraczając wyważone drzwi leżące na podłodze, po czym przechodzę do swojej sypialni, która na pierwszy rzut oka wydaje się pusta.

– Rozumiem, że często zdarza ci się zmoczyć ubranie pod prysznicem jakiejś kobiety.

Gdy odwracam się na pięcie, omal nie wpadam na Motyla. Po tym, jak jakimś cudem udaje mi się go ominąć, wracam do nieco zdemolowanej łazienki po swoje ubrania, a właściwie ubrania mojej matki. Czuję złość na wspomnienie kobiet, które z niekrytą przyjemnością obłapiały jego ciało, ponieważ wtedy miało ono należeć tylko do mnie. I mimo jego zapewnień, że mnie nie zdradził, w mojej głowie wciąż jest tyle wątpliwości, że nie jestem w stanie mu uwierzyć. Nie spuszcza ze mnie wzroku, kiedy zatrzymuję się w znacznej odległości od niego. Zrzucam ręcznik, który upada u moich stóp, po czym szybko wciągam dopasowane spodnie, a następnie bluzę.

– Raz na jakiś czas. – Jest równie złośliwy, co ja.

Na małym, elektronicznym wyświetlaczu białego zegara stojącego na szafce nocnej obok łóżka odczytuję godzinę, mrużąc przy tym oczy. Dochodzi szósta. Dlaczego Amelie i Hudson

jeszcze nam nie przeszkodzili? Słyszałam ich krzyki, zanim Rhys wparował do mojej łazienki. A może to tylko Nancy krzyczała, a cała reszta to był jedynie wytwór mojej wyobraźni? Może wciąż śpią i nie mają pojęcia, co właśnie dzieje się pod ich dachem?

– Po tym, jak twoje dziewczyny do towarzystwa brudziły ci ciuchy kokainą i swoim makijażem, też się przebierałeś? – pytam, nie mogąc się powstrzymać.

Jednocześnie nie rozumiem, dlaczego widok jego dłoni ściskającej udo kobiety, która nie jest mną, boli mnie o wiele bardziej niż to, że tak mnie oszukał, pozwalając wierzyć, że umiera. Co jest ze mną nie tak?

Posyła mi spojrzenie pełne irytacji.

– To była gra – tłumaczy, zaciskając i rozprostowując na przemian palce dłoni. – Jestem pieprzonym bossem, na którego potknięcie czeka wiele osób, które muszą u siebie gościć. Musiałem zachowywać się tak, jak...

– Jakbym nie istniała? – wchodzi mu w słowo, krzyżując ręce na piersi i wyzywająco zadzieram brodę.

Dlaczego się z nim kłóć? Zaledwie kilkanaście godzin temu niespełna minuty dzieliły mnie od śmierci, a potrafiłam myśleć jedynie o nim. Przywołałam obraz jego twarzy i skupiałam się tylko na jej idealnych rysach, oczach w kształcie migdałów, nosie z niewielkim, niemal niezauważalnym garbkiem oraz pełnych ustach, a wszystkie jego czyny, które uważałam za niewybaczalne, przestały mieć jakiegokolwiek znaczenie w obliczu śmierci zagładającej mi w oczy.

– Jakbyś nie istniała – potwierdza. Na jego szerokich, umięśnionych barkach błyszczą kropelki wody i to właśnie im poświęcam całą uwagę, nie mogąc znieść jego palącego spojrzenia. – Zaraz wracam.

Omija mnie bez słowa, po czym znika za drzwiami pokoju, nie oglądając się za siebie. Jest zły, ale zaskakująco dobrze nad sobą panuje. Mam ochotę wyjść i poszukać Nancy, ale wiem, że Rhys zaraz wróci. Najpewniej nie będzie zadowolony, jeśli mnie tutaj nie zastanie. Podchodzę do łóżka, powłóczę nogami i opadam na nie. Zaraz po tym, jak orientuję się, że na czymś usiadłam, wyjmuję spod tyłka mój telefon, który wcześniej zostawiła tu moja przyjaciółka.

Gdy ekran rozjaśnia się, zauważam, że pozostało mi zaledwie sześć procent baterii, jednak zanim urządzenie się wyłączy, udaje mi się przeczytać wiadomość od przyjaciółki, którą wysłała prawie dwie godziny temu:

Pożyczyłam jeden z samochodów. Musiałam pojechać po papierosy, bo twój gangster poważnie nadszarpnął moje nerwy. Nie wiem, czy po tym wszystkim znajdziesz siłę na rzeczy, których nie chcesz być świadkiem, ale na wszelki wypadek nie będę się spieszyć. Do zobaczenia.

Uśmiecham się, wsuwając telefon pod poduszkę i w tym samym momencie Mariposa wraca do mojej sypialni.

– Próbujesz coś przede mną ukryć? – pyta, klękając obok łóżka.

Ma na sobie suchą, dżinsową koszulę i szare spodnie, a na stopach białe conversey. W takim wydaniu ani trochę nie przypomina głowy mafijnej działalności, a jedynie zwykłego, młodego mężczyznę, wokół którego rozpościera się ta dziwna aura tajemniczości, od początku

przyciągająca mnie jak magnes. Chwytam jego dłonie, splatając ze sobą nasze palce i kładę je na swoich udach.

– Lepiej powiedz, co ty przede mną ukrywasz. Poczekaj – mówię, widząc, że chce coś powiedzieć, po czym od razu ciągnę dalej: – Nie pójdziemy dalej, dopóki nie wyjaśnimy sobie wszystkiego. Straciłeś mnie przez swoje kłamstwa. Żeby mnie odzyskać, wymagam tylko jednego: prawdy.

Przygląda mi się przez dłuższą chwilę, jakby głęboko zastanawiał się nad sensem moich słów.

– Prawda odbierze mi cię bezpowrotnie – wyznaje, mocno ściskając moje ręce.

Kręcę głową.

– To niemożliwe. Nic nie będzie w stanie ci mnie odebrać, jeśli tylko się przede mną odsłonisz. Jestem cała twoja, duszą, ciałem i umysłem. Chcę należeć do ciebie do końca swoich dni. Chcę wciąż czuć ten przyspieszony rytm serca na widok twojego uśmiechu, drżeć pod dotykiem twoich dłoni. Chcę tylko ciebie i twojej miłości. Musisz tylko mi zaufać. Spróbuj. To naprawdę proste.

Pochyla się, całując każdą z moich dłoni.

– Co chcesz wiedzieć?

Wszystko.

– Od kiedy wiedziałeś o tym, że Amelie i Hudson powiązani są ze śmiercią Helen?

Jestem pewna, że wiedział o tym jeszcze przed odkryciem prawdy przeze mnie, choć do tej pory nie mam pojęcia, co dokładnie tego dnia się wydarzyło.

– Na długo przed poznaniem ciebie. Nie pojawiłem się w życiu twojej rodziny przypadkiem. Spółka ze Stonem, ukryte druczki w najróżniejszych umowach, w tym w tej o twój staż, znajomość z twoją babcią, to wszystko elementy planu, który dopracowywałem kilka lat, zanim zacząłem wdrażać go w życie. – Puszcza moje ręce, po czym kładzie się na łóżku, przyciągając mnie do siebie. – Pamiętasz historię mojej matki? – pyta, wpatrując się w sufit. Potwierdzam cichym mruknięciem, bojąc się, że jeśli się odezwę, on przestanie mówić. – Wszystko, o czym ci wtedy opowiedziałem, było prawdą. Przemilczałem tylko jeden, najistotniejszy szczegół, mianowicie, kim był mężczyzna, który w tak perfidny sposób ją zdradził, doprowadzając do jej śmierci. – Zaciskam powieki, kładąc głowę na jego tors i przestaję oddychać w oczekiwaniu na jego dalsze słowa. – To był syn właściciela najlepszej kancelarii w mieście, która bez względu na wszystko miała bronić interesów mojej rodziny. Już wtedy miał żonę i dziecko, ale nie przeszkadzało mu to rozkochać w sobie świeżo upieczoną wdowę z kilkuletnim dzieckiem. – *Boże, tylko nie to!*, błagam w myślach, ale wciąż milczę. – Długo nie mogłem pogodzić się z tym, że zostałem zupełnie sam, aż w końcu nauczyłem się żyć z tym ciągłym bólem po stracie osób, których właściwie niemal nie pamiętałem, a cień tego skurwysyna towarzyszył mi na każdym kroku. Nieustannie zastanawiałem się, co robi, gdzie jest, czy jest szczęśliwy. Aż pewnego dnia zobaczyłem go na pierwszej stronie jednej z gazet. Mimo upływu lat rozpoznałem go od razu. – Śmieje się smutno, a mnie ściska się serce. – Rysy jego twarzy wryły się głębiej w moją pamięć niż rysy twarzy mojej matki. Wpadłem w szal. Chciałem jak najszybciej odnaleźć go i zabić. Cecilio przekonał mnie jednak, że to byłoby za łatwe. Chciał, żeby ten mężczyzna

cierpiał tak samo jak my, dlatego podsunął mi pewien pomysł, na który niechętnie przystałem. Moi ludzie obserwowali go niemal dwa lata, zbierając wszystkie informacje, zanim osobiście postanowiłem pojawić się w jego życiu, żeby doszczętnie je zniszczyć.

Oddycham szybko, próbując przyswoić jak najwięcej informacji, których tak bardzo się domagałam.

– Ten mężczyzna... Czy to...

– Hudson – potwierdza moje największe obawy. – Chcesz słuchać dalej? – Przytakuję skinieniem głowy, ignorując uderzenia gorąca oraz kłujący ból w dole brzucha i zaciskam palce na dżinsowym materiale jego koszuli. – Pierwszym, co zrobiłem, było wyznanie wszystkiego twojej babci. Opowiedziałem jej każdy szczegół, przekazałem dowody zdrady Hudsona, które miała dla mnie przechować, a które po swojej śmierci przekazała tobie. Obiecała mi pomoc, jeśli to ja pomogę jej. Przysięgłem, że będę cię chronił, choć wcale nie miałem takiego zamiaru. Nienawidziłem cię, mimo że nawet cię nie znałem. I kiedy cię poznałem, straciłem dla ciebie głowę. Na chwilę nawet porzuciłem swój doskonały plan. Hudson i tak był już strzępkiem nerwów. Stone regularnie wyciągał od niego niebotyczne sumy, szantażując zdjęciami, które regularnie dostarczali mu moi ludzie, ale nigdy nie dawał stuprocentowej gwarancji, że mimo to jego sekret pozostanie bezpieczny.

– Dlatego Amelie sprzedała swój apartament – myślę na głos. – Potrzebowali pieniędzy, żeby zapłacić Stone'owi, a właściwie tobie.

– Między innymi – przyznaje, gładząc dłonią moje włosy.

Długo waham się, zanim zadam prawdopodobnie jedno z najważniejszych pytań w całym moim życiu, panicznie bojąc się usłyszeć odpowiedź. Wiem jednak, że muszę to zrobić, chociażby po to, żeby moja głowa przynajmniej raz dostała jasny obraz niezrozumiałych sytuacji, które niszczą mnie brakiem wszystkich elementów układanki. W momencie, w którym przed moimi oczami pojawia się zdjęcie twarzy martwej Helen, pytam:

– Co tak naprawdę wydarzyło się w dniu, w którym zginęła moja babcia, Rhys?

Serce mu przyspiesza, a ciało lekko się spina. Milczy chyba dłużej ode mnie, a ja z każdą kolejną sekundą tracę nadzieję na usłyszenie odpowiedzi. Już chcę błagać go choćby o kilka słów, lecz to on odzywa się pierwszy:

– Po tym, jak opowiedziałem Helen swoją historię, umówiliśmy się, że nie powie o niczym swojemu mężowi. Jednak ona nie wytrzymała zbyt długo. Nie znam szczegółów, bo nie byłem świadkiem ich rozmowy. Wiem, że się pokłócili. Wiem, że Hudson ją uderzył, przez co upadła. Razem z Amelie przewieźli Helen do jej domu za miastem. Resztę historii już znasz.

Mam ochotę krzyknąć, żeby zagłuszyć nieznośny pisk w uszach. Moje wszystkie przypuszczenia okazały się prawdziwe. Hudson jest mordercą. W momencie, w którym to do mnie dociera, wszystko cichnie, a duża gula w gardle znika. Spragniona kolejnych wyjaśnień czekam kilkanaście sekund, aż Rhys ponownie zacznie mówić, ale ten uparcie milczy. Niemal słyszę, jak jego mózg pracuje na najwyższych obrotach. Powiedział mi już tak wiele, jednak to wciąż za mało. Chcę wiedzieć wszystko.

– Co się stało, że jednak nie porzuciłeś swojego planu? – pytam niespodziewanie nawet dla samej siebie.

Myślałam, że babcia jest dla mnie najważniejsza. Myślałam, że po potwierdzeniu moich domysłów będę tak zszokowana prawdą, że nie będę w stanie myśleć o niczym innym. Tymczasem jest zupełnie na odwrót. Jestem spokojna, bo mam obok siebie Rhysa. Na policję mogę pójść w każdej chwili, a mając dodatkowe dowody nie muszę się bać, że nikt nie potraktuje mnie poważnie.

– Nie mogłem tego zrobić. Ten człowiek odebrał mi matkę; zniszczył życie, zanim w ogóle się zaczęło. Wydawało mi się, że jeśli ich znienawidzisz, będzie mi łatwiej go dokończyć. To ja powiedziałem Johnson o zaskakującym podobieństwie między tobą a twoim dziadkiem, kiedy byliśmy u niej. Zasugerowałem, że Amelie może coś łączyć z własnym ojcem. Jest bystra, wiedziałem, że szybko doda dwa do dwóch i prędzej czy później naprowadzi cię na właściwy tor. Chciałem, żebyś zaczęła wtykać nos nie tam, gdzie powinnaś. Wiedziałem, że jeśli się postarasz, szybko dowiesz się, co zrobili z twoją babcią. Nakierowywałem cię na prawdę tak długo, aż sama ją poznałaś.

– Udało ci się. Naprawdę ich nienawidzę. – Dlaczego tak wyraźnie słyhać wyrzut w moim głosie? Przecież to nie jego wina, że moi najbliżsi okazali się mordercami. – Przepraszam – dodaję tak cicho, że sama ledwie to słyszę.

Odsuwam się od niego, po czym kładę głowę na przedramieniu, chcąc dobrze widzieć jego twarz. On obraca się twarzą w moją stronę, układając na boku i także opiera głowę o rękę.

– I wcale nie czuję się z tym dobrze – mówi. Jedno spojrzenie w jego oczy wystarcza mi, żeby stwierdzić, że jego słowa są szczerze. – Melody, jesteś jedyną osobą na tym świecie, którą naprawdę kocham. Jedyną, dla której zrobiłbym wszystko.

Kładę dłoń na jego szorstkim policzku, gładząc go czule.

– Więc odpuść – proszę nieśmiało. Jeśli się tego nie spodziewał, to w żaden sposób nie daje tego po sobie poznać. Po prostu patrzy na mnie poważnym wzrokiem, a jego przystojna twarz nie wyraża żadnych emocji. – Jesteś od nich lepszy, potrafisz kochać. Udowodniłeś mi to nieraz. Wcale nie potrzebujesz dłużej ich krzywdzić. Właściwie jestem pewna, że dopóki nie przestaniesz tego robić, nie pójdziesz dalej. Dręczysz nie tylko Hudsona, ale także siebie. To cię niszczy, Rhys. – Podnoszę się, obracam go z powrotem na plecy i przechodzę przez niego, całując go przelotem, po czym staję przed łóżkiem, wyciągając dłoń w jego stronę. – Chodź – mówię, uśmiechając się. – Wiem, że to boli, ale jeśli tylko zechcesz, nauczę cię, jak sobie z tym radzić – powtarzam jego słowa, mrugając okiem.

Wstaje ze śmiechem, kręcąc głową. Przyciąga mnie mocno do siebie, po czym całuje namiętnie. Odpuścił. Dla mnie. Odwzajemniam pocałunek, czując przepełniającą mnie radość. Zapominam o złości, smutku i wszystkich kłamstwach. Zaczynamy od nowa, zrzucając z barków wgniatający w ziemię bagaż.

Nareszcie możemy iść dalej.

Razem.

Rozdział 17

Mechanicznym krokiem schodzę po schodach, ściskając mocno dłoń Motyla. Wciąż jestem zszokowana jego opowieścią, a mimo to czuję teraz pewnego rodzaju spokój. Dostałam to, czego chciałam, a nawet więcej. Dostałam Rhysa takiego, jakim jest. A jest pełen sprzeczności. Silny, lecz kruchy zarazem. Chłodny i wyniosły, ale czuły i pełen empatii. Bezduszny i bezwzględny, ale nie dla mnie. Wystarczyło jedno moje słowo, żeby porzucił swój doskonały plan, którego zakończenia żadne z nas już nie pozna.

Rozglądam się uważnie po pustym salonie.

– Gdzie wszyscy są? – myślę głośno.

Już dość późno, a nigdzie nie ma śladu dziadka ani mamy. Nie wierzę, że wyszli do pracy. Nie zrobiliby tego ze względu na okoliczności, w których się znalazłam. Właściwie to czułabym ulgę, wiedząc, że ich nie ma i nie muszę się z nimi żegnać ani oglądać ich zakłamanych twarzy, ale coś mi nie pasuje.

– Wybacz – mówi Motyl, puszcżając moją rękę, po czym szybkim krokiem rusza w stronę gabinetu dziadka – zupełnie o nich zapomniałem.

Zatrzymuje się przy drzwiach, sięga do tylnej kieszeni spodni, skąd wyjmuje klucz, po czym wkłada go do zamka i przekręca raz, następnie drugi.

– Nie żartowałeś, mówiąc, że są zamknięci – nie dowierzam zdumiona.

Hudson nigdy nie pozwoliłby mu zbliżyć się do mnie na tak długo, więc nie wiem, dlaczego założyłam, że Rhys robi sobie żarty.

Wraca do mnie, uśmiechając się szeroko.

– Byłem śmiertelnie poważny, skarbie. – Obejmuje mnie w talii, muskając ustami moją skroń.
– Idziemy czy masz ochotę na konfrontację? – pyta półszepem, patrząc za siebie przez ramię.

W tej samej chwili drzwi gabinetu otwierają się i pojawia się w nich moja matka.

– Czy ty w ogóle masz pojęcie, kim my jesteśmy? – pyta z pozoru spokojnym głosem, ale gołym okiem widać, że jest wściekła. W ułamku sekundy pokonuje dzielącą nas odległość, zatrzymując się jakiś metr dalej. Unosi palec wskazujący i celuje jego czubkiem prosto w twarz Mariposy. – Myślisz, że uda ci się nas zastraszyć? Jesteś głupcem. Nawet nie zdajesz sobie sprawy, z kim zadarłeś.

Przywieram do niego jeszcze mocniej, kiedy w naszym kierunku zmierza mój dziadek, utykając niemal niezauważalnie na jedną nogę. Teraz już wiem, że to skutek kuli, którą Cecilio wpakował w jego kolano przed laty, a nie kontuzji nabytej podczas meczu w tenisa, jak zawsze twierdził.

– Nie pozwolę ci jej zabrać – oponuje na wstępie prawnik, stając obok swojej córki. – Melody, wracaj na górę.

Patrzę na jego przystojną mimo upływu lat twarz, która u większości ludzi budzi zaufanie i czuję obrzydzenie. Ten człowiek dopuścił się w swoim życiu czynów tak strasznych, że na samą

myśl jeży się każdy włoszek na moim ciele. W tej chwili chcę dla niego takiego samego piekła, jakie potrafił zgotować innym i jakie zapewne czeka go po śmierci. Spoglądam na Rhysa, którego twarz przybrała jedną z doskonale znanych mi masek obojętności.

– Chodźmy – proszę, splatając ze sobą palce naszych dłoni. – Oni nie są tego warci.

Ciągnę Motyla w stronę drzwi wyjściowych, od których dzieli nas dobre sześć, może nawet siedem metrów, chcąc jak najszybciej znaleźć się poza całym tym złem, którym przesiąkły mury tego domu. Już jesteśmy niemal przy wyjściu, kiedy sylwetka mojego dziadka wyrasta przed nami znikąd.

– Zostajesz z nami! – unosi głos, mierząc mnie spojrzeniem, które pokazuje, jak nisko znajduje się moja osoba w hierarchii rodziny Prince.

– Zapomnij – syczę, mrużąc oczy. – Wiem o wszystkim. Wiem, co zrobiliście babci. – Na dźwięk moich słów jego twarz przybiera kredowobiałą barwę. – Zaskoczony? – pytam, krzywiąc się, gdy przed moimi oczami pojawia się jedno ze zdjęć, które znalazłam w książce babci. – Jesteś mordercą. Boże, przecież to była twoja żona...

– Sama się o to prosiła. – Pewny głos Amelie rozbrzmiewa za naszymi plecami, więc odwracam się, a razem ze mną Rhys.

Szybka wymiana spojrzeń między nami i wiem, że jest tak samo zaskoczony jej słowami jak ja.

– Co masz przez to na myśli? – pyta moją matkę.

Amelie zbliża się do nas na niewielką odległość.

– To, że moja matka postradała zmysły – odpowiada, jakby to była najbardziej oczywista rzecz na świecie. – Przypadkiem usłyszałam, jak zarzuca ojcu tak ohydne rzeczy, że musiałam się powstrzymać, żeby pozostać niezauważoną i wysłuchać tych bredni do końca. Twierdziła, że Hudson ją zdradził, a przecież on nigdy by nam tego nie zrobił. Za bardzo nas kochał. Na szczęście uciszył ją po tym, jak ta wariatka oskarżyła go o śmie...

Pod wpływem impulsu rzucam się w jej stronę z pięściami, nie mogąc znieść tego, że obraża moją nieżyjącą babcię. Niemal udaje mi się rozkwasić ten jej idealny, malutki nosek, lecz Rhys w ostatniej chwili mnie od niej odciąga.

– To ty jesteś wariatką! – wyrzucam z siebie, nie kryjąc obrzydzenia. – Babcia oddała ci całe swoje serce, wychowywała cię najlepiej, jak mogła. Powiedz, co takiego ci zrobiła, że całe życie tak bardzo jej nienawidziłaś? – Milknę na chwilę, czekając na jakąkolwiek reakcję z jej strony, ale jej piękna twarz pozostaje nieruchoma jak posąg. – Jesteś odpowiedzialna za śmierć swojej własnej matki. Mam nadzieję, że za każdym razem, gdy spojrzysz w lustro, będziesz miała przed oczami jej twarz, tak bardzo podobną do twojej.

Odskakuję do tyłu w momencie, w którym Amelie długimi paznokciami próbuje wydrapać mi oczy. Na szczęście mam Rhysa, który osłania mnie swoim ciałem przed nieudanym atakiem. W tej chwili szczerze żałuję, że poprosiłam go o porzucenie swojego planu, ponieważ z przyjemnością obejrzałabym spektakularny upadek mojej matki.

– Zajmij się nią, Prince – nakazuje Mariposa, jedną dłonią ściskając oba nadgarstki rozwścieczonej prawniczki.

Hudson bez słowa sprzeciwu podchodzi do nas, chwyta swoją córkę za ramiona, po czym delikatnym, lecz stanowczym ruchem zmusza do wycofania się, mimo że on sam nie rusza się z miejsca. Jak zahipnotyzowany patrzy Rhysowi w oczy, a przez jego twarz przewija się mnóstwo emocji, wśród których dominują strach i niechęć.

Wychodzę zza pleców Motyla, które dawały mi schronienie, nie rozumiejąc, co się dzieje.

– Idziemy? – pytam, przenosząc spojrzenie z jednego mężczyzny na drugiego, lecz moje pytanie pozostaje bez odpowiedzi. Każdą komórką ciała czuję, że atmosfera wokół staje się niemal lodowata. Zupełnie jakby ktoś w ułamek sekundy wysłał szczęście całego świata, którego do tej pory zaznaliśmy tak niewiele. – Rhys, do cholery, słyszysz mnie?! – unoszę się, czując wzrastające napięcie.

Nie odpowiada. Nawet na mnie nie patrzy. Po prostu stoi, uśmiechając się nieznacznie i karmi się przerażeniem malującym się na twarzy mojego dziadka.

– Ty... – Prince bezgłośnie porusza ustami.

– Witaj, Hudsonie – przemawia Rhys głosem tak chłodnym, że przechodzą mnie ciarki. – Długo musiałem czekać, aż mnie rozpoznasz, ale cieszę się, że w końcu ci się to udało.

Dziadek naprzemiennie otwiera i zamyka usta, lecz nie wydobywa się z nich żaden dźwięk. Po raz pierwszy w życiu widzę, żeby brakowało mu słów.

– O co chodzi, tato? – Zaniepokojona Amelie staje u boku swojego ojca, a po złości, której dała się ponieść, nie ma ani śladu. – O czym mówi Singh?

Jej głos wrywa go z osłupienia. Kręci głową i potrząsa dłońmi kilka razy, jakby chciał się obudzić z sennego koszmaru. W końcu cofa się o kilka kroków, nie spuszczając wzroku z młodego mężczyzny.

– O niczym, kochanie – zwraca się do córki. – Pozwólmy im odejść.

– Wydaje mi się, że zostaniemy jeszcze kilka chwil – wtrąca Rhys, przywołując mnie gestem dłoni. – Skarbie – dodaje, kiedy nie ruszam się z miejsca.

Przeraża mnie jego nienaturalne opanowanie, które jest jedynie wystudiowaną grą. Grą, która niewątpliwie skończy się wybuchem. Mimo to podchodzę do niego, pozwalając mu nieco zbyt mocno zacisnąć palce dłoni po prawej stronie mojej talii.

– Czego chcesz? – pyta spanikowany Prince, doskonale zdając sobie sprawę z nadchodzącej eksplozji niepohamowanej złości, która gromadziła się w Motylu niemal całe jego życie. – Pieniędzy?

Rhys śmieje się cicho.

– Mam ich więcej, niż ty kiedykolwiek będziesz miał – odpowiada, jeszcze mocniej ściskając mój bok. – Poza tym wyciągnąłem ich od ciebie naprawdę sporo. Spokojnie – dodaje, widząc, że Hudson chce coś powiedzieć – zadbam o to, żeby Melody należycie je spożytkowała. Potraktuj to jako zadośćuczynienie za śmierć mojej matki.

– Więc to wszystko ty – nie wierzy Amelie. – Nieustanne szantaże, intrygi, próby przejęcia kancelarii. Bawiłeś się z nami. Oczywiście! – prycha, wyrzucając ręce w górę. – Mogłam się domyślić, że Stone jest za głupi, żeby stać za tym wszystkim w pojedynkę. A jej – wskazuje lekceważącym ruchem głowy, nie rzucając mnie ani jednym spojrzeniem – nie należą się żadne

pieniądze, więc bądź tak łaskawy i zwróć nam wszystko co do pieprzonego dolara z tych setek tysięcy, które od nas wyłudziłeś!

Rhys przekreśla głowę w bok i przez chwilę przygląda się mojej matce w milczeniu, jakby się nad czymś mocno zastanawiał. Czuję napięcie w każdym mięśniu jego ciała. Jest źle.

Bardzo źle.

– Jesteś idiotką, Am – odzywa się w końcu, a ta ze świstem wciąga powietrze. Zapewne nikt nigdy tak otwarcie jej nie obraził. – Bronisz go, nie mając pojęcia, jak złym jest człowiekiem. Oddałabyś za niego życie, podczas gdy on przyglądałby się temu, ciesząc się, że to nie on musi zginąć. Pomogłaś mu pozbyć się dowodów jego winy. Tyle lat uparcie milczałaś, ukrywając śmierć własnej matki. Właściwie to jest mi cię trochę żal. Kochasz swojego ojca miłością, której on nigdy nie będzie w stanie odwzajemnić, a wiesz dlaczego? Ponieważ Hudson Prince nie kocha nikogo poza sobą. Nie kochał Helen, kiedy ją zdradzał, nie kochał mojej matki, kiedy wydawał ją policji, skazując na śmierć. Ciebie także nie kocha, mimo że jesteś jego dzieckiem. Jediną osobą, która coś dla niego znaczy, jest Melody. To dlatego tak jej nienawidzisz. Nie możesz znieść tego, że twoja córka jest dla niego ważniejsza od ciebie.

Czy on do reszty zwariował? Dlaczego tak bardzo chce ich sprowokować?

– Nie słuchaj go, Am – odzywa się dziadek, ciężko dysząc. – To kłamstwa. On jest kłamcą.

Trzyma dłoń po lewej stronie klatki piersiowej, pochylając się nieco do przodu. Zaczynam się obawiać, że wkrótce ta rozmowa skończy się dla niego atakiem serca albo jeszcze czymś gorszym.

– Rhys – zaczynam pewnie, obejmując go w pasie – jest dobry, czuły i kocha mnie najmocniej, jak potrafi. Dbą o mnie i pragnie wyłącznie mojego dobra. Zapewne nigdy nie będę w stanie odwzajemnić mu się za to, co dla mnie zrobił, ale mogę zrobić tylko jedno. – Staję przed nim, wpinam się na palce, po czym biorę jego twarz w dłonie. – Oddaję ci siebie na wieczność, kochanie.

Na dźwięk moich słów jego bezduszne oczy wypełnia gorąca miłość, której płomienie raniły mnie tak wiele razy. Przyciąga mnie do siebie i przytula tak mocno, że brakuje mi tchu. Szybkim pocałunkiem dziękuje mi za to, co powiedziałam. Wymieniamy między sobą porozumiewawcze spojrzenia, zakańczając pewien niezwykle burzliwy etap i jednocześnie zaczynając najpiękniejszą przygodę.

Odwracamy się, a następnie ruszamy w stronę drzwi.

– Żalozne – rozbrzmiewa za naszymi plecami.

Kiedy Rhys wyciąga rękę w stronę klamki, spoglądam przez ramię i staję jak wryta. Otwieram usta, lecz krzyk ginie gdzieś w moim rannym gardle, a jedyne, na czym jestem w stanie się skupić, to lufa pistoletu w dłoniach mojej matki, wycelowana prosto w plecy Motyla. *Zrób coś!*, mobilizuję samą siebie do działania. Amelie z zacisniętymi ustami pociąga za spust, a dźwięk wystrzału rozsadza mi bębenki. Kobieta chybia o dobre pół metra, a jej ojciec jest tak samo zszokowany jak ja i również nie może się ruszyć. I wtedy Rhys odwraca się, a Amelie strzela po raz drugi.

Rozdzierający krzyk wydobywa się z moich ust w chwili, w której klatkę piersiową Motyla przesywa stalowa kula z taką siłą, że ten uderza plecami o ścianę tuż obok drzwi, które nagle się otwierają. Nie mam czasu przyglądać się przerażonej twarzy Nancy. Po prostu pochylam się, zabieram z dłoni Mariposy ciężkiego Glocka, po czym zapierając się mocno na nogach, pociągam za spust, nie spuszczać wzroku z przerażonej twarzy mojej matki. Reakcja Hudsona jest natychmiastowa. Bez wahania rzuca się przed swoją córkę, a sekundę później pada bezwładnie na podłogę.

Wypuszczam pistolet z dłoni, a świat wokół mnie nagle zwalnia. Patrzę na Rhysa, z którego klatki piersiowej wypływa tak dużo cennej krwi, że robi mi się słabo od tego widoku. Nawet silne dłonie Nancy nie są w stanie jej zatamować. Przesuwam wzrok na jego twarz, którą pokrywają kropelki potu. Patrzy na mnie, jakby przepraszał. Jakby wiedział, że nasza przygoda kończy się właśnie tutaj bez szans na szczęśliwe zakończenie.

Czyjś krzyk na moment odwraca moją uwagę od ciężko oddychającego ukochanego, więc z powrotem patrzę na Hudsona. Leży dokładnie w tej samej pozycji, w której upadł, a z czarnej dziury w jego czole wypływa brunatna krew, tworząc dużą kałużę wokół jego głowy. Nie żyje, a jego martwe oczy patrzą na mnie palącym wzrokiem. Odwracam się, ale mimo to wciąż czuję na sobie ich spojrzenie.

Jeszcze nie dociera do mnie, że zabiłam własnego dziadka.

Rozdział 18

To wszystko działo się tak szybko. Przyjechała karetka, a tuż za nią dwa duże radiowozy. Był także helikopter medyczny, który natychmiast zabrał Rhysa do najbliższego szpitala. Nawet się z nim nie pożegnałam. Nie zdążyłam. Młoda policjantka zakłuła moje dłonie w kajdanki i szarpiąc, wyprowadziła mnie z domu, wpackowała na tylną kanapę w żaden sposób nieoznakowanego samochodu, a następnie przywiozła tutaj, nakazując zachować milczenie.

Milczę więc, a sfrustrowani funkcjonariusze wychodzą jeden po drugim bez żadnych informacji, które usilnie próbują ze mnie wyciągnąć. Pomieszczenie, w którym się znajduję, przypomina standardowy pokój przesłuchań, jakie wiele razy odwiedzałam, studiując. Siedzę przy wąskim, długim biurku, które nie wliczając dwóch krzeseł po jego przeciwległych stronach, jest jedynym umeblowaniem. Zapewne ma to na celu zminimalizowanie ataku ze strony przestępcy, którym sama się stałam. Wbijam wzrok w lustro weneckie zajmujące niemal trzy czwarte powierzchni jednej z pomalowanych na biało ścian, nie mogąc oprzeć się wrażeniu, że po jego drugiej stronie czyjeś oczy wwiercają się we mnie, próbując mnie przejrzeć.

Tuż po tym, jak przenoszę wzrok na położone na udach nadgarstki skute metalowymi opaskami, które boleśnie wżynają się w moją skórę, drzwi za moimi plecami się otwierają. Słyszę zbliżające się kroki i dźwięk odsuwanego krzesła, ale nie reaguję, kiedy mężczyzna siada naprzeciw mnie. Czuję na sobie jego palące spojrzenie i walczę ze sobą, żeby nie kazać mu spadać. Odliczam w myślach do dziesięciu, dwudziestu, sześćdziesięciu. Żadne z nas się nie odzywa. Liczę dalej, przyglądając się śladom krwi na mojej liliowej bluzie. Nawet nie wiem, jak się na niej znalazła ani do kogo należy. Sto, sto jeden, sto dwa. Mężczyzna podnosi się z cichym westchnieniem, okrąża biurko, po czym staje obok mnie. Sto trzy, sto cztery. Sprawnie pozbywa się moich kajdanek i odkłada je niedbale na blat, następnie wraca na swoje miejsce. Sto pięć, sto sześć, sto siedem. Słyszę, że odpala papierosa. Przystaję liczyć, a zapach dymu tytoniowego przyprawia mnie o mdłości. Oddycham głęboko, starając się zapanować nad utrzymaniem treści żołądkowej na swoim miejscu i odchyłam głowę do tyłu.

– Spróbuj tego – odzywa się znudzonym głosem, przesuając czymś po blacie.

Prostuję się zaciekawiona, otwierając oczy.

– Gummy do żucia? – pytam, patrząc na opakowanie najsłynniejszych miętówek w kraju.

Wzrusza ramionami, kiedy podnoszę na niego wzrok.

– Mojej siostrze tylko to pomagało na mdłości w pierwszym trymestrze ciąży. – Jest czarnoskóry, ma najszersze barki, jakie w życiu widziałam i jest naprawdę przystojny. – Steve Jones – przedstawia się, wyciągając rękę w moją stronę.

– Tylko że ja nie jestem w ciąży. – To pierwsze zdanie dotyczące mnie, jakie wypowiadam od przyjazdu tutaj. Zaskakuje mnie, że brzmi zupełnie normalnie, jakby nic złego się nie wydarzyło. Z trudem podnoszę prawą rękę, żeby uściskać dłoń mężczyzny, nie spuszczać wzroku z jego ciemnych, niemal czarnych tęczówek. – Melody Prince.

Lubię go. Jest w nim coś, co budzi moją sympatię już od samego początku, mimo okoliczności, w jakich go poznaję. Jest inny. Nie wypowiada wyuczonych regulek jak jego poprzednicy. Nie żąda odpowiedzi na kolejne pytania, których i tak bym nie słuchała. Nie uderza pięściami o biurko, chcąc zmusić mnie w ten sposób do mówienia. Po prostu częstuje mnie gumą, widząc, że mam ochotę puścić pawia. To miłe.

– Szkoda – mówi, odpalając kolejnego papierosa, a poprzedniego wyrzuca pod nogi. – Cięża mogłaby działać na twoją korzyść podczas procesu.

Sięgam po gumy, drżącymi palcami otwieram opakowanie, po czym wkładam dwie do ust i powoli zaczynam żuć. Są tak miętowe, że w moich oczach pojawiają się łzy, ale Steve miał rację. Faktycznie o wiele lepiej znoszę obecność dymu wydmuchiwanego z jego płuc.

– Kim jesteś? – pytam, nieznacznie przekrzywiając głowę w prawo.

Nie wygląda na zwyczajnego funkcjonariusza. Jest tu z jakiegoś konkretnego powodu i coś mi mówi, że nie są to zeznania, które ma ode mnie wyciągnąć.

– Wydaje mi się, że już się przedstawiłem. – Przeciąga rozżarzoną koniuszką papierosa po blacie, tworząc długą czarną linię między nami. – Pomóż mi, a ja pomogę tobie.

Wykrzywiam twarz w grymasie, który miał być uśmiechem.

– Nie potrzebuję pomocy, Steve. Działalam w obronie własnej.

Odchyła się na krześle, zaplatając dłonie z tyłu głowy, której ciemne włosy mają jedynie kilka milimetrów.

– Twoja matka twierdzi inaczej.

Cholera, zdążyłam już zapomnieć, że Amelie robi wszystko, żeby mnie zniszczyć. Nie cofnie się przed niczym, nie spocznie, dopóki na własne oczy nie zobaczy mojego upadku, a kiedy tak się stanie, będzie celebrować ten moment całą sobą, ponieważ taka już jest. Karmi się cierpieniem innych, które napędza ją, dając siłę, jakiej ja nigdy nie miałam.

– Moja matka strzeliła do mojego ukochanego i wierz mi, że gdybym pierwsza nie pociągnęła za spust, nie miałyby najmniejszych oporów, żeby kolejną kulę wpakować prosto w swoją córkę.

– Nie wątpię. – Unoszę brwi na dźwięk jego słów. Kimkolwiek jest, coraz bardziej mnie zaskakuje. – Przysłuchiwałam się jej rozmowie z prokuratorem i kiepsko to wygląda. Mimo ogólnej niechęci Morisona do przedstawicielki przeciwnego stanowiska udało jej się go przeciągnąć na swoją stronę. Twierdzi, że zrobiłaś to z zazdrości. Nie mogłaś znieść, że w ostatnim czasie Hudson dogaduje się lepiej z nią niż z tobą, a przecież zawsze byłaś jego oczkiem w głowie. Uważa również, że uroiłaś sobie, że Hudson Prince jest zamieszany w śmierć swojej żony, poważnie nadszarpując wizerunek twojego zdrowia psychicznego w obliczu najważniejszych śledczych. Czeka cię rozmowa z psychiatrą sądowym.

– Ja pierdolę! – wyrzucam z siebie, bo tylko to przychodzi mi do głowy.

Jestem z góry na przegranej pozycji. Zapewne spędzę w więzieniu długie lata za to, że Hudson oddał życie za tę żmiję. Rhys się mylił, mówiąc, że Hudson kocha tylko siebie. To nieprawda. Mój dziadek, a właściwie ojciec, miał w sobie za dużo miłości i chyba to go zgubiło. Zbyt łatwo obdarzał nią kolejne osoby, chcąc utrzymać za ogon zbyt wiele srok naraz. A teraz go nie ma, i to przeze mnie. Zabiłam go, choć jeszcze do końca nie zdaję sobie z tego sprawy.

Czasami pytałam Motyla, jak to jest, gdy odbiera się komuś życie. Odpowiadał, że każda śmierć bezpowrotnie odbiera część ciebie samego i że nie chciałby, żebym kiedykolwiek musiała znosić to uczucie. Czy to źle, że nie czuję nic nadzwyczajnego? Jestem trochę oszołomiona, drżą mi ręce, a w głowie wciąż słyszę huk od wystrzałów, ale poza tym jestem cała. Odebrałam komuś życie, nie tracąc przy tym zupełnie niczego.

– Chybiłabym, gdyby Hudson nie zasłonił jej własnym ciałem, prawda? – pytam, przerywając zalegającą ciszę.

Jones z powrotem przyjmuje normalną pozycję na krześle, po czym kładzie dłonie na blacie, których kolor niemal zlewa się z ciemnym brązem drewna.

– Bardzo prawdopodobne – przyznaje, marszcząc gęste brwi. – Cholernie ciekawi mnie, co tam się naprawdę wydarzyło, ale jestem tu z zupełnie innego powodu. – *A więc przechodzimy do konkretów*, myślę, lecz nic nie mówię. Po chwili mężczyzna ciągnie dalej: – Mam nadzieję, że zdążyłaś wykonać obdukcję – wskazuje ruchem głowy na moją szyję, która zmieniła kolor na intensywny fiolet – bo Jim Jeffrey złożył na ciebie oficjalne oskarżenie o napaść i jest równie przekonujący, co twoja matka.

– To jakiś absurd! – wołam wzburzona, wyrzucając ręce w górę. Podnoszę się z krzesła. – Uważasz, że miałam dać mu się zabić tylko dlatego, że postradał zmysły?! Próbowałam się bronić!

Mój rozmówca nie rusza się z miejsca, śledząc każdy mój ruch spod lekko zmrużonych powiek. Jeśli mówi prawdę, a wszystko na to wskazuje, to moja sytuacja jest gorzej niż patowa. Powinnam być teraz z Motylem, który niewątpliwie mnie potrzebuje, a nie tłumaczyć się z irracjonalnych oskarżeń ludzi ogarniętych chęcią zemsty.

– Nie w mojej kwestii pozostaje ocena wszystkich dowodów. – Rzucam mu wściekłe spojrzenie, chcąc zapytać, po co w ogóle tu jest, skoro nie interesuje go to, co mam do powiedzenia, lecz on odpowiada, jakby czytał mi w myślach: – Jeffrey podzielił się ze mną cennymi informacjami na temat człowieka, na którego poluję bardzo długo. Wiele razy udawało mi się podejść do niego tak blisko, że prawie go miałem, ale on był szybszy. Za każdym razem wymykał mi się, doprowadzając mnie tym do szału. Zawsze był o krok przede mną. – Czuję, jak z mojej twarzy odpływa cała krew. Czy to możliwe, że mówi o... – Rhys Mariposa, jeden z najbardziej poszukiwanych przestępców na świecie.

– Nie wiem, o kim mówisz – odzywam się słabo, a w mojej głowie rozpoczyna się prawdziwa gonitwa myśli.

– Nie udawaj, Melody. – Wstaje, wciąż opierając dłonie o biurko. – Jemu i tak nic już nie pomoże, ale możesz uratować siebie. Wystarczy, że szczerze odpowiesz na kilka moich pytań. – Milczę, analizując każde z jego słów i nie spuszczać wzroku z jego przyjaznych oczu. – Jaka jest twoja cena? – pyta, uśmiechając się nieznacznie.

Wracam do biurka, przyjmuję dokładnie taką samą pozycję jak on, a następnie zbliżam twarz do jego twarzy na odległość zaledwie kilku centymetrów.

– A twoja? – pytam półszepem. – Jaka jest twoja cena, Steve?

Zaskakuję go.

Prostuje się, patrząc na mnie, jakby nie wiedział, co odpowiedzieć. Wytrzymuję jego przeszywające spojrzenie tak długo, aż on pierwszy odwraca wzrok. W końcu otwiera usta, ale zamyka je od razu, ponieważ drzwi otwierają się z hukiem. Odwracam się do młodego funkcjonariusza ubranego w czarny mundur.

– Jeszcze nie skończyliśmy – warczy Jones.

– Skończyliście – mówi tyczkowaty blondyn niewiele starszy ode mnie. – Prince zostaje zwolniona za kaucją.

Mrugam jednym okiem, posyłając Steve’owi triumfujący uśmiech, po czym pozwalam wyprowadzić się z pokoju przesłuchań. Przechodząc przez duży hall, zauważam, że wzrok wszystkich pracowników zwrócony jest w moją stronę. *Morderczyni*, tak nazywam się w myślach, a oni też mnie za nią uważają. Oceniają to, co zrobiłam, nie mając pojęcia, co naprawdę się wydarzyło. Nie kulę się pod ostrzałem ich spojrzeń, wręcz przeciwnie. Prostuję się, żeby wyglądać na pewniejszą siebie.

Z zadartą brodą pokonuję przestrzeń dzielącą mnie z Paulem, który ze skrzyżowanymi na piersi rękami czeka przy drzwiach wyjściowych. Niewyraźnym mruknięciem żegnam się z młodym funkcjonariuszem, wychodząc z budynku. Paul bez słowa otwiera mi drzwi samochodu zaparkowanego na chodniku. Dopiero kiedy wsiadam, okrąża pojazd, po czym zajmuje miejsce za kierownicą. Wbijam wzrok w boczną szybę w chwili, w której silnik budzi się do życia i marszczę brwi na widok Jonesa wybiegającego przed komisariat. Woła coś w naszą stronę, wymachując rękami, ale my jesteśmy już zbyt daleko, żeby móc odróżnić jego słowa. Trudno.

Jeśli będzie chciał, znajdzie mnie szybko, bo wcale nie zamierzam się ukrywać.

– Co z nim? – pytam, kiedy wjeżdżamy na parking jednego z największych publicznych szpitali w mieście.

White szybko odnajduje wolne miejsce, a następnie sprawnie zatrzymuje na nim swoje volvo i obraca się nieznacznie w moją stronę. Jest zmęczony, wygląda, jakby wcale nie miał ochoty mi odpowiadać. Mimo to odzywa się niskim głosem:

– Jest po operacji. Wydaje mi się...

Nie słucham dalej, a ulga, którą czuję na wieść, że żyje, jest nie do opisania. Otwieram drzwi, po czym wyskakuję z samochodu, chcąc jak najszybciej znaleźć się przy Motylu, żeby upewnić się, że wszystko z nim w porządku. Ignoruję nawoływania Paula, który stanowczo żąda, żebym się zatrzymała i przechodzę przez otwarte drzwi izby przyjęć.

Przystaję na moment, rozglądając się uważnie, a chaos, jaki panuje wokół, mocno mnie przytłacza. Wszędzie kręci się mnóstwo ludzi, a najdziwniejsze jest to, że większość z nich trzyma w dłoni mikrofon, inni zaś kamery. *Niedobrze*, myślę. W tej samej chwili jeden z dziennikarzy patrzy prosto na mnie. Po podnieconym wyrazie jego twarzy poznaję, że wie, kim jestem. Chcę odwrócić się i uciec, nie będąc gotowa na medialny atak, ale wtedy on woła:

– Melody Prince?!

Wszystko wokół cichnie, przez co ponownie staję się obiektem, na którego skupiona jest cała uwaga pozostałych. Patrzą na mnie, oczekując, aż się odezwę, a ja po prostu stoję i zdumiona gapię się na nich, nie mogąc wydobyć z siebie głosu. Są zaskoczeni moją obecnością, co znaczy,

że wcale nie chodzi im o mnie. Robi mi się gorąco, a chwilę później uderza we mnie lodowata prawda. Dziennikarze rzucają się w moją stronę, ale nie udaje im się osiągnąć mnie swoimi wścibskimi językami, ponieważ Paul zjawia się przy mnie, chwyta za łokieć i odciąga na bok, prowadząc długim korytarzem. Idziemy tak szybko, że płaczą mi się nogi, nie nadążając za jego dużymi krokami. W końcu mężczyzna otwiera jedno z drzwi, po czym wpycha mnie do środka, zatrzaskując je.

– Naprawdę nie wiem, jak Rhys z tobą wytrzymuje – cedzi przez zaciśnięte zęby, przekręcając klucz w drzwiach.

Pomieszczenie, w którym się znajdujemy, nie jest duże. To gabinet lekarski, w którym znajduje się jedynie biurko, dwa krzesła, kozetka oraz parawan.

– Co ty robisz? – pytam zaniepokojona, ponieważ świadomość, że moją jedyną drogą ucieczki stąd jest wąskie okno, włącza mój wewnętrzny alarm.

– Robię to, co obiecałem przyjacielowi: chronię cię.

Wciąż mam w głowie jego słowa, które wypowiedział, kiedy widziałam go po raz ostatni. „Nic już nie możemy dla niej zrobić”. Poddał się, odpuścił walkę, w której był jedną z sił, która nie pozwalała mi się poddać. Niemal całe swoje życie unikałam bliskich kontaktów z innymi ludźmi. Trzymałam ich jak najdłużej na dystans, nie pozwalając podejść zbyt blisko. Dlatego moją jedyną przyjaciółką jest Nancy. Nikomu nie pozwoliłam poznać się na tyle, żeby na dłuższą zagościł w moim życiu, ponieważ bałam się, że pewnego dnia zostaną dotkliwie zraniona.

Dzielnie trwałam w swoim postanowieniu, aż nagle pewnego dnia uświadomiłam sobie, że Paulowi udało się sprawić, że zapomniałam o wszystkich swoich zasadach. Nawet nie wiem, kiedy stał się dla mnie kimś o wiele bliższym niż tylko przyjacielem mężczyzny, którego kocham. Stał się moim wsparciem, służył dobrą radą i rozmową w momentach, w których wielokrotnie zatrzymywałam się, głośno wołając, że wypisuję się z życia, które sama sobie wybrałam, a które nieco wymknęło mi się spod kontroli. Był przy mnie zawsze, gdy Rhys wycofywał się w cień i zostawiał samej sobie.

Był moim przyjacielem, a przynajmniej tak mi się wydawało.

– Dlaczego jesteś na mnie zły? – pytam z czystej ciekawości.

W tym samym momencie rozlega się głośne pukanie do drzwi.

– Pani Prince, wiem, że pani tam jest! – rozbrzmiewa wysoki, kobiecy głos. – Proszę mnie wpuścić i odpowiedź na kilka pytań. Proszę – powtarza dziennikarka błagalnym tonem.

Żadne z nas nie odnosi się do jej słów. Po prostu czekamy, aż się znudzi i sobie pójdzie, żebyśmy mogli wyjść stąd niezauważeni. Swoją drogą, ciekawe, co robi dyrekcja szpitala, że do tej pory nie zareagowała na obecność tak dużej ilości hien czyhających na to, żeby z bólu oraz cierpienia innych uczynić tanią sensację i przynajmniej przez chwilę zaistnieć na pierwszych stronach swoich szmatławców.

– Nie jestem zły na ciebie – odpowiada półszepem Paul. – No dobrze, jestem wściekły – przyznaje po chwili. – Gdyby nie ty i ta jego pieprzona obsesja na twoim punkcie, byłby cały i zdrowy.

Dobrze wiem, że równie mocno jak ja chciałby, żeby i tym razem okazało się, że ktoś tylko nas oszukuje. Jednak tym razem to nie był żart. Na własne oczy widziałam, jak moja matka strzela do Motyla. Widziałam, ile wysiłku kosztowały Nancy próby zatamowania wypływającej przez jej palce krwi, która dosłownie była wszędzie. Do tej pory czuję jej charakterystyczny zapach.

– Wspominałeś, że go operowali. Czy on...

– Zawsze miał więcej szczęścia, niż na to zasługiwał. – Na Rhysa także jest wściekły. – Kula przeszła przez jego klatkę piersiową, nie uszkadzając przy tym żadnych narządów, ale utknęła w tkance łącznej. Musieli ją jak najszybciej usunąć, żeby nie doszło do nieodwracalnych zmian. Jestem pewny, że się z tego wyliże, ale pojawił się inny, o wiele poważniejszy problem.

Mrugam kilka razy, przyswajając jego słowa.

Z Rhysem jest o wiele lepiej, niż zakładałam. I ta myśl jest jedną z najbardziej kojących, jakie miałam w całym życiu. Nawet śmiertelne kule nie są w stanie mnie z nim rozdzielić. Nic mi go nie odbierze.

– To rewelacyjnie! – wołam podekscytowana, nie mogąc zapanować nad pozytywnymi uczuciami wzbierającymi w moim ciele.

Paul wywraca oczami.

– Nie słuchasz mnie, Mel – mówi, wzdychając zrezygnowany. Trochę jestem zła, że nie podziela mojej radości, skoro jeszcze kilka minut temu miał mi za złe, że to właśnie uczucie do mnie naraziło życie i zdrowie jego najlepszego przyjaciela. – Jak dużo powiedział ci Jones?

Marszczę brwi, zupełnie nie rozumiejąc jego pytania.

Skąd wie, jak Steve, kimkolwiek był, się nazywa?

– A co to ma wsp...

– To agent DEA – wchodzi mi w słowo. – Już kilka lat temu obrał sobie za cel schwywanie Rhysa, przez co nawet na moment nie odpuszczał. Byliśmy pod wrażeniem jego wytrwałości i uporczywości, z jakim spotykaliśmy się we wszystkim, co robił, stąpając nam po piętach. Jest osobą, która zawsze doprowadza sprawę do końca, choćby nie wiem, ile ofiar pociągnął za sobą po drodze. Rhys jest jego obsesją. Nie spocznie, dopóki go nie dorwie.

Rzeczywiście Steve wspominał o tym, że próbuje dopaść Motyla, ale miałam nadzieję, że blefuje. Nagle z mojej twarzy odpływa cała krew. Jeśli Jim rzeczywiście powiedział Jonesowi wszystko, co wie na temat interesów Mariposa, to jesteśmy w ogromnych tarapatkach.

– Musimy jak najszybciej zabrać stąd Rhysa – wypalam, ruszając do wyjścia.

Jednak Paul powstrzymuje mnie przed tym, przytrzymując za barki.

– To niemożliwe, Mel. – Błądzą wzrokiem po jego twarzy, ale on wciąż unika mojego spojrzenia. – To Nancy wezwała na miejsce służby ratunkowe. Pewnie nie zdawała sobie sprawy, jakie będą tego konsekwencje, ale nie winię jej za to. Każdy na jej miejscu postąpiłby tak samo.

– O czym ty mówisz, do cholery? – irytuję się, odsuwając się od niego.

Zamyka oczy, odchylając głowę do tyłu, a po tym, jak ją prostuje, patrzy mi prosto w oczy.

– Korzystamy wyłącznie z prywatnych szpitali – wyjaśnia i nagle wszystko staje się jasne. – Płacimy ogromne kwoty za dyskrecję, dzięki czemu pozostajemy nieuchwytni. Sama rozumiesz, że twoja przyjaciółka, chcąc ratować życie Rhysa, ściągnęła na niego nieuchronny wyrok. Zapewniam cię, że on wolałby się tam wykrwawić, niż dać się schwytać.

Oddycham szybko i płytko, mając wrażenie, że gabinet lekarski nagle staje się o wiele bardziej klaustrofobiczny, niż jest w rzeczywistości. Brakuje mi powietrza, jakby palce Jeffreya wciąż ścisnęły moje gardło. Cofam się o kilka kroków, aż napotykam opór w postaci oparcia jednego z krzesel. *To niemożliwe*, powtarzam w myślach. *To na pewno jakaś pomyłka*.

– Gdzie on teraz jest? – pytam słabo.

– Zaprowadzę cię do niego, ale musisz wiedzieć, że ludzie Jonesa nie pozwolą ci do niego wejść.

Patrzę na White'a, jakbym nie rozumiała jego słów, choć w rzeczywistości doskonale zdaję sobie sprawę z tego, co się dzieje. Jeśli jest coś, czego nauczyłam się od Rhysa, to tego, że niemożliwe nie istnieje. Wystarczy tylko wiedzieć, jak posługiwać się pradawną sztuką, jaką jest manipulacja, dzięki której można osiągnąć więcej, niż wszystkim się wydaje. Teraz musimy działać bez planu B. Właściwie bez żadnego planu.

Ponownie ruszam do drzwi, lecz tym razem nikt mnie nie zatrzymuje. Kiedy je otwieram, nikogo za nimi nie ma, jakby głos dziennikarki był jedynie wytworem mojej wyobraźni. Rozglądam się uważnie, ponieważ wiem, że nie odeszła daleko. Kręci się gdzieś tutaj, czekając, aż wyjdę i opowiem o miłości do gangstera, który w tak banalny sposób został oddany w ręce policji.

– Tędy – mówi cicho White, wyprzedzając mnie, po czym skręca w prawo na klatkę schodową, która wygląda, jakby od lat nikt jej nie remontował.

Ze ścian odchodzi kremowa farba, a kamienne schody są mocno starte i pokryte cieniutką warstwą kurzu, na której zostają odbite ślady naszych butów. Wbiegam na górę, nie licząc pięter, a mój oddech nie nadąża za resztą ciała.

– Poczekaj! – wołam, pochylając się i opieram dłonie o kolana.

Paul zatrzymuje się, po czym schodzi niżej, zrównując się ze mną.

– O co chodzi? – pyta zniecierpliwiony. – Jeśli się nie pospieszymy, przedstawiciele tych szmatławców szybko wpadną na to, żeby użyć tej samej drogi pożarowej, co my.

Prostuję się, czując pieczenie w gardle.

– Mam pomysł – wyznaję, zniżając głos do szeptu. – Jak długo zajmie ci przekupienie kogoś z personelu medycznego?

Uśmiecha się szeroko, kręcąc głową, ale nic nie mówi. Chwyta mnie za nadgarstek, a następnie ciągnie za sobą, a plan, który wykiełkował w mojej głowie, zaczyna przybierać coraz wyraźniejsze kształty.

Rhys śpi nieświadomy tego, co czeka go po przebudzeniu. Nie jest w śpiączce. Po prostu odpoczywa po poważnej operacji, a ilość leków, które mu podają, dodatkowo go otumania. Stoję w drzwiach, przyglądając mu się. Nie mam zbyt wiele czasu, mimo że Paulowi udało się przekupić policjantów pilnujących wejścia do sali, dzięki czemu otrzymałam piętnaście niesamowicie drogich, ale dla mnie bezcennych minut.

Co prawda, liczyłam na to, że Motyl będzie już w pełni przytomny, ale nic nie stoi na przeszkodzie, żebym po prostu go obudziła. Podchodzę do łóżka, po czym ostrożnie siadam na jego brzegu, uważając, żeby nie zahaczyć o rurkę kroplówki podłączonej do jego przedramienia ani o inne przewody podłączone do klatki piersiowej. Kładę dłoń na jego pokrytej kilkuniedniowym zarostem twarzy, pochylam się i czule całuję jego uchylone, ciepłe wargi. Kiedy nie reaguje, obsypuję pocałunkami linię jego idealnej szczęki, znowu wracam do ust, a następnie przechodzę na szyję, do której mam mocno utrudniony dostęp. Nie poddaję się jednak, wiedząc, że zawsze uwielbiał sposób, w jaki go budziłam.

Prostuję się w chwili, w której z jego ust wydobywa się cichy pomruk.

– Cześć, kochanie – szepczę, gładząc wnętrzem dłoni jego policzek.

– Wciąż tu jestem – chrypi, a w jego oczach tańczą wesołe iskierki, na których widok pęka mi serce. Muszę jak najszybciej powiedzieć mu, co się wydarzyło. Wy tłumaczyć, że nie miałam na to żadnego wpływu i gdybym tylko mogła, oddałabym wszystko, żeby cofnąć czas i rozegrać wszystko zupełnie inaczej. Tylko nie wiem, od czego zacząć. White miał rację, mówiąc, że Rhys wolałby umrzeć, niż pójść do więzienia. I ja również wybrałabym śmierć. – O co chodzi? – pyta, od razu zauważając, że coś jest nie tak.

Jego wzrok wędruje na drzwi po mojej lewej stronie.

– Kocham cię – wyznaję na jednym oddechu, zdając sobie sprawę, że to może być ostatni raz, kiedy możemy ze sobą porozmawiać. – Naprawdę cię kocham, Rhys, mimo że w ogóle nie rozumiem tego uczucia. Ale chyba na tym to polega. Miłości nie trzeba rozumieć tylko ją czuć, prawda?

Z powrotem skupia uwagę na mnie, próbując się podnieść, ale wciąż jest zbyt słaby, co mocno go drażni. Nawet nie ma siły, żeby zacisnąć palce na mojej dłoni.

Jest zupełnie bezbronny.

– Domyślam się, że za drzwiami nie czeka moja ochrona. – Zaciskam powieki, nie mogąc dłużej znieść jego spojrzenia. – Kurwa – syczy, wypuszczając powietrze z płuc.

Kładę głowę na jego klatce piersiowej tuż obok niewielkiego opatrunku i zastanawiam się, jakich słów użyć, żeby go pocieszyć. Tylko czy takie w ogóle istnieją? Doskonale zdaje sobie sprawę, że spędzi w więzieniu resztę życia, a przecież jest jeszcze taki młody. Mnie zapewne także skazają za zabójstwo Hudsona, bo nie uda mi się wygrać z moją matką, która już przeciągnęła na swoją stronę wszystkich, którzy mogli mi jakoś pomóc. Zrobiła ze mnie kobietę, która morduje z zazdrości i rozpaczy.

– Co teraz będzie? – pytam.

Czuję, że nieznacznie wzrusza ramionami, a jego dłoń łąduje na moich ciemnych włosach.

– Nic, skarbie. Jeszcze przez chwilę będziemy udawać, że wszystko jest jak dawniej. Jeszcze przez chwilę kochajmy się tak, jak robiliśmy to do tej pory, a później... – Przełyka ślinę. – Później zapomnijmy o sobie.

Wiem, o co mu chodzi. Chce, żebym ułożyła sobie życie bez niego. Zdusiła uczucie, które trzyma mnie przy życiu. Zapomniała o wszystkim, co razem przeszliśmy. To niemożliwe. Miłość do niego jest we mnie tak głęboko zakorzeniona, że jej siła będzie odczuwalna nawet po mojej śmierci. Rhys jest brakującą połową mojej duszy.

Nie.

On jest moją duszą.

– Rozczarowałeś mnie. – Moje słowa brzmią cicho, ale wyraźnie. – Wiem, jak bardzo nie chcesz tam trafić. Wiem też, że istnieje sposób, żeby do tego nie doszło. – Prostuję się, patrząc mu prosto w miodowe oczy, które od razu rozumieją, co mam na myśli. – Zrobię to dla ciebie, ale muszę wiedzieć, czy naprawdę tego chcesz.

Słowa Paula uświadomiły mi, że miłość wymaga poświęceń, a szczęście Motyla jest dla mnie o wiele ważniejsze niż moje.

– Kocham cię, Melody – mówi, a w jego oczach pojawia się ta znajoma pewność, której tak bardzo teraz potrzebuję.

Patrzę na drzwi, po czym sięgam do rękawa bluzy i wyjmuję z niego małą strzykawkę wypełnioną do połowy bezbarwnym, z pozoru niewinnie wyglądającym płynem. Zdejmuję plastikową osłonkę, kładę dłoń Rhysa na swoich udach i wbijam igłę w opuszek jego środkowego palca tuż pod paznokciem, po czym wciskam tłok strzykawki niemal do samego końca.

Potężna dawka morfiny miesza się z jego krwią, by za moment dotrzeć do serca i spowolnić jego bicie. Nie spuszczam wzroku z jego pięknej twarzy, widząc, jak jego spojrzenie staje się mętne. Mimo to uśmiecha się do mnie tak jak zawsze, jakby nic nie miało się zmienić. Całuję go, kiedy zamyka oczy, ale on nie odpowiada na mój pocałunek. Opieram czoło o jego ciepłe ramię w chwili, w której rozlega się głośny, rozdzierający mnie na pół, jednostajny dźwięk. To koniec.

Przywieram do Motyla najmocniej, jak potrafię. Zaczynam płakać, a moje gorące łzy moczą jego niemal nieskazitelną skórę. Słyszę, że ktoś wbiega do sali. Krzyczy, żebym się odsunęła, ale ja nie reaguję. Wraz ze łzami wylewam całą swoją miłość, wszystkie najpiękniejsze wspomnienia, których już nie chcę, a które będą mnie dręczyć do końca moich dni. W końcu ktoś chwyta mnie w tali, po czym siłą odciąga od Rhysa, zamykając w swoich silnych ramionach.

– Już po wszystkim – szepcze Paul, trzymając mnie mocno, a jego słowa rozsadzają mój świat na drobne kawałeczki. – Już po wszystkim – powtarza, wyprowadzając mnie z sali.

Rozdział 19

– Kilka dni temu odbył się pogrzeb niebezpiecznego przestępcy Rhysa Mariposa, który zmarł w wyniku postrzału w klatkę piersiową. Z naszych doniesień wynika, że kobieta, która do niego strzelała, działała w obronie własnej. Wiemy także, że partnerka nieżyjącego bossa narkotykowego nie uczestniczyła w po...

Wyłączam telewizor, odkładam pilot i zapadając się w wygodnym oparciu kanapy, apatycznie przeżuwać banana. Media trąbią o śmierci Motyla od kilku tygodni, nieustannie powtarzając te same informacje. Zamiast skupić się na większych problemach, jakie dotyczą naszą społeczność, jak na przykład głód, krzywdzenie niewinnych czy bezdomność, oni wolą roztrząsać sprawę, która raz na zawsze wymazała Rhysa Mariposę z kart tego świata.

Oczywiście, że nie byłam na pogrzebie. Naraziłabym się jedynie na przeżywanie zbyt wielu emocji. Poza tym był też Cecilio, który kazał mi się tam nie pokazywać, co uświadomiło mi, że nie tylko Paul ma do mnie żal o pojawienie się w życiu najbliższej im osoby.

Odkładam skórkę niedokończonego owocu na marmurowy blat stolika, po czym zerkam na ekran telefonu. Dziewięta dwadzieścia trzy. Dokładnie za czterdzieści dwie minuty rozpoczyna się ostatnia rozprawa, która według mojego prawnika ma być jedynie formalnością. Dzięki rozgłosowi, który zyskałam, śledczy jak najszybciej przekierowali zebrane dowody do prokuratury, która wiedząc, że oczy mediów zwrócone są na jej działania, zrobiła wszystko, żeby jak najszybciej sprawę zakończyć, za co jestem wdzięczna. Normalnie czekałabym długie miesiące w areszcie, zanim w ogóle wyznaczono by datę pierwszej rozprawy.

– Wychodzimy? – pyta Nancy, która właśnie zjawia się w salonie.

Ma na sobie elegancką, białą koszulę oraz ciemnoszare, garniturowe spodnie, a na stopach czarne szpilki. Podobnie jak ja, postawiła na klasykę. Uśmiecham się do niej słabo, powoli podnosząc się z kanapy. Denerwuję się tak bardzo, że chcę jak najbardziej oddalić w czasie wyjście z bezpiecznego apartamentu Rhysa. Odnajduję tu pewnego rodzaju spokój. Tylko tutaj nie dręczę mnie koszmary, w których zabijam własnego dziadka.

Po wszystkim wynajęłam mieszkanie w zupełnie innym mieście, myśląc, że najlepszym, co mogę zrobić, jest zmiana otoczenia. Myliłam się. Spoglądając w lustro, wciąż czułam na sobie martwe spojrzenie Hudsona, a moja głowa przy każdej sposobności odtwarzała koszmar, który przytrafił mi się naprawdę. Koszmar, z którego do tej pory nie potrafię się obudzić. To psychoterapeutka poleciła mi wrócić tam, gdzie wcześniej czułam się bezpiecznie.

Początkowo nie pochwalałam jej wizji, według której zmierzenie się z najboleśniejnymi wspomnieniami twarzą w twarz będzie najlepszą terapią i pozwoli oswoić się z nową rzeczywistością, w której zupełnie nie mogę się odnaleźć, jednak w końcu postanowiłam jej zaufać. Jeszcze tego samego dnia spędziłam pierwszą noc w pustym mieszkaniu Motyla. By oszukać swój mózg, zakładałam do snu jego koszule albo swetry i dopiero, gdy czułam na sobie jego zapach, zasypiałam natychmiast.

– Wychodzimy – potwierdzam, ruszając w stronę Nancy.

Nie mogę znieść smutnego wyrazu, który zdaje się, że na dobre zagościł na jej twarzy. Obwinia się za to, co się stało, chociaż setki razy powtarzałam jej, że podjęła jedyną słuszną decyzję. Każdy na jej miejscu zrobiłby to samo. To były sekundy, nie było czasu na zastanawianie się, do jakiego szpitala powinien trafić Mariposa. Po prostu liczyło się tylko to, żeby jak najszybciej sprowadzić pomoc, zanim ten się wykrwawi. Skąd mogła wiedzieć, że jeden telefon ratujący życie pociągnie za sobą pasmo kolejnych wydarzeń, przez które Rhys musiał zniknąć.

W przedpokoju wsuwam stopy w przygotowane wcześniej szpilki, po czym przyglądam się odbiciu w lustrze. W jednoczęściowym kombinezonie w czarnym kolorze, który dobrze maskuje wszystko, co powinien i zaplecionych w warkocz ciemnych włosach wyglądam jak grzeczna uczennica college'u, którą kiedyś byłam. Od tamtej pory tak wiele się zmieniło... Ja się zmieniłam, a raczej zmieniła mnie prawda, która okazała się boleśniejsza niż cokolwiek innego.

– Mel, spóźnimy się – popędza mnie Nancy, tym samym wyrrywając z zamyślenia.

Spoglądam na nią przelotnie, następnie chwytam torebkę, przewieszam ją sobie przez ramię i wychodzę z mieszkania. Czas stawić czoła demonowi, którym jest moja matka.

Sala sądowa jest o wiele mniejsza niż dwie poprzednie, w których rozgrywały się jedne z najtrudniejszych rozmów w moim życiu. Nie ma też dziennikarzy, ponieważ z jakiegoś powodu wyłączono jawność rozprawy. Patrzą na starszego prokuratora o posiwiałych włosach i zaciętym wyrazie twarzy, ale nie poświęcam mu zbyt wiele uwagi. To człowiek, który trzyma stronę Amelie, wierząc w każde jej słowo. A może wcale jej nie wierzy, tylko chce jak najszybciej mnie skazać, by zakończyć niewygodną sprawę dotyczącą śmierci jednego z najsukuteczniejszych prawników w kraju.

– Nie daj się wyprowadzić z równowagi – poleca półszepetem James Stone, kiedy młoda kobieta nakazuje nam wstać.

Od razu zgodziłam się, żeby to właśnie on mnie reprezentował. Współpracował z mężczyzną, którego kochałam. Wiele lat szantażował Hudsona i Amelie, doprowadzając ich na skraj wytrzymałości. Jego obecność wzbudza w mojej matce negatywne emocje, dzięki czemu czuję satysfakcję. Poza tym jest naprawdę dobry w tym, co robi.

– Nie zamierzam – odpowiadam, przypominając sobie, jak na pierwszej rozprawie rzuciłam się z pięściami na moją matkę, gdy tylko ją zobaczyłam.

Nie muszę chyba wspominać, że postawiło mnie to w bardzo złym świetle, a sprawę pogarszał tylko fakt, że Amelie okazała się świetną aktorką. Z rozciętą wargą i rozbitym nosem szlochala w jedwabną chusteczkę, rozwodząc się nad tym, dlaczego jej jedyna córka tak bardzo jej nienawidzi. Na szczęście mam nad nią przewagę, bo posiadam zdjęcia, na których widać, jak Amelie klęczy przed swoją zmarłą matką, a które mój prawnik dostarczył do prokuratury tuż po

ogłoszeniu przez sędziego, że z powodu zbyt małej ilości obciążających mnie dowodów odbędzie się jeszcze jedna rozprawa.

Dzisiaj zabrałam ze sobą Nancy, której do tej pory nikt nie przesłuchał w tej sprawie, mimo że to właśnie ona pojawiła się na miejscu zdarzenia jako pierwsza. Widziała, że strzeliłam do matki po tym, jak Rhys został ranny. Jest jedynym świadkiem, który może potwierdzić moją wersję, a do tej pory ludzie Jonesa przesłuchiwali ją godzinami, wpytując o znajomość z Mariposą, lecz w ogóle nie słuchali, kiedy głośno i wyraźnie mówiła, że Hudson Prince oddał życie za kobietę, która zdecydowanie nie była tego warta.

Siadamy, a sędzia Elizabeth Collins przechodzi od razu do konkretów, nie odczytując aktu oskarżenia, co robiła niemal z namaszczeniem już dwa razy. Denerwuję się tak bardzo, że nie jestem w stanie skupić się na jej słowach. Widzę, że porusza ustami, raz po raz przenosząc wzrok ze mnie na prokuratora, ale w uszach słyszę jedynie szum własnej krwi. Zadaje mi pytanie, ale to Stone odpowiada za mnie. Uznaliśmy, że tak będzie najlepiej. Jestem zbyt impulsywna, przez co nie mogę sobie ufać.

Uśmiecham się nieznacznie, gdy do sali wchodzi Nancy i nie patrząc na mnie, odpowiada ze spokojem na wszystkie zadawane jej pytania.

– Co robiłaś w domu Hudsona Prince’a? – pyta prokurator.

– Wspierałam przyjaciółkę po traumatycznych wydarzeniach – mówi, poświęcając całą uwagę sędzi przed sobą. – Wyszłam do sklepu, a kiedy wróciłam, usłyszałam strzał. Najpierw jeden, potem drugi. Słyszałam też krzyk Melody, więc otworzyłam drzwi, przy których leżał postrzelony Rhys Mariposa. Nie mogę powiedzieć, kto do niego strzelał, ponieważ nie było mnie w tym momencie w środku, ale wyraźnie widziałam, że Amelie Prince celuje bronią w swoją córkę. Gdyby to Melody nie strzeliła pierwsza, najpewniej byłaby martwa.

Prokurator śmieje się cicho.

– Wyjaśnij więc, dlaczego to Hudson Prince łąduje u stóp swojej córki z kulą w głowie, a Amelie nie jest nawet ranna.

Nie daj się, Johnson, dopinguję w myślach przyjaciółkę, bo nie mogę się odezwać.

– Dlatego że Hudson zasłonił Amelie własnym ciałem w tym samym momencie, w którym Melody pociągnęła za spust. Nie mogła przewidzieć jego reakcji. Nie jest winna jego śmierci.

– Pozwól, że o winie oskarżonej rozstrzygnie sąd – przypomina Collins, gromiąc wzrokiem moją przyjaciółkę, która wygląda, jakby nie robiło to na niej najmniejszego wrażenia. – Czy ktoś ma jeszcze jakieś pytania do świadka?

Nie podoba mi się to. To wszystko trwało zbyt krótko, a to może oznaczać, że nikt nie wierzy w jej słowa.

– Nie mam – odpowiada siwowłosa mężczyzna. – Pozwólmy pani Prince odnieść się do zeznań pani Johnson.

Mówiąc *pani Prince*, ma na myśli nie mnie, a moją matkę. Od razu robi mi się niedobrze na myśl, że znowu będę zmuszona oglądać rozgrywane przez nią przedstawienie. Najchętniej zniknęłabym na jakiś czas. Nie na długo, na kilka, może kilkanaście minut, na tyle, ile będzie trwać rozmowa z nią.

Sędzia każe mojej przyjaciółce opuścić salę, a ta wychodzi, posyłając mi pokrzepiające spojrzenie.

– Dziękuję – poruszam ustami, nie wydając przy tym żadnego dźwięku.

Gdy znika za drzwiami, automatycznie czuję się gorzej, jakby sama jej obecność pomagała mi to wszystko znosić. Mam jednak świadomość, że jest tuż za ścianą i czeka na mnie, nie mając pewności, czy w ogóle będę mogła do niej dołączyć. Nagle atmosfera wokół się zmienia, jakby temperatura spadła o co najmniej kilka stopni. Ponownie spoglądam w stronę drzwi, gdzie napotykam zdeterminowane spojrzenie Amelie wbite prosto we mnie. Mam ochotę odwrócić wzrok, ale coś mi na to nie pozwala.

Chciała zabić Rhysa.

Zabiłaby mnie.

Patrzę na jej bezwzględna, pozbawioną emocji twarz i czuję, jak umiera we mnie uczucie, jakim mimo wszystko darzyłam tę kobietę. Nie wiem, czy to pewien rodzaj miłości, jakim mimowolnie każde dziecko obdarza swojego rodzica, czy raczej tęsknota za jej nieodwzajemnieniem, ale czymkolwiek jest, znika bezpowrotnie, zwalniając miejsca czystej nienawiści, która wypełnia niemal każdą tkankę mojego ciała. Wytrzymuję jej spojrzenie tak długo, aż pierwsza odwraca wzrok, przechodząc do wyznaczonego miejsca dla świadków.

– Wysoki sędzie – odzywa się z należyтым szacunkiem tytułem powitania.

Po obrażeniach, jakie zostawiły na jej ciele moje pięści niespełna trzy tygodnie temu, nie ma ani śladu. Wygląda jak zawsze nienagannie. Zupełnie nic nie wskazuje na to, że cierpi po stracie najbliższej osoby. Wydaje mi się, że jeśli cokolwiek w ogóle czuje, to z czystego egoizmu, który od dziecka płynie w jej żyłach, a nie z rozpaczy, którą udaje.

– Panie Morison. – Elizabeth od razu oddaje głos oskarżycielowi.

Mężczyzna wstaje, a następnie patrzy prosto na mnie, jakbym była trudną do rozwiązania łamigłówką. Odpowiadam mu wyzywającym spojrzeniem, z uwagą słuchając, jak w skrócie opowiada Amelie wersję, którą przedstawiła Nancy. Szybko przenoszę wzrok na matkę, ciekawa czy ta cokolwiek da po sobie poznać. Nic z tego. Amelie jest profesjonalistką i za to także jej nienawidzę. Uznaję, że lepiej będzie nie słuchać tego, co powie. Zapewne przećwiczyła każdą kwestię, przewidując wszystkie niewygodne dla niej pytania, dzięki czemu nic nie będzie jej w stanie zbić z tropu czy wyprowadzić z równowagi.

– Na początku chciałabym zaznaczyć, jak bardzo jest mi przykro – mówi drżącym głosem, a ja unoszę brwi, czekając na ciąg dalszy. – Nancy Johnson ma rację w jednym: moja córka chciała mnie zabić. Nie muszę mówić, jak bardzo bolesna dla matki jest świadomość, że istota, którą kocha się całą sobą, dla której poświęciło się niemal wszystko, nie pragnie niczego poza twoją śmiercią. Melody bez wahania pociągnęła za spust, patrząc w oczy mojemu ojcu. W mojej głowie wciąż rozbrzmiewa jej krzyk, w którym zarzuca mi, że to przeze mnie stała się potworem. Że przeze mnie mój ojciec nie żyje. Długo się obwinałam, zastanawiając się, w którym momencie popełniłam błąd, wychowując ją, ale w końcu do mnie dotarło, że problem nie leży po mojej stronie. Niektórzy ludzie po prostu rodzą się źli, pozbawieni empatii, niezdolni do jakichkolwiek ludzkich uczuć i gotowi popełniać najstraszliwsze zbrodnie, z którymi my

spotykamy się na co dzień. Moja córka to bezwzględna morderczyni, która w okrutny sposób odebrała mi ojca. Chcę tylko, żeby spotkała ją należyta kara, żebym nie musiała czuć już tego strachu, gdy wychodzę z domu.

Mam ochotę wstać i klaskać, lecz zamiast tego gapię się na nią z otwartymi ustami. Jestem zszokowana jej słowami tak bardzo, że przez chwilę zapominam o tym, że jesteśmy na sali sądowej i po prostu zaczynam się histerycznie śmiać. Dłoń mojego obrońcy natychmiast łąduje na moim przedramieniu, ściskając je mocno w tym samym momencie, w którym rozlega się dźwięk młotka, którym sędzia uderza trzy razy. Milknę, będąc pod wrażeniem jej ogólnego zaangażowania w sprawę. Zwykle, uczestnicząc w najróżniejszych procesach, sędziowie są raczej wycofani i dają wolną rękę prawnikom, którzy ścierają się ze sobą, próbując przechytrzyć się nawzajem. Jednak nie tym razem.

– Proszę o spokój – grzmi, posyłając mi karcące spojrzenie, a członkowie ławy przysięgłych z niesmakiem kręcą głowami.

Podnoszę się nieznacznie z niewygodnego krzesła, od którego boli mnie tyłek, po czym cicho przepraszam zebranych, wiedząc już, że nie mam żadnych szans na wygraną.

I wtedy wstaje James.

– Pani Prince – odzywa się spokojnym głosem – jestem pod ogromnym wrażeniem, jak bardzo potrafi być pani przekonująca. – Amelie mruży oczy na dźwięk jego słów. – Jednak jedna sprawa nie daje mi spokoju. W śledztwie zeznała pani, że moja klientka bezpodstawnie oskarża nieżyjącego Hudsona Prince’a o zabójstwo pani matki, czy tak?

– Nie rozumiem, co to ma...

– Już wyjaśniam – przerywa jej adwokat. – Moja klientka podzieliła się ze mną niezbitymi dowodami w tej sprawie. Posiadam fotografie, które, jak sprawdzili graficy, są w stu procentach oryginalne. Nie ma mowy o żadnej manipulacji z nimi związanej. Wysoki sędzie.

Collins skinieniem głowy daje znak jednemu z członków rady, a ten szybko uderza długimi palcami w klawiaturę komputera. Chwilę później na dużym ekranie w rogu sali wyświetlają się trzy zdjęcia, a na każdym z nich widnieje moja babcia.

Spuszczam wzrok, nie będąc w stanie dłużej znosić tego widoku. Słyszę, jak Amelie ze świstem wciąga powietrze i uśmiecham się w duchu, czując satysfakcję, że jednak nie przygotowała się na wszystko. Skąd mogła wiedzieć, że mam niezbite dowody na ich winę? Dowody, które są naszym asem i mocno nadszarpują jej prawdomówność.

– Mogę to wyjaśnić – mówi w końcu, odzyskując rezon. Kontynuuje dopiero, kiedy sędzia pozwala jej na to charakterystycznym gestem dłoni. – Mecenas Stone ma rację, fotografie są prawdziwe. W żaden sposób jednak nie świadczy to o tym, że mój ojciec, ani tym bardziej ja, jesteśmy zamieszani w sprawę śmierci mojej matki. Zdjęcia dostarczone przez Melody, na których jesteśmy we troje, zostały zrobione w dniu, w którym Helen Prince przesadziła z alkoholem na jednym z przyjęć. Była w takim stanie, że mój ojciec musiał ją nieść z samochodu do domu. Natomiast na drugiej fotografii najzwyczajniej w świecie pomagam jej wstać po tym, jak upadła.

Z mojej twarzy odpływa cała krew, a żółć ponownie podchodzi do gardła. Cholera, jest w tym tak świetna, że sama jestem skłonna uwierzyć w jej wersję.

– A co z ostatnią fotografią? – tym razem odzywa się prokurator.

Amelie z zaciętym wyrazem twarzy przygląda się swojej zmarłej matce przez kilka długich sekund. Usilnie próbuję dostrzec w jej oczach choćby cień żalu czy smutku, ale te pozostają lodowato zimne.

– Niestety, to jedyna sprawa, której nie potrafię racjonalnie wytłumaczyć. Nigdy wcześniej nie widziałam tego zdjęcia. Nie mam również pojęcia, kiedy ani przez kogo zostało zrobione.

Na jej słowa mój obrońca podnosi się ze śmiechem, gdy ja mam ochotę płakać przez nieubłaganie zbliżające się zwycięstwo mojej matki.

– Wysoki sędzie – zaczyna James Stone – Amelie Prince to naprawdę świetna aktorka. Nie możemy wierzyć w ani jedno jej słowo. To kobieta wyrachowana i pozbawiona wszelkich skrupułów. Bez wahania pozbyła się naszego nienarodzonego dziecka. Bez...

– Co?! – wykrzykuję zszokowana. – Ona była w ciąży z tobą? – nie dowierzam, zniżając nieco głos.

Twarz sędzi Collins rozświetla zaciekawienie, zaś na twarzy mojej matki maluje się jedynie krzywy grymas.

– Ta ciąża nie była niczym osobistym – tłumaczy od razu Stone. – Zwykła wpadka. Nie ma ona także niczego wspólnego ze sprawą. Mówiąc to, chciałem jedynie pokazać nieco inną twarz pani Prince, którą teraz tak skutecznie przed nami skrywa.

Amelie zadziera brodę, z godnością przyjmując słowa mojego obrońcy, które wprawiły mnie w takie osłupienie, że nie jestem w stanie się ruszyć. Moja matka zaszła w ciążę z człowiekiem, który od lat ich szantażował. To... dziwne.

– Pani Prince, proszę odnieść się do tego, co powiedział pan Stone – nakazuje Collins.

– To prawda, wysoki sędzie – przyznaje Amelie. – Byłam w ciąży z Jamesem Stonem. Zaszłam w nią po tym, jak James zmusił mnie do seksu. – Moja szczęka z łoskotem uderza o drewniany blat, lecz w osłupieniu słucham dalej: – Ten człowiek szantażował mnie i mojego ojca od lat, wyciągając od nas niebotyczne sumy pieniędzy. Kiedy jednak te przestały mu wystarczać, w zamian za milczenie zażądał mojego ciała.

– Nie bądź śmieszna, Amelie – prycha Stone. – Posiadam dowody, które wyraźnie wskazują, że spotykaliśmy się raz na jakiś czas w celach czysto fizycznych. Wysoki sędzie...

Nagle drzwi do sali otwierają się, więc wszyscy zwracamy głowy w ich stronę. *Jeszcze jego tu brakowało*, myślę, widząc Jonesa zmierzającego w naszym kierunku. Ma na sobie luźną, lnianą koszulę w kolorze écru oraz ciemnozielone bojówki, a na stopach ciężkie, oficerskie buty.

– Kim pan jest i co pan tu robi? – pyta oburzona jego frywolnością sędzia.

Czarnoskóra mężczyzna przystaje, pokazując legitymację i przedstawia się ze wzrokiem wbitym przed siebie:

– Steve Jones, agent DEA. Tak się składa, że mam ważne informacje dotyczące pani Prince, które mogą zainteresować sąd.

No to koniec, mówi głos z tyłu głowy, a z twarzy odpływa mi cała krew.

Człowiek, który poświęcił długie lata na pogoń za największymi przestępcami narkotykowymi, ma zamiar zeznawać przeciwko mnie. Dobrze, że siedzę, bo inaczej chyba bym zemdlął.

– Proszę mówić – odzywa się nieufnie starszy, jeden z członków rady, siedzący najbliżej Collins.

– Dzięki współpracy z zatrzymanym kilka miesięcy temu Jimem Jeffreyem dowiedziałem się kilku bardzo istotnych, dotychczas nieznanych faktów o pani Prince. Zarówno ona, jak i nieżyjący Hudson Prince należeli do grupy przestępczej zajmującej się przemytem narkotyków i handlem ludźmi, której przewodził wspomniany przeze mnie Jim Jeffrey. Od lat wykorzystywali swoje wysokie pozycje społeczne, nadużywając wpływowych stanowisk, żeby czynić zło i dawać jawne przyzwolenie na popełniane przestępstwa pod patronatem ich odnoszącej sukcesy kancelarii. Za moment moi ludzie powinni przefaksować wszystkie niezbite dowody, jakie zdobyłem. Rhys Mariposa, przebywając w ich bliskim otoczeniu przez związek z oskarżoną, szybko odkrył całą prawdę, dlatego został postrzelony przez panią Prince, która zabijając go, miałaoby gwarancję, że wraz ze swoim ojcem pozostaną bezpieczni.

W osłupieniu słucham jego słów i dopiero po wypowiedzeniu przez niego ostatniego zdania uświadamiam sobie, że wcale nie mówi o mnie, a o mojej matce. Jego kłamstwa brzmią tak wiarygodnie, że przez chwilę sama w nie wierzę. Przenoszę zszokowany wzrok na Stone'a, który odpowiada mi spokojnym spojrzeniem, następnie patrzę na równie zaskoczoną twarz mojej matki. Zapewne nie spodziewała się takiego obrotu sprawy, tak samo jak nikt z nas. Nie spodziewała się również, że istnieje ktoś, kto kłamie bardziej przekonująco od niej samej.

– Sugeruje pan, że oskarżona mówi prawdę? – pyta sędzia, na której jego słowa wywarły ogromne wrażenie.

Mężczyzna wzrusza ramionami.

– Pozostawiam to do oceny sądu. Jestem tu po to, żeby zaraz po rozprawie odprowadzić Amelie Prince do aresztu, w którym będzie oczekiwać na proces.

– Człowieku, o czym ty mówisz? – pyta słabo moja matka.

– Przesłuchanie świadka uważam za zakończone. Właściwie już może pan ją zabrać. Ogłaszam trzydziestominutową przerwę, po której oskarżona usłyszy wyrok.

Jones podchodzi do Amelie, a następnie zaciska palce na jej przedramieniu, lecz ta od razu mu się wyrывa i sama rusza do wyjścia, a on podąża za nią. Mijając mnie, żadne nie patrzy w moją stronę, co nie przeszkadza mi przyglądać się ich prostym sylwetkom znikającym za drzwiami. Wstajemy, a kiedy Elizabeth Collins wychodzi, od razu wybiegam z sali. Rozglądam się uważnie, zauważając po swojej prawej stronie na końcu korytarza Steve'a i moją matkę.

– Co się stało, Mel? – pyta zaniepokojona Nancy, która ani na moment się nie oddaliła, czekając na korytarzu.

– Później ci powiem – rzucam, zerkając przez ramię i biegnę w stronę czarnoskórego mężczyzny, który przekazuje Amelie dwóm kobietom ubranym w ciemne mundury. Zapewne zabiorą ją w miejsce, z którego długo nie wyjdzie.

Steve odwraca się na dźwięk moich obcasów uderzających o parkiet, uśmiechając się nieznacznie na mój widok.

– Melody – mówi tytułem powitania.

– Dlaczego to zrobiłeś? – pytam, nie rozumiejąc.

Wzrusza ramionami, krzyżując ręce na piersi.

– Nienawidzę takich ludzi jak ona – odpowiada, jakby to była najbardziej oczywista rzecz na świecie i wszystko wyjaśniała. – Poza tym lubię cię, a jeśli w ten sposób mogłem ci jakoś pomóc, to cała przyjemność po mojej stronie.

Mrugam kilka razy, odganiając niechciane łzy wzruszenia, wywołane wdzięcznością, jaką w tej chwili czuję do człowieka, którego właściwie nie znam. Powinnam go nienawidzić za to, że przez niego Motyla już nie ma, ale prawda jest taka, że czuję tylko wdzięczność.

– Dziękuję – mówię, powstrzymując chęć przytulenia go.

– Uważajcie na siebie. – Mruga jednym okiem, po czym odwraca się i odchodzi.

Rozciągam usta w uśmiechu.

Pokonałam Amelie. I jest to najlepsza wiadomość od kilku miesięcy przepełnionych bólem, strachem oraz ogromnym stresem.

Wygrałam.

Kiedy wracamy z Nancy do mieszkania, jestem tak zmęczona, że od razu przechodzę do salonu, gdzie padam na kanapę, wykładając nogi na marmurowy blat stolika. Uniewinniono mnie, uznając, że działałam w obronie własnej, a ulga, którą poczułam, słysząc wyrok, jest nie do opisania. Nie wiem, co się stało z moją matką po tym, jak Jones ją zabrał, ale nie zamierzam się tym interesować. Amelie Prince na dobre znika z mojego życia i mam nadzieję, że nigdy więcej się w nim nie zjawi. Kula, od której zginął mój dziadek, była przeznaczona dla niej. Wiem, że w końcu ją osiągnie. W mojej głowie już i tak umarła. Przecieram oczy dłońmi, czując, jak z moich pomalowanych rzęs kruszy się tusz. Ostatnio tak rzadko robię makijaż, że teraz zupełnie zapomniałam, że mam go na sobie i powinnam bardziej uważać na swoją twarz. Nie zamierzam jednak nigdzie dzisiaj już wychodzić, więc nawet nie ruszam się, żeby go poprawić.

– Cholernie mi smutno, że wyjeżdżasz – przyznaję na widok walizki, którą moja przyjaciółka ciągnie za sobą. – Naprawdę nie możesz zostać jeszcze kilka dni?

Nancy podchodzi do mnie, po czym siada na moich wyprostowanych nogach, które uginają się pod ciężarem jej ciała.

– Może i mogłabym, ale prawda jest taka, że wcale nie chcę. – Unoszę brwi na dźwięk jej szczerych słów. – Nie zrozum mnie źle – ciągnie dalej, widząc moją minę. – Po prostu dni spędzone tutaj były... intensywne. Właściwie to w całym swoim życiu nie doświadczyłam tylu emocji. Muszę trochę zwolnić, odciąć się od tego wszystkiego przynajmniej na chwilę. Poza tym nie potrzebujesz mnie już, a ja muszę zdać wszystkie zaległe egzaminy, których w kilka

miesiący uzbierało się całkiem sporo. Muszę też wyjaśnić rodzicom, dlaczego zniknęłam na tak długo, a uwierz mi, że nie mam zielonego pojęcia, co im powiedzieć.

– Powiedz prawdę – radzę, wiedząc, że to jedyne słuszne wyjście. – Jeśli ich kochasz, a wiem, że tak, to nie okłamuj ich. Kłamstwa potrafią zniszczyć każdą relację, choćby nie wiem jak niewinna była. Nie pozwól, żeby to, co zniszczyło moją rodzinę, w najmniejszym stopniu dotknęło twoją.

Może trochę przesadzam, ponieważ dom, w którym dorastałam, zupełnie nie przypomina pełnego miłości, ciepła i zdrowych relacji domu Nancy, ale po wszystkim, co mnie spotkało, w moim życiu nie ma już miejsca nawet na najmniejsze kłamstwa czy niedopowiedzenia. Od teraz chcę otaczać się ludźmi, którzy przejawiają podobne wartości życiowe, co ja.

– Moja przyjaciółka jest najstynniejszą kobietą w kraju – mówi z uśmiechem. – Oczywiście, że powiem im prawdę, ale nie licz na to, że będą chcieli twój autograf. – Odpowiadam jej uśmiechem, na co mnie przytula. – Zaproponowałabym ci, żebyś jechała ze mną, ale od ciebie też potrzebuję przerwy – szepcze tak cicho, jakby miała nadzieję, że tego nie usłyszę.

Nie gniewam się, bo doskonale ją rozumiem.

Sama od siebie też potrzebuję przerwy.

– Odprowadzić cię? – pytam po tym, jak się ode mnie odsuwa.

Wstaje, kręcąc głową, podchodzi do walizki i zaciska palce drobnej dłoni na jej wysuniętym uchwycie.

– Odpoczywaj, a ja dam znać, jak tylko dotrę na miejsce.

– Lepiej daj znać, jak już naładujesz baterie i zechcesz mnie znowu zobaczyć. – Pożegnania są trudne, a to należy do tych, które najchętniej odwlekałoby się jak najdłużej. Nigdy wcześniej się nie żegnałyśmy. Jeśli któraś z nas wyjeżdżała, mówiłyśmy sobie *cześć*, jakbyśmy po prostu wychodziły na zwykłe zakupy i spotykały się ponownie za pół godziny. Nie żegnałyśmy się, ponieważ wiedziałyśmy, że zawsze do siebie wrócimy. Teraz jest inaczej. Życie pokazało nam, jak potrafi być kruche. Udowodniło, że w ciągu kilku sekund może zupełnie zmienić swój bieg, stając się koszmarem i odwrotnie. Musimy się pożegnać, dlatego że zmieniło się wszystko, łącznie z naszą przyjaźnią. Jeszcze nie wiem, czy to, co się stało, umocniło ją, czy może bezpowrotnie zniszczyło, eksplodując w samym jej centrum. Po prostu musimy o sobie zapomnieć na jakiś czas. Odpocząć od wszystkiego, o czym nasza obecność nieustannie nam przypomina. – Idź już, Johnson – rzucam żartobliwie mimo guli, która rośnie mi w gardle.

Spuszcza wzrok, po czym ciągnąc za sobą walizkę, rusza do wyjścia. Otwiera drzwi, a gdy przekracza ich próg, odwraca się.

– Mel?

Nawet z tej odległości jestem w stanie dostrzec łzy płynące po jej policzkach.

– Tak? – pytam niepewnie, podciągając nogi pod siebie.

Podnoszę się nieco, żeby lepiej ją widzieć.

– Do zobaczenia.

Uśmiecham się przez łzy cisnące mi się do oczu na dźwięk pewności w jej głosie.

– Do zobaczenia – mówię, lecz ona już znika za drzwiami, zatraskując je za sobą.

Epilog

Bałam się momentu, w którym zostanę całkiem sama w tym ogromnym apartamencie, tymczasem po wyjściu Nancy czuję się spokojniejsza. W końcu mam tę swobodę, której tak bardzo potrzebowałam. Po krótkiej kąpieli zakładam jeden z ciepłych swetrów Rhysa oraz zwykłe, bawełniane szorty, wiedząc już, że w tym ubraniu spędzę całą noc i sporą część następnego dnia. Dużo śpię, chcąc, żeby czas szybciej płynął.

Najgorsze jest to czekanie. Moje życie sprowadza się wyłącznie do czekania – na znak, na wiadomość, na rozmowę, na cokolwiek. Nie chcę jednak narzekać, bo przynajmniej mam tę głupią nadzieję, którą wypełniam tęsknotę, jaką zostawił po sobie Motyl.

Przechodzę przez korytarz, na którego końcu znajduje się nasza sypialnia, ale nie wiedząc czemu zatrzymuję się przy drzwiach do pokoju, który jest biblioteką i gabinetem jednocześnie. Gdy Rhys tutaj był, pomieszczenie służyło wyłącznie do załatwiania jego spraw służbowych. To tutaj odnajdywał spokój, skupiając się na pracy, w której zawsze chętnie mu przeszkadzałam.

Popycham uchylone drzwi, ignorując pieczenie pod powiekami, a następnie wchodzę do środka. Przechadzam się wokół szklanego stołu, sunąc czubkiem palca wskazującego po jego zakurzonej blacie. Przyglądam się regałom wypełnionym książkami, których obite granatową skórą grzbiety różnią się jedynie grubością. Jestem tu tak długo, a nigdy nie zainteresowałam się, jaką literaturę lubił Rhys. Tak wiele razy widywałam go z książką, którą zawsze zamykał na mój widok, nie dając mi szansy zajrzeć na jej strony... Niepewnie zbliżam się do regału, po czym wyciągam rękę po jedną z nich.

Waham się przez chwilę, wiedząc, że Motyl nie byłby zadowolony, gdyby dowiedział się, że bez pozwolenia ruszam jego rzeczy. Ale jego tu nie ma. Nigdy nie wróci i ta myśl sprawia, że moja ochota na czytanie umyka gdzieś, więc szybko cofam dłoń. W tym samym momencie rozbrzmiewa cichy dźwięk wibracji wydobywający się z telefonu, który ostatnio bez przerwy mam przy sobie.

– Paul – mówię, przykładając urządzenie do ucha.

W moim głosie wyraźnie słychać mieszaninę radości i ulgi.

– Słyszałam, że wygrałaś. – Nie sili się na słowa przywitania. – Gratuluję.

Zniknął niedługo po śmierci Mariposy i przez cały ten czas odezwał się zaledwie kilka razy. Dzwonił, upewniał się, że wszystko u mnie w porządku, a następnie rozłączał się, nie odpowiadając na żadne z moich pytań.

– Dzięki – odpowiadam, zaczynając krążyć po pomieszczeniu w tę i z powrotem. – Jak ty się trzymasz?

Niedługo po tym, jak zniknął, znaleźli Louisa, a właściwie jego ciało, w piwnicy kawiarni, którą uwielbiałam. Zmarł z wycieńczenia pozostawiony przez Jima, który zamknął go tam, chcąc uniemożliwić mu zniszczenie planu, którego głównym celem było pozabawienie mnie życia.

Wiem, że Jeffrey nie chciał zrobić mi krzywdy. Kochał go jak brata, którego nigdy nie miał. Nie mógł przewidzieć, że jego porażka doprowadzi do śmierci młodszego White'a.

– Ludzie umierają codziennie, Mel – odpowiada spokojnym, ale tak smutnym głosem, że ściska mi się serce. – Nie zdręczaj się myślami o tym. Teraz powinnaś skupić się na tym, co najważniejsze.

Kolejny raz jestem pod wrażeniem jego siły. Daje mi pocieszenie, mimo że on potrzebuje go o wiele bardziej. Jest w moim życiu, choć wciąż nie może mi wybaczyć tego, że przeze mnie musieliśmy pożegnać się z Mariposą, jakkolwiek to brzmi. Również przeze mnie stracił jedynego brata. Sprowadzam na niego same nieszczęścia, a on wciąż interesuje się moim losem. Gdybym tylko mogła jakoś się mu odwdziżyć... Zrobić cokolwiek, żeby wynagrodzić mu wszystko, co zniszczyłam.

– Paul – zaczynam, chcąc zaproponować mu spotkanie, ale w tej samej chwili rozbrzmiewają ciche dźwięki „Tower of Song”, przez co skonsternowana rozglądam się wokół.

– O co chodzi?

Nie odpowiadam, przechodząc na drugą stronę biblioteki, gdzie dźwięk staje się donośniejszy. Rozłączam się bez słowa pożegnania, po czym odkładam telefon na półkę regału, przy którym stoję i z którego dobiegają wyraźne słowa:

– *So you can stick your little pins in that voodoo doll. I'm very sorry, baby, doesn't look like me at all.*

Sunę dłonią po grzbietach, nucąc pod nosem razem z Cohenem i wysuwam z rzędu trzy pierwsze książki. Otwieram każdą po kolei, myśląc, że znajdę schowek wycięty w grubych stronicach, ale nic z tego.

– *I see you standing on the other side. I don't know the river got so wide.*

Wyjmuję kolejne książki z tego samego regału, lecz tym razem od razu odkładam je na podłogę obok swoich stóp, po czym prostuję się i biorę w dłoń niedużych rozmiarów telefon, którego ekran wciąż rozbłyskuje, informując, że ktoś próbuje się na niego dodzwonić.

– *But I feel so close to everything that we lost. We'll never have to lose...* – Głos Cohena milknie nagle w chwili, w której odrzucam połączenie.

Jeszcze nie czas.

Jest zbyt wcześnie, powtarzam w myślach, czując narastający strach, którego szczerze nienawidzę. W dodatku potęguje go fakt, że ktoś musiał tu być podczas mojej nieobecności, żeby ukryć telefon właśnie tutaj. Wydaje mi się, że żadna bateria nie wytrzymałaby kilku miesięcy bez ładowania, co tylko utwierdza mnie w swoim przekonaniu. Gdy dźwięk dzwonka rozbrzmiewa ponownie, mam wrażenie, że jest tak głośny, że za moment rozsadzi mi bębenki. Coś wewnątrz każe mi przesunąć palcem po ekranie. Nie wiem dlaczego, ale robię to, po czym przykładam urządzenie do ucha.

– Nic nie mów, Melody, tylko słuchaj. – Na dźwięk znajomego głosu uginają się pode mną kolana. Chwieję się, cofając w kierunku stołu, którego solidna konstrukcja staje się moim oparciem. – Nie mogę powiedzieć ci zbyt wiele. Po prostu obejrzyj jeszcze raz film, a będziesz wiedzieć, co robić.

Szybkie pikanie informuje mnie o zakończeniu połączenia, lecz mimo to wciąż trzymam telefon mocno przyciśnięty do ucha, a w mojej głowie rozpoczyna się prawdziwa gonitwa myśli, które tylko płaczą się ze sobą, ale ani trochę nie pomagają mi zrozumieć tego, co się właśnie stało. Bo albo do reszty zwariowałam, albo zmarli powracają z zaświatów, a Rhys miał o wiele więcej tajemnic, niż sądziłam.

Nie mogę spać. Przewracam się z boku na bok, rozmyślając o telefonie, który na dobre zniszczył moje marzenia o spokojnej nocy. W tamtym momencie byłam stuprocentowo pewna, że wiem, do kogo należy ten głos, który mówił do mnie, jakby nigdy nic się nie stało, ale teraz zaczynam mieć co do tego wątpliwości. Głos mówił o filmie, ale ja nie mam pojęcia o jakim. W całym swoim życiu obejrzałam ich tysiące. Skąd mogę wiedzieć, o który mogło chodzić? Nie powinnam o tym myśleć, ponieważ najpewniej to połączenie zostało wygenerowane automatycznie przez operatora, który posiada wszystkie moje dane lub było zwykłym żartem przypadkowego dowcipnisa, a to, że użył mojego imienia, było czystym przypadkiem.

Co więc ten stary iPhone robił ukryty za dawno nieczytanymi książkami? Nie potrafię tego wyjaśnić. Na wszelki wypadek zabrałam go ze sobą do łóżka i położyłam po jego drugiej stronie. Od tamtej pory zerkam na niego co chwilę, jakbym się bała, że może mnie zaatakować, kiedy tylko odwrócę wzrok. Otwieram oczy, gdy jego niewielki ekran rozbłyskuje, po czym pojawia się na nim wiadomość: *Komputer*. Natychmiast siadam, mrużąc oczy. Przeciagam palcem po ekranie, ale wiadomości już nie ma. Zniknęła, zanim zdążyłam ją odczytać. Cholera, chyba zaczynam tracić zmysły!

Powoli schodzę z łóżka, w zupełnej ciemności próbując odszukać mojego MacBooka, który na pewno gdzieś tutaj jest. Na szczęście szybko odnajduję go leżącego na konsoli niedaleko drzwi prowadzących do garderoby. Wracam z nim pod ciepłą kołdrę, włączając od razu. Trochę zajmuje, zanim urządzenie budzi się do życia, a kiedy w końcu to następuje, wbijam wzrok w jego ekran główny, zastanawiając się, po co słucham czegoś, co miało miejsce tylko w mojej głowie. *Może po to, żeby zająć czymś myśli, by nie mogły zapuścić się w miejsca, które na nowo otworzą zagojone już rany.*

Wolno przesuwam zmęczonym wzrokiem po ikonach najróżniejszych plików i uśmiecham się na widok niektórych z nich. Są to głównie foldery ze zdjęciami z czasów, w których moim jedynym problemem były zniechęcone przeze mnie studia. Uśmiecham się na wspomnienie swojej naiwności, która wciąż gdzieś tam we mnie siedzi. Naiwności, dzięki której Motyl stał się moją duszą. To ona pozwoliła mu zawładnąć moim światem i cieszę się, że nie zgubiłam jej całkowicie podczas wszystkich trudnych lekcji, jakie dostałam od życia.

Prostuję się, wracając wzrokiem do pliku, o którym zupełnie zapomniałam, a w którego przechwycenie Rhys włożył tyle wysiłku, co z perspektywy czasu naprawdę wydaje mi się totalnie głupie. Czy to możliwe, że chodziło o... Po tym, jak otwieram folder, od razu pojawia się okienko wymagające podania kodu dostępu. No jasne! Jak mogłam być taka głupia i od razu

na to nie wpaść? Wyjmuję spod poduszki mojego iPhone'a, odblokowuję go i odszukuję w jego notatkach, których jest naprawdę sporo, bo to w nich uporządkowywałam swoje myśli, kiedy nie mogłam sobie z nimi poradzić, ciąg cyfr oraz liter, które przeczucie kazało mi zapisać tu dawno temu. Nie wpisuję ich jednak w wyznaczone do tego pole, ponieważ wcale nie muszę oglądać filmu, który zostawiła dla mnie babcia. Wpisuję współrzędne w mapy i po chwili wahania naciskam *szukaj*.

Podkreślam klimatyzację, ponieważ jest mi za gorąco w błękitnej bluzie typu oversize, której nie chcę zdejmować w trakcie jazdy. Zrobię to dopiero po zjeździe z autostrady, jak na razie muszę skupić się na jak najszybszym dotarciu do celu, do którego według nawigacji pozostało mi dokładnie pięćdziesiąt trzy minuty. Wzięłam jeden z samochodów należących kiedyś do Rhysa, którego nie zabrała policja i zapakowałam go pod sam dach rzeczami, które uważałam za niezbędne, a wszystko zajęło mi może trzy godziny. Jestem w trasie kolejne trzy, a na dworze zaczyna już świtać.

Wracam myślami do dnia, w którym ostatni raz wtulałam się w Motyla, którego serce przestało bić. To było tak dawno, a ja pamiętam każdy najmniejszy szczegół z tamtego dnia. Przesłuchanie, złość Paula, plan, który nagle wykiełkował w mojej głowie. Wystarczy, że przywołuję w głowie obraz pogrążonej we śnie przystojnej twarzy Rhysa i od razu czuję na wargach smak jego ust. Wyczuwam jedyny w swoim rodzaju zapach jego skóry.

Kiedy się obudził, od razu wiedział, że coś jest nie tak. Jedno spojrzenie w moje oczy wystarczyło, żeby zrozumiał, co zamierzam zrobić. I zrobiłabym to nawet, gdyby tego nie chciał, bo był tak słaby, że nie byłby w stanie obronić się przede mną. Lecz on był pewny i gotowy na śmierć. Gdy wbijałam igłę w opuszek jego palca, moje dłonie nawet nie drgnęły, mimo że serce pękało na pół. Wciąż patrzył na mnie wzrokiem pełnym miłości i tylko to powstrzymywało mnie przed wyjęciem igły z jego ciała. Wcisnęłam tłok do końca, ratując go przed zamknięciem do końca jego dni w więzieniu.

Włączam prawy kierunkowskaz, po czym wjeżdżam na drogę ekspresową, która przybliży mnie do celu o kilka kilometrów. Teraz powinnam skupić się na znakach oraz na tym, co pokazuje nawigacja, ale nie mogę. W mojej głowie przewijają się kolejne obrazy, które w tamtej chwili niszczyły mój świat. Widzę lekarzy, którzy podejmują się prób reanimacji, widzę zaniepokojonych policjantów pilnujących sali, w której właśnie umierała moja miłość. Widzę twarz ordynatora szpitala, który ze ściągniętymi brwiami informuje nas, że zrobili wszystko, co w ich mocy, żeby go uratować, ale nie udało im się to. Słyszę swój krzyk tak wyraźny, jakby nigdy nie ucichł. Nagle dźwięk klaksonu przywołuje mnie z powrotem na ziemię i gwałtownie skręcam kierownicą, cudem omijając samochód jadący z naprzeciwka. Oddycham z ulgą. Nawet nie wiem, kiedy moje auto znalazło się na normalnych ulicach miasta, ale jeśli chcę dotrzeć na miejsce w jednym kawałku, muszę bardziej uważać, a przede wszystkim trzymać się swojego pasa ruchu.

Niecałe pół godziny później okolica zaczyna się robić znajoma. Rozpoznaję miasteczko, w którym jestem. Mijam hotel, pod którym Mariposa poważnie poturbował jednego ze swoich partnerów biznesowych po tym, jak ten się do mnie przystawiał. Uśmiecham się na to wspomnienie, choć w tamtym momencie byłam szczerze przerażona, ale i pod wrażeniem tego, jak troszczył się o moje dobro.

Zaskakująco szybko udaje mi się dotrzeć do otwartej bramy i powoli wjeżdżam dość stromą drogą, wyłożoną kamyczkami. Kiedy zatrzymuję samochód pod domem, od razu z niego wysiadam, po czym biegnę nad jezioro. Moje stopy uderzają o drewniany pomost, na którego końcu ktoś stoi. Zatrzymuję się, przyglądając się znajomej, kobiecej sylwetce oświetlonej promieniami porannego słońca. Mrugam kilka razy, zastanawiając się, czy aby na pewno nie śnię.

– Czekałam na ciebie – mówi Helen, odwracając się do mnie.

Uśmiecha się, a na jej policzkach pojawiają się bruzdy, którymi czas naznaczył jej piękną twarz. Otwiera ramiona, przywołując mnie gestem dłoni, ale ja nie jestem w stanie się ruszyć. Moja babcia zmarła parę lat temu. Jak to możliwe, że teraz stoi zaledwie kilka metrów ode mnie i wygląda niemal tak samo jak wtedy, gdy widziałam ją po raz ostatni?

– Jak? – pytam, posyłając kobiecie nieufne spojrzenie.

Opuszcza ramiona wzdłuż ciała, a następnie zbliża się do mnie, lecz nie podchodzi zbyt blisko.

– Rhys pomógł mi przestać istnieć tak, jak ty pomogłeś jemu – wyjaśnia ze skruczą w głosie.

– Chcesz o tym posłuchać? – Potwierdzam krótkim skinieniem głowy, więc babcia od razu kontynuuje: – Zaplanowałam swoją śmierć tuż po tym, jak Rhys opowiedział mi historię jego matki i swoją, ponieważ wiedziałam, że Hudson nigdy nie pozwoli mi odejść. Nie mogłam jednak nagle rozplątać się w powietrzu. Nie mogłam uciec, bo nie ma na świecie miejsca, w którym udałoby mi się przed nim ukryć. Jedyнным rozwiązaniem była śmierć. Przynajmniej mój mąż musiał być przekonany, że nie żyję. Nie miałam pojęcia, co powinnam zrobić. Milczałam uparcie, udając przed twoim dziadkiem i mamą, że wszystko jest tak jak dotychczas, aż pewnego dnia nie wytrzymałam i wykrzyczałam mu w twarz, że jest mordercą. Kiedy powiedziałam mu, że idę na policję, że tym razem odpowie za swoje czyny, po raz pierwszy w życiu mnie uderzył. Upadłam, rozcinając skroń. Straciłam przytomność. Obudziłam się już w moim domu za miastem. Rhys wiedział, co się stało. Obserwował mnie cały czas. To on uznał, że nie będzie lepszego momentu na moje zniknięcie. Przekupiliśmy kogo trzeba i wszystko potoczyło się po naszej myśli. Uwolniłam się, a Hudson do końca swoich dni był przekonany, że mnie zabił.

Powinłam się na nią gniewać? Upozorowała własną śmierć, żeby uciec od męża, który w pewnym momencie swojego życia stracił nad nim kontrolę, stając się człowiekiem bezwzględny i pozbawiony wszelkich zasad moralnych. Zostawiła mnie na tyle lat... Wplątała w grę, której stałam się pionkiem popychanym przez najróżniejsze osoby wcale niepragnące mojego dobra. Oczywiście, że powinłam być zła. Właściwie to jestem wściekła. Wciągam powietrze nosem i wypuszczam ustami, próbując zapanować nad burzą szalejącą wewnątrz mnie.

– Przez ostatnie lata – zaczynam cicho, patrząc Helen prosto w stalowe oczy wypełnione łzami – tęskniłam za tobą niemal każdego dnia. W najśmielszych snach nie sądziłam, że jeszcze kiedyś cię zobaczę i sama nie wiem, czego w tej chwili pragnę bardziej: skopać ci tyłek, czy po prostu przytulić – głos mi się łamie podczas wypowiedzania ostatnich słów.

Babcia uśmiecha się, po czym obejmuje mnie ostrożnie, jakbym była ze szkła i pod jej dotykiem mogła rozsypać się na drobne kawałeczki. Nie odwzajemniam uścisku, mimo że bardzo tego chcę. Po prostu stoję z opuszczonymi wzdłuż ciała rękami i próbuję otrząsnąć się z szoku. W końcu sama odsuwam się od Helen, po czym uzyskując jej nieme pozwolenie, odwracam się i ruszam wydeptaną ścieżką w stronę domu, w którym spędziłam magicznych siedemnaście dni, mających być tylko niewygodnym aneksem do umowy, a które zmieniły dosłownie wszystko.

Wbiegam po schodach. W chwili, w której wyciągam dłoń w stronę klamki, drzwi same się otwierają i wpadam prosto w ramiona Motyla, który przyciąga mnie do siebie i przytula tak mocno, że niemal brakuje mi tchu. *Udało się*, powtarzam w myślach jak mantrę. Zrobiliśmy coś, co w normalnym życiu jest nieosiągalne. Z pomocą kilku osób oszukaliśmy świat. Oszukaliśmy śmierć. Ryzykowaliśmy więcej, niż mogliśmy zyskać, ale udało się, a ja aż dotąd nie miałam żadnej pewności, czy z nim wszystko w porządku.

Tulę się do jego klatki piersiowej, w której bije zdrowe i silne serce. Ten dźwięk jest dla mnie najpiękniejszą melodią świata. Odsuwam się od niego, po czym patrzę na jego twarz, śledząc każdy jej centymetr, jakbym chciała upewnić się, że to na pewno on. W końcu nasze spojrzenia się krzyżują. Uśmiecham się szeroko, kładąc jego dłoń na swoim zaokrąglonym brzuchu, który świetnie maskuje luźna bluza.

Marszczy brwi, jakby nie rozumiał.

– Czy ty...

Kiwam głową, nie mogąc wydobyć z siebie żadnych słów. Tak wiele razy wyobrażałam sobie jego reakcję na wieść o ciąży. Tak długo czekałam, żeby mu o niej powiedzieć. I kiedy wreszcie nadszedł moment, w którym mogę oznajmić mu, że już niebawem zostanie ojcem uroczonego chłopca, nie potrafię nic wykrztusić. Przyciąga mnie do siebie zdecydowanie delikatniej niż poprzednio i całuje, przelewając całą miłość oraz tęsknotę, którą musieliśmy znosić przez ostatnie miesiące. Odrywa się ode mnie, opierając czoło o moje i oddycha ciężko. Toniemy w swoich spojrzeniach, celebrując tę wyjątkową dla nas chwilę, a jego dłoń czule gładzi mój brzuch.

– Kocham cię, Melody – mówi półszepem.

– Kocham cię – powtarzam pełnym od emocji głosem.

Przeżyliśmy wspólnie wiele pięknych, ale także i gorszych chwil. Właściwie tych złych było o wiele więcej. Rozstawaliśmy się i wracaliśmy do siebie. Kochaliśmy się i raniiliśmy za każdym razem coraz dotkliwiej. Jednak zawsze walczyliśmy o uczucie, które nas łączy, choć innym wydawało się zupełnie niezrozumiałe. Nasza znajomość przez wielu została skazana na niepowodzenie, ale przetrwaliśmy. Jesteśmy w miejscu, w którym wszystko się zaczęło. W miejscu, w którym wszystko się skończy.

I dopiero teraz możemy zacząć pisać nową historię.
Naszą historię.